Teodor Jeske-Choiński

Dekadentyzm

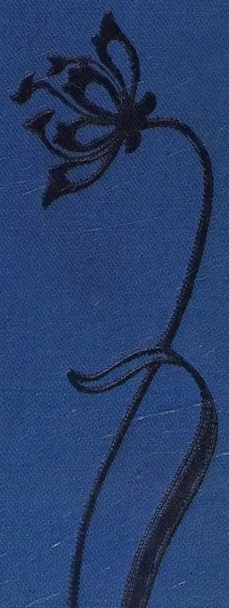

dk net

BIBLIOTEKA
DZIEŁ CHRZEŚCIJAŃSKICH

Teodor Jeske-Choiński

Dekadentyzm

Redaktor i wydawca
KS. ZYGMUNT CHEŁMICKI

WARSZAWA

Warunki prenumeraty

BIBLIOTEKI DZIEŁ CHRZEŚCIJAŃSKICH

w Warszawie:		*z przesyłką pocztą:*	
Rocznie	rub. 6 —	Rocznie	rub. 8 —
w oprawie	„ 8.40	w oprawie	„ 10.40
Półrocznie	„ 3 —	Półrocznie	„ 4 —
w oprawie	„ 4.20	w oprawie	„ 5.20
w Krakowie i we Lwowie:		*z przesyłką pocztą:*	
Rocznie . . .	koron 18 —	Rocznie . . .	koron 20 —
w oprawie	„ 24 —	w oprawie	„ 26 —
Półrocznie . .	„ 9 —	Półrocznie . .	„ 10 —
w oprawie	„ 12 —	w oprawie	„ 13 —
w Poznaniu:		*z przesyłką pocztą:*	
Rocznie	Mk. 16	Rocznie	Mk. 21
w oprawie	„ 21	w oprawie	„ 26
Półrocznie	„ 8	Półrocznie	„ 11
w oprawie	„ 11	w oprawie	„ 13

Stosując się do wielokrotnie wyrażonych żądań, postanowiliśmy „Bibliotekę Dzieł Chrześcijańskich“ dostarczać także w oprawie.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie rub. 2.40—Koron 6—Mk. 5. Półr. rub. 1.20—Koron 3—Mk. 3

Cena pojedynczego tomu Biblioteki Dzieł Chrześcijańskich w sprzedaży księgarskiej rub. 1, w oprawie 1.20

Adres redakcyi: Podwale № 27

Ekspedycya główna w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie i G. Gebethnera i S-ki w Krakowie

Prenumeratę przyjmują także wszystkie księgarnie w kraju i zagranicą

DEKADENTYZM.

Druk Piotra Laskauera i S-ka w Warszawie.

WYDAWNICTWO BIBLIOTEKI DZIEŁ CHRZEŚCIJAŃSKICH

Teodor Jeske-Choiński.

DEKADENTYZM

WYDANIE NOWE POPRAWIONE I UZUPEŁNIONE.

WARSZAWA
Skład główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa
Kraków G. Gebethner i S-ka.
1905.

Дозволено Цензурою
Варшава, 3 Марта 1904 г.

I.

Dekadentyzm rzymski [1]).

Opowiada Liwiusz, że jeszcze na dworze Filipa Macedońskiego drwiono z „ubogiego Rzymu“.

Nie marmurowe pałace wykołysały „wilcze plemię“ które miało panować przez szereg wieków nad światem. W lepiankach, krytych gontami lub słomą, rodzili się i chowali pierwsi bohaterowie i prawodawcy Romy, jej wielkości twórcy — jej królowie i konsulowie,

Ale już Owidyusz cieszy się, że mu los pozwolił żyć w Rzymie „złotym, cywilizowanym, oświeconym“.

Złotym, cywilizowanym, oświeconym był w istocie Rzym cezarów.

Cudzoziemiec, spoglądający przy końcu pierwszego stulecia ery chrześcijańskiej z wyżyn Kapitolu w stronę *forum*, miał przed sobą obraz, który przypominał sny poetów. Obok niego

[1]) Zamiast oddać pod prasę trzecie wydanie mojego powtórnie w handlu księgarskim wyczerpanego studyum p. t. „Na schyłku wieku“, a drugie mojego „Rozkładu w życiu i literaturach“, złożyłem z dwóch tych książek trzecią, usunąwszy z nich wszystko, co uważam za przestarzałe. Nie pozytywizm i ewolucyonizm zajmują spór inteligentnych czytelników, lecz głównie dekadentyzm, który stał się obecnie „kwestyą aktualną“. Poddałem krytyce głównie dekadentyzm francuski, z tego bowiem źródła czerpią wszyscy dekadenci europejscy.

wznosiła się biała świątynia Jowisza, a przed nim lśniły, z prawej i lewej strony, domy bogów, pałace, sklepy, hale, bramy tryumfalne, posągi... Frygijski, lub kararyjski marmur raził w dzień pogodny jego oczy, jak słońce, nocą zaś oblany błękitnawem światłem księżyca, przenosił go w zaczarowane krainy legend.

A w tych świątyniach, pałacach i domach spoczywały skarby artystyczne i dziwy całego świata cywilizowanego. Co wydał geniusz plastyczny Grecyi i Egiptu (posągi, obrazy, sfinksy, obeliski), co stworzyła przemyślność i pracowitość innych narodów, nad czem ludzkość cała potniała — wszystko to zabierali wodzowie rzymscy prawem zwycięztwa i wiedli przez góry i morza nad Tyber, by plonami cudzego trudu ozdobić miasto miast... „złotą, wieczną, świętą Romę“ (*aurea*, *aeterna*, *sacra*).

Gdzieś daleko, w lasach Germanii lub Galii, urodził się karzeł; w górach Hiszpanii przyszedł na świat olbrzym; jakiemuś Dakowi lub Sarmacie wylęgło się kurcze o dwóch łebkach, cielę o pięciu nóżkach, źrebię z podwójnym ogonkiem; w Recyi wyrosło drzewo niezwykłej wysokości; na wodach morza Północnego złowiono wieloryba, a nad brzegami Włoch południowych ogromnego raka. Karzeł, olbrzym, kurczę, cielę, źrebię, drzewo, wieloryb, rak i t. d., wszystkie potworności i dziwy „świata“ szły do Rzymu, jako dar dla cezara, który je publicznie ku zabawie motłochu wystawiał, a następnie oddawał na schowanie świątyniom.

Jak obecnie, był Rzym i wówczas jednem wielkiem muzeum.

Był i środowiskiem wszystkich ludów, znanych cywilizacyi t arożytnej. Ciągnęły do niego świetne poselstwa „barbarzyńskich“ królów, śpieszyli uczeni greccy i egipscy, turyści, kupcy, spekulanci, karyerowicze, awanturnicy — znudzeni, szukający rozrywki,—chciwi, goniący za złotem, sławą i władzą. Na polu marsowem, w lasku bulońskim Rzymu cezarów, spotykało się w porze poobiedniej najrozmaitsze rasy i narodowości, od jasnowłosego germanina począwszy, aż do czarnego mieszkańca lasów afrykańskich.

Bo gdzież było łatwiej o wiedzę, o rozkosz życia, o złoto i znaczenie?

Uczonych i artystów wabiły do Rzymu liczne biblioteki,

zbiory i posady w domach możnych (nauczyciele, lektorowie filozofowie nadworni). Sieć wybornych dróg, których resztki budzą jeszcze dziś podziw inżynierów, i znakomicie urządzona poczta, ułatwiały pogląd na najważniejsze wypadki chwili. Cokolwiek stało się gdzieś, choćby na krańcu imperyum, o tem wiedziano w stolicy w kilka, w kilkanaście dni potem. Bezustannie pędzili kuryerowie, po wszystkich traktach cesarstwa, niosąc Rzymowi, spragnionemu nowin, wiadomości osobliwe.

Rozkoszników pociągał Rzym cezarów bogactwem uciech, Nie było nigdzie tyle pięknych i do wyuzdanej miłości chętnych kobiet, ile w stolicy świata, nigdzie takich kucharzów, aktorów. gladyatorów i woźniców cyrkowych, nigdzie w końcu takiego wyboru przedmiotów zbytkownych. Wszystko, co ówczesny świat posiadał, lub wytwarzał najlepszego, płynęło bez przerwy nad Tyber. Hiszpania oddawała Romie najprzedniejszą wełnę, Chiny jedwab, Aleksandrya płótno i szkła kolorowe, wyspy greckie wino, ostrygi, tancerki i filozofów, Sycylia i Afryka zioła lecznicze, Arabia wonie, morze Czerwone ryby, Alpy sery, Ural szmaragdy, Atlas drzewo, Egipt lekarzów i t. d. Cały świat starożytny żył, myślał, pracował za cezarów, tylko dla Rzymu.

Sybaryta i lubieżnik pierwszych wieków ery chrześcijańskiej nie potrzebował się trudzić wyszukiwaniem środków, służących do podrażnienia stępionych zmysłów: miał je wszystkie pod ręką.

Dla próżniaków, karyerowiczów i dowcipnisiów był Rzym cezarów rajem. Dziesiątki tysięcy „klientów“ żywiły się okruchami ze stołów możnych. Za to, że ktoś składał codzienny poranny hołd jakiemuś bogaczowi i postępował w jego świcie obok lektyki, towarzysząc mu do senatu, na sądy i do świątyń, płacono mu stałe wynagrodzenie, lub dopuszczano go do biesiady.

O najuboższych pamiętali cezarowie i godności swoje obejmujący dygnitarze. Dla nich to nadchodziło zboże z Egiptu, dla nich urządzano krwawe widowiska cyrkowe. Najnędzniejszy proletaryusz stolicy bawił się lepiej od zamożnego mieszkańca prowincyi.

Kto nie chciał pracować, lub kogo trawiła żądza szybkich dostatków, ten śpieszył do Rzymu. Zręczne nogi, bystre oko i pewna ręka, giętkie członki, długie ucho, zuchwalstwo, bezczelność, podłość, nieuczciwość i t. p., dawniej wzgardzone zdol-

ności“, zdobywały pierścień rycerski, czasami purpurę senatorską, a prawie zawsze znaczną fortunę.

Zwycięzkim wodzom odmawiał Rzym cezarów zaszczytu tryumfu, uczonym i poetom skąpił chleba, na odwagę i cnotę obywatelską spoglądał z zawiścią, ale aktorom, wirtuozom, linoskokom, denuncyantom i zbirom przeróżnym rzucał miliony sestercyj, oklaski, wieńce, godności nawet.

Więc płynęły do owej „złotej, wiecznej, świętej Romy“, korzystającej z pracy setek pokoleń i narodów, wszelkie szumowiny ówczesnego „świata“, a „złota, wieczna, święta Roma“, tak rozległa i wysoka, iż jej najdalszy wzrok nie mógł ogarnąć miała dla każdego przybysza kącik mniej lub więcej wygodny. Kto nie znalazł miejsca w pałacach, w gmachach rządowych, lub kamienicach prywatnych, budowanych przez spekulantów na 70 stóp w górę, ten przytulał się gdzieś na przedmieściach, opierających się z jednej strony o góry albańskie, z drugiej o morze.

Tak szeroko rozsiadł się Rzym cezarów, iż trudno było orzec, gdzie się właściwie zaczynał, a gdzie kończył. Posuwając się coraz dalej w Kampanię, przygarniał do siebie miasteczka i sioła, wille i osady, łącząc olbrzymią masę zabudowań, ogrodów i placów w jedną nieprzejrzaną całość.

Co ostatni konsulowie rzeczypospolitej rozpoczęli, tego dokonali monarchowie. Nawet najgorsi z pomiędzy nich, nawet taki Kaligula, Neron i Domicyan, stroili stolicę ludu rzymskiego, wierząc, iż Rzym zostanie panem świata do końca istnienia rodu ludzkiego.

Ale w tym bujnym, świetnym kwiecie, budzącym podziw zazdrość cudzoziemców, pracował już robak zniszczenia. Nie widzieli go cezarowie, olśnieni blaskiem wielkości własnej i cesarstwa, nie przeczuwał go przeciętny obywatel rzymski, szczęśliwy, że do jego stóp kładły się posłusznie Europa, Azya i Afryka. Jego robotę tajemną dostrzegały od czasu do czasu tylko dusze niepospolite, nie tracąc przytomności wśród błyskotliwego otoczenia.

Skarżył się już Horacyusz na zanik dawnych cnót rzymskich, chociaż wszechświatowa potęga Romy utrwaliła się dopiero za jego czasów. „Przed bogami się korząc, panowałaś — wołał wykwintny poeta, nie skory do moralizowania. — Z tego źródła wytrysnął twój początek, z niego też wyjdzie twój ko-

niec...“ „Bogaty w nieprawości, skaził nasz czas nasamprzód małżeństwo, dom, rodzinę...“ [1]).

W nadmiernym egoizmie, w chciwości władzy i używania widział Tacyt przyczyny upadku obyczajów i cnót obywatelskich. Stara i zdawien dawna człowiekowi przyrodzona żądza panowania—uczył— przebudziła się z chwilą, gdy państwo poczuło swoją potęgę. Bo dopóki własność nie przekraczała granic umiarkowanych, dopóty zgadzano się chętnie na równość. Ale gdy po zwyciężeniu świata i po zniszczeniu współzawodniczących z sobą miast i królów runęły wszystkie przeszkody, powstrzymujące zachcianki indywidualne, wówczas zaczęły to się.. i t. d. [2]).

Bliższym prawdy od historyka, chociaż o nią zaledwie potrącił, był poeta, gdy wyrzucał współczesnym sponiewieranie bogów, na co bowiem Tacyt wskazywał jako na przyczynę, jest wszędzie i zawsze dopiero skutkiem.

Dowiódł uczony francuski, Fustel de Coulanges, że twórczynią zwyczajów i obyczajów, wyobrażeń i ideałów Grecyi i Rzymu, była religia, przyniesiona do Europy z nad Gangesu, z prastarej kołyski plemion aryjskich [3]).

Ta religia pierwotna, która uformowała duszę narodów, zwanych klasycznymi, nie miała zrazu nic wspólnego z późniejszą. Była ona prosta, bez dekoracyj i przystawek poezyi.

Człowiek nie umiera ze śmiercią — wierzyli Grecy i Rzymianie tak samo, jak ich przodkowie indyjscy.— Gaśnie on, ale tylko dla życia na ziemi, aby wieść byt nieskończony pod jej powierzchnią.

Kult umarłych stanowił zrazu całą religię Greków i Rzymian. Człowiek, wracający do ziemi, stawał się istotą wyższą, gieniuszem rodu, czemś boskiem, co posiadało moc szkodzenia lub pomagania żyjącym. Gdy potomek pamiętał o przodku szczerze i ze czcią, wówczas miał prawo odwoływać się do jego opieki.

Zmysłowem wyobrażeniem, symbolem bóstwa, które czu

---

[1]) Horat. Ody; III, 6.

[2]) Tacit. Histor. II, 38.

[3]) Fustel de Coulanges. „La cité antique; étude sur le culte, le droit, les institutions de la Grèce et de Rome“; wydanie 14-te, Paryż 1893 r., rozdziały: I, II i III.

wało nad zagrodą, rodziną, osadą, miastem, państwem w końcu, było ognisko (znicz) rasy aryjskiej. W każdym domu greckim lub rzymskim znajdował się ołtarz, a na nim płonął wieczny ogień, od którego podtrzymania zależało szczęście zagrody, rodziny, miasta. Ztąd owe wielkie znaczenie Westy — wszechogniska ludu rzymskiego. Obrażał ducha opiekuńczego państwa, kto lekceważył święty płomień.

Z ogniska wykwitły wszystkie cnoty Rzymu. Bo ten święty ogień nie znosił serc, sumień i rąk *nieczystych*. Kto się do niego zbliżał, powinien był być *czystym* w rozumieniu fizycznem i moralnem. Złodziejom, mordercom, kłamcom, krzywoprzysięzcom, wiarołomnym mężom i żonom, słowem, wszelkim niegodnym, jakimś występkiem splamionym członkom domu, nie wolno było stawać przed ogniskiem.

Wyobrażeniu bóstwa należał się kult i kapłan. Tym kapłanem ogniska był zawsze jego główny przedstawiciel, naczelnik domu. On podsycał płomień, składał mu ofiary, modlił się do niego i dbał o jego, czyli o całego rodu *czystość*. Jako pośrednik między żyjącymi a zmarłymi, posiadał ojciec rodziny wysokie przywileje: sądził i rozkazywał samowładnie.

I tak było święte ognisko (religia) nietylko źródłem cnót pierwotnego Rzymu, ale także twórcą jego praw, zwyczajów i obyczajów. Wiadomo, że królowie i konsulowie odwoływali się zawsze przed każdą czynnością publiczną do pomocy bogów. Ani wyborów, ani wojny, ani żadnej innej sprawy donioślejszego znaczenia nie zaczynali bez ofiar, modłów i radzenie się wróżbitów. Religia towarzyszyła rzymianinowi od kołyski aż do grobu. Usunęła ją na plan drugi dopiero filozofia.

Zabrawszy się do krytyki starodawnych wierzeń i podań aryjskich, filozofia nie spoczęła dopóty, dopóki nierozerwała całego gmachu przeszłości. A gdy zburzyła, co lat tysiące dźwigały, wówczas zaczęła zwyczajem swoim błądzić po manowcach różnych hipotez, aż zawinęła do odwiecznego portu wszelkiej negacyi, do płaskiego materyalizmu.

Proces ten odbywał się w Grecyi wolno. Ale w Rzymie, który wziął z Aten gotowy plon wieków, przyszedł tak nagle, iż sceptycyzm religijny nastąpił bezpośrednio po wierze.

Gdy Rzym, załatwiwszy się z robotą dziejową na zewnątrz, zaczął się wewnątrz u siebie wygodniej urządzać i pragnąc się zrównać z narodami wytworniejszymi, zabrał się do nauki i sztu-

ki, do księgi i lutni, wówczas wydawał z siebie gasnący geniusz Grecyi już tylko zgrzyty chrapliwe: filozofię materyalistyczną, rozgadaną nad miarę sofistykę, wyuzdaną komedyę, zmysłową na wskroś poezyę i lubieżną powieść.

A właśnie te zgrzyty chrapliwe chwytała nieprzygotowana naukowo, nieurobiona, więc zdrowego krytyzmu pozbawiona Roma, i struła się nimi odrazu. Cywilizacya znikczemniałej Grecyi nie przyniosła twórcom wszechświatowego państwa szczęścia. Kształcąc ich umysłowo, zniweczyła w krótkim czasie ich dawną dzielność męską i siłę etyczną. W chwili, kiedy Rzym zaczął brać udział w pracy umysłowej ludzkości — na lat kilkadziesiąt przed narodzeniem Chrystusa — kiedy zaczął myśleć i śpiewać, był odrazu bez przejścia, płytkim materyalistą i zdawkowym ateuszem.

Co mówi Lukrecyusz w swoim poemacie dydaktycznym (*De rerum natura*) przeciw religii, powtarzali aż do znużenia wszyscy niezawiśli myśliciele bieżącego stulecia. „Nikczemnie przedstawiało się życie ludzkie — mówi poeta rzymski — dopóki marniało pod obuchem religii. Ona to, wysuwając głowę z krain niebieskich, spoglądała na śmiertelników wzrokiem straszliwym". „Ale — cieszy się Lukrecyusz — w Grecyi powstał mąż (ma być Epikur), który ośmielił się podnieść oko do religii i wystąpić przeciwko niej. Nie powstrzymały go miejsca poświęcone, błyskawice i pioruny. Wszystkie te przeszkody zachęciły raczej jego siły duchowe do złamania oków, w których natura dotąd jęczy"... „I tak padła religia pod jego stopami". [1])

Religia Grecyi i Rzymu padła rzeczywiście pod stopami filozofii, nietylko ta, którą praojcowie ludów „klasycznych" przynieśli z sobą z Indyj, ale ta, którą sobie ich potomkowie później dotworzyli. Rzym cezarów nie modlił się już do ognisk domowych, nie wierzył w życie pozagrobowe, a z bogów Olympu, chociaż im złociste stawiał świątynie, drwił dowcipnie.

„Wszystkich spotyka z ostatnią godziną to samo — uczył stary Pliniusz [2]) — czem byli przed pierwszą—(ma być nicość). Jak przed urodzeniem, nie posiada człowiek i po śmierci czucia i świadomości. Próżność tylko ludzka przedłuża istnienie

---

[1]) Lucret. „De rerum natura" I. 63—72; 79—80,

[2]) Plin. N. h. VII, 188 i następne.

w przyszłość i wynajduje kłamane życie pozagrobowe, wyposażając duszę to nieśmiertelnością, to zdolnością przeobrażania, i mianując bogami tych, którzy nawet ludźmi być przestali. Jakby się nasz oddech różnił czemkolwiek od oddechu reszty stworzeń, albo jak gdyby nie było w naturze tylu innych, dłużej od nas trwających rzeczy, którym mimo to nie przypisuje nikt nieśmiertelności"... „Są to bajki dla dzieci i wytwory mózgów śmiertelnych, którym się umrzeć nie chce!"

I Kwintylian i Tacyt i wielu innych, chociaż nie przeczyli z taką namiętnością, jak stary Pliniusz, nie wierzyli w życie pozagrobowe. W pierwszem stuleciu po Chrystusie bronił nieśmiertelności człowieka, z mężów wybitniejszych w Rzymie prawie jedyny, Seneka, bliższy platonizmowi, niż stoicyzmowi, do którego się przyznawał.

Ale i on, tak samo jak Cycero, inny zwolennik Platona, lekceważył podania religijne. „Nie ma już ludzi tak dziecinnych — twierdził Seneka — którzyby się obawiali Cerbera, ciemności i duchów". [1]). Nawet stare baby — mniemał Cyceron [2]) — nie lękają się bladego, ciemnościami owianego królestwa śmierci".

Tego samego zdania był Juvenalis.

W Rzymie cezarów znajdowali się tak zajadli materyaliści, iż starali się o to, żeby ludzie wiedzieli nawet po ich śmierci o przekonaniach, jakie im w życiu przyświecały. Uczony niemiecki, Ludwik Friedländer, znakomity znawca obyczajów rzymskich, przytacza za Orellim kilka ciekawych napisów nagrobkowych [3]): „Żyłem i nie wierzyłem w nic po za grobem" — kazał sobie ktoś wyryć na pomniku. „Nie byłem i stałem się; byłem i przestałem istnieć; to tylko jest prawdą. Kto twierdzi inaczej, ten kłamie, bo nie będę już nigdy istniał" — uczył inny. „Nie istniałem, a teraz istnieję; przestanę kiedyś istnieć, co mnie wcale nie martwi" — pocieszał się trzeci. Ktoś czwarty drwił tak samo: „Byłem kiedyś, a teraz mnie nie ma. Ponieważ nic o tem nie wiem, przeto mnie to nic nie obchodzi". Wyzwoleniec Acernus Notus usiłował być dowcipnym nawet na własnym nagrobku: „Nie obawiam się już głodu, podagry — żartował — nie po-

---

[1]) Seneca. „Eppist." 24, 18;

[2]) Cicero. „Tusc." I, 21, 48.

[3]) Ludwig Friedländer. „Darstellungen aus der Sittengeschichite Roms"; wydania 6-te; 1890 r. tom IIII str. 739.

trzebuję płacić komornego, bo zajmuję obecnie bezpłatną, wieczystą kwaterę."

Nie ulega wątpliwości, iż religia zaczęła tracić w Rzymie kredyt już przed narodzeniem Chrystusa, ale mylili się Cycero, Seneka, Juvenalis i inni twierdząc, że nawet stare baby nie obawiały się za ich czasów Cerbera i królestwa ciemności. Niedowiarstwo ogarniało w świecie starożytnym, jak wszędzie i zawsze, tylko tak zw. intelligencyę, a i w tych warstwach znów, jak wszędzie i zawsze nie opętało wszystkich. Tylko jednostki, wykształcone filozoficznie, odsunęły się zrazu od podań praojców; takich zaś posiada każde społeczeństwo ilość ograniczoną. Za inteligencyą wytworną poszedł oczywiście wkrótce legion dyletantów, owych mędrców pół-uczonych, powtarzających bezmyślnie teorye modne w danej chwili, wszakże i ten zastęp nie stanowił jeszcz narodu.

W wielkiej masie ludów Italii nigdy nie wygasła wiara w życie pozagrobowe i w rządy bogów, czego dowodem historycy (Tacyt, Swetoniusz) i mnóstwo nagrobków, wyrażających zdania wręcz przeciwne tym, które Friedländer za Orellim powtórzył. Po wsiach, osadach, w mniejszych miastach Włoch i w dalszych prowincyach cesarstwa modlono się, składano bogom ofiary, radzono się wróżbitów, utrzymywano święte ogniska domowe, jak za dobrych czasów królestwa i rzeczypospolitej. Skądżeby Rzym brał swoje legiony niezwyciężone, a chrześcijaństwo swoich męczenników, gdyby wszyscy tak wierzyli, jak Lukrecyusz i Pliniusz? Sceptycyzm drwi ze sławy wojennej, wszelki zaś fanatyzm nazywa głupotą.

Religia przestała być hamulcem moralnym tylko dla pewnej liczby warstwy oświeconej. Liczba ta rosła z każdem pokoleniem, ale nawet za czasów Antoninów, w epoce *par excellence* filozoficznej, nie obejmowała całej inteligencyi, czego świadectwem wyznawcy Chrystusowi, pochodzący ze sfer zamożnych.

Jak wszędzie, będzie prawdą i dla Rzymu za cezarów, że sceptycyzm religijny dotknął głównie stolicę państwa, w niej zaś znów przedewszystkiem warstwy oświecone, czyli te, które robią historyę polityczną, społeczną i umysłową narodów.

Wszelka negacya ma to do siebie, że sąsiaduje bardzo blizko z bluźnierstwem. Gdy sceptycyzm religijny dojrzał, wówczas wydał takiego Lucyana, któremu Heine, Baudelaire i Richepin mogą pozazdrościć zjadliwości i wyuzdanego języka.

— O, Jowiszu — „modli się“ Tymon u Lucyana [1]) — opiekunie przyjaźni, towarzyskości i szczęścia domowego, tarczo cudzoziemców, mścicielu krzywoprzysięztwa, zbieraczu chmur, władco gromów, błyskawic, albo jak cię tam inaczej nazywają zwaryowani poeci, zwłaszcza gdy im braknie rymu! Gdzież podziały się twoje błyskawice i pioruny? Widocznie są wszystkie te rupiecie, pominąwszy szum głośnych słów, drwinami i czczym dymem poetyckim. Twój tyle opiewany, daleko sięgający, zawsze gotowy pocisk płomienny, zgasł i wystygł i nie zawiera już w sobie ani jednej iskry gniewu przeciw występnym.

Łotr, zabierający się do krzywoprzysięztwa, przeraziłby się więcej wczoraj płonącej świecy, niż twojego wszechpotężnego ognia. Zdaje się, iż narzucasz na nikczemników zamiast piorunu łuczywo, którego ognia i dymu oni się wcale nie obawiają. Najgorszem, coby ich mogło spotkać, gdybyś nie chybił, byłby obsypujący ich popiół. Można-ż się w takich warunkach dziwić, że Salomoneus ośmielił się grzmieć, jak ty?... [2]). Bo dlaczegóż nie miał sobie pozwolić na taką zabawkę, kiedy ty śpisz tak mocno, jak gdybyś zażył na sen, i nie masz już uszu na krzywoprzysięztwa, ani oczu na inne zbrodnie ludzi. Nie można inaczej, jak wierzyć, że twoje oczy i uszy straciły siłę na starość.

— W młodości twojej nie było bezpiecznie zasłużyć na twój gniew. Zapalałeś się wówczas szybko i gniewałeś się straszliwie... Ale teraz nie boi się ciebie nikt... Ludzie płacą ci za twoją ospałą bezczynność tak, jak na to zasługujesz. Bo któż składa ci dziś ofiary, lub znosi wieńce? Dzieje się to tylko podczas igrzysk olympijskich dla zwyczaju. Tak zniedołężniałeś, iż nawet siebie samego obronić nie potrafisz. Znaleźli się przecież zuchwalcy, którzy targnęli się w Olympii na twoją własną osobę, a ty, który każesz się nazywać wysokogrzmiącym, nie obudziłeś nawet psów i nie zwołałeś sąsiadów, aby się zbiegli i pochwycili rabusiów. Mimo dziesięciołokciowej błyskawicy, którą trzymasz w ręku pozwoliłeś na to, że złodzieje ogolili ci złote loki. Kiedyż się nareszcie przebudzisz, mój ty bohaterze, aby zrobić porządek na ziemi... i t. d.

Ten sam Lucyan jest autorem słynnych „Rozmów bogów“,

---

[1]) Lucyan, Tymon. 1, 2, 3.

[1]) Salomoneus; król Elidy, który naśladując grzmot i błyskawice, udawał Jowisza.

zachwycających wszystkich dowcipnisiów „oświeconych“ począwszy od encyklopedystów francuskich i ich wielbicieli niemieckich, skończywszy na współczesnych dekadentach. Owe „Gawędy“ są w istocie arcydziełami w swoim rodzaju, ostatnim wyrazem sceptycyzmu religijnego starożytnych.

Siedzą sobie Eskulap i Herkules na Olympie, przy stole bogów i prowadzą następujący dyskurs, gromieni przez Jowisza [1]).

Jowisz. Przestańcie nareszcie z temi kłótniami. Spieracie się, jak gdybyście byli ludźmi. To nie przystoi na bogów, najmniej zaś przy stole.

Herkules. Więc ty chcesz, Jowiszu, aby ten truciciel siedział przedemną?

Eskulap. Tak być powinno, jestem bowiem mężem godniejszym od niego.

Herkules. Patrzcie go, tego zarozumiałego chłystka. Chyba dlatego, że cię Jowisz poraził na śmierć za to, że wykonywałeś praktyki niedozwolone. Tylko z litości umieszczono cię między nieśmiertelnymi.

Eskulap. Jak widzę, Herkulesie, zapomniałeś już, żeś i ty zginął od ognia, bo mi moją śmierć gorącą przypominasz.

Herkules. Zachodzi różnica między życiem mojem a twojem. Jestem rzeczywistym synem Jowisza, a życie moje było ciągłą walką z wrogami ludzkości. Oczyściłem ziemię z potworów, przezemnie pokonanych, i z gwałtowników, przezemnie ukaranych A ty co? Ty handlowałeś korzonkami i maściami. Całą twoją zasługą jest, że umiałeś podawać chorym lekarstwa, nikt jednak o tem nie wie, iżbyś dokonał kiedykolwiek jakiego czynu męskiego.

Eskulap. Masz racyę. Czynu męskiego nie dokonałem, lecząc cię z ran, kiedyś przybył niedawno do nieba, na pół upieczony, strawiony zarówno przez truciznę Dejaniry, jak przez ogień. Zresztą, jeżeli nie zrobiłem nic wielkiego, to nie byłem przynajmniej na ziemi fagasem, jak ty, nie prządłem wełny w Lidyi, nie nosiłem purpurowej babskiej spódnicy i nie bra-

---

[1]) Lucyan. „Rozmowy bogów“, Gawęda 13-ta p. t. „Spór o pierwszeństwo“. Herkules i Eskulap kłócą się o miejsce przy stole.

łem po gębie złotym pantoflem Omfalii. I nie zamordowałem także w napadzie szaleństwa żony i dzieci.

Herkules. Jeśli nie przestaniesz pyskować, to przekonam cię na miejscu, że ci twoja nieśmiertelność nie wiele pomoże. Stul gębę, albo wezmę cię za kołnierz i cisnę z nieba, iż ci rozbitego czerepu nawet Paeon [1]) nie zlepi i nie połata.

Jowisz. Zakończcie ten spór, ostrzegam po raz ostatni, i nie psujcie towarzystwu zabawy, bo pójdziecie precz od stołu. Zresztą, Herkulesie, rozważ, że się Eskulapowi należy miejsce przed tobą już chociażby dla samego wieku. Wszakże umarł przed tobą.

Z niepospolitym talentem wydrwił Lucyan całą mytologię grecko-rzymską, pastwiąc się głównie nad Jowiszem, znanym bałamutem Olimpu. Niektóre z jego „Rozmów“ przewyższają zjadliwością i dowcipem najlepsze trawestacye bieżącego stulecia.

Gdy się w jakiem społeczeństwie znajdzie pisarz, który może sobie pozwolić na żarty tak bezbożne, znaczy to, że religia urzędowa poszła u warstw oświeconych w poniewierkę i przestała być groźną dla bluźnierców. Jeszcze za panowania Augusta, chociaż się już wówczas bawiono po cichu kosztem Olympu, posiadali kapłani dosyć siły do poskromienia publicznych gorszycieli. Ale Lucyan (ur. 130 r. po Chr.) żył pod „filozoficznem“ berłem Antoninów, którzy wierzyli tak samo, jak on. Cyniczny grek wygłosił, na co się żaden z obywateli rzymskich nie odważył, rzymianin bowiem był zanadto trzeźwy i praktyczny, aby nie rozumiał szkodliwości wyuzdanego sceptycyzmu religijnego. Nawet niewierni z pomiędzy synów Romy nie zalecali tłumom bezbożności. Czynili to głównie Grecy, odgrywający w pierwszych wiekach po Chrystusie w filozofii i w literaturze tę samą rolę, jaką obecnie Francuzi na siebie wzięli.

Jak wszędzie, tak i w Rzymie bluźnierczy ateizm był w połączeniu z materyalizmem pierwszym rysem znamiennym rozkładu istniejącej przez szereg wieków cywilizacyi (dekadentyzmu). Z niego, z zatrutego źródła, wypłynęły kolejno wszystkie męty upadającej Romy, chorej już wówczas śmiertelnie, kiedy się podbitym ludom najzdrowszą, najświetniejszą wydawała. Bo religia, jako mistrzyni obowiązku i obyczajowości, stoi na stra-

[1]) Paeon przyboczny lekarz bogów na starym dworze Saturna.

ży dobra powszechnego, broni czystości ogniska rodzinnego i odbiera człowiekowi wrodzony mu strach przed śmiercią, przed zniszczeniem. Tylko bardzo mała liczba wybrańców odnosi podobne korzyści ze studyum filozofii.

Pierwszym owocem sceptycyzmu religijnego bywa zawsze wygórowany indywidualizm, czyli z pęt sumienia i obowiązku, rozkiełznany egoizm ludzki, z chwilą bowiem, gdy człowiek przestaje wierzyć w powagę Boską, upada dla niego wszelka powaga w ogóle. Bezbożnik korzy się tylko przed siłą brutalną. Daremnie przelał Brutus, jak wykazała najbliższa przyszłość krew Cezara, sfery bowiem rządzące Rzymu, patrycyusze i możni plebejusze, utraciwszy podstawę swojej dawnej dzielności, poczucie obowiązku, czystość obyczajów i karność obywatelską, nie byli już zdolni do rządów gromadnych.

Egoizm, trzymany w karbach przez prawodawstwo, wykwitłe z odwiecznych tradycyj rasy aryjskiej, wybuchnął z siłą długo powstrzymywanego potoku, gdy padły przed krytycyzmem filozoficznym i pod działaniem czasu tamy religii królów rzymskich. Wojny domowe, zamykające rzeczpospolitą, byłyby pracę wieków obróciły w niwecz, gdyby cezaryzm nie był ukrócił grzesznego indywidualizmu klas rządzących.

Z upadku religii (w rozumieniu nauczycielki etycznej) wynika w dalszym ciągu skażenie obyczajów. Przeciętny inteligentnik pragnie użyć życia, gdy przestał wierzyć w świat pozagrobowy. Jest to naturalny skutek materyalistycznego poglądu na świat. Sixte'ów Bourget'a, abstrakcyj wcielonych w beznamiętną skórę zasuszonych maniaków naukowych, oderwanych od życia, którego nie rozumieją, wydaje każda chwila dziejowa niewielu.

Oprócz wymienionych wyżej sentencyj nagrobkowych, zebrał Ludwik Friedländer jeszcze inne ciekawe napisy [1]). „Który to czytasz, bracie — napominał jakiś jowialny materyalista rzymski z po za grobu — używaj życia, po śmierci bowiem nie ma już ani żartu, ani śmiechu, ani żadnej innej radości". Któryś drugi ostrzegał: „Nie byłem niczem, nie jestem niczem. A ty, który żyjesz, jedz, pij, baw się i przychodź do mnie".

Tak samo uczyli poeci. „Żyjmy i używajmy, Lesbio — śpiewał Katull — i nie troszczmy się o to, co o nas zrzędzący

[1]) F. Fredländer , jak wyżej: tom III, str. 740.

powiedzą starcy, bo gadaniny ich nie są warte miedzianego szeląga. Słońce wschodzi i słońce zachodzi, ale my, gdy nasz dzień zgaśnie, zaśniemy snem nieprzebudzonym. Dlatego daj mi tysiąc i jeszcze sto pocałunków i znów tysiąc i jeszcze sto... i t. d.“

Śmierć straszy prawie wszystkich poetów Rzymu. Mają do niej żal Owidyusz i Horacyusz, Katullus i Propercyusz. Używać radzą śmielsi, szczersi, dopóki siły starczą. W odach Horacyusza, zachwalających umiarkowanie i obojętność, czuć obłudę, robotę.

I należałoby się dziwić materyalistom, gdyby wierzyli inaczej. Życie, które się kończy z chwilą zgonu, należy dobrze wyzyskać. Jest to wniosek zupełnie naturalny.

Wprawdzie usiłowali materyaliści wszystkich czasów, greccy, rzymscy i współcześni dowieść, iż właśnie ich teorye czynią człowieka spokojniejszym i obojętniejszym na grozę śmierci, ale argumentacya ich przekonywa tylko tych, którzy nie potrzebują być przekonani.

Już Lukrecyusz, wierzący w potęgi rozumu i nauki niezawisłej z takim samym fanatyzmem, jak pierwsi pozytywiści drugiej połowy XIX stulecia, przedsięwziął odebrać ludziom „strach przed Acheronem, który zamąca tak bardzo życie na ziemi, pokrywając wszystko barwą śmierci“ [1]). W tym celu włożył w usta natury „pociechę“ następującą: [2])

„Co ci się stało, śmiertelniku, iż męczysz się troską i zmartwieniem? Dlaczego skarżysz się na śmierć i płaczesz? Było-ż ci życie dotychczasowe darem pożądanym? Nie przeszły-ż wszystkie rozkosze, jak przez sito dziurawe i nie minęły-ż, zanim się niemi nacieszyć mogłeś? Dlaczego nie odchodzisz z godnością, do nasyconego gościa podobny, głupcze, i dlaczego nie chcesz przyjąć obojętnie bezpiecznego wypoczynku? Albo jeżeli ci rozkosze życia obrzydły, to dlaczego pragniesz jeszcze więcej, skoro się wszystko psuje i ginie bez pożytku dla ciebie? Nie lepiej-że zakończyć życie i trudy? Nie wymyślę już nic takiego, coby ci przyjemność sprawiło: jedno i to samo powtarza się ciągle. Choćby nawet ciało twoje nie straciło sił w starości, a znużone członki nie zwiędły, choćbyś żył zwycięzko przez całe wie-

---

[1]) Lucret. „De rerum natura“; III; 37 — 39.

[2]) Lucret. jak wyżej; III, 946—962.

ki, lub nawet, co jeszcze więcej znaczy, nie umarł nigdy, to nie użyjesz niczego nowego.

— Gdy się nędzarz uskarża na śmierć, nie powinna ż natura na niego wpaść i krzyknąć: wynoś się ze swojem jęczeniem i lamentowaniem. A kiedy starzec zawodzi, ma ona prawo powiedzieć: Pragnąc zawsze tego, czego nie posiadałeś, i lekceważąc rzeczy możliwe, zawiniłeś sam, jeżeli nie wyzyskałeś należycie dni swoich. A teraz, zanim się obejrzałeś, stoi śmierć przed tobą i oto musisz odejść nienasycony. Rzuć więc wszystko, od czego cię twój wiek odwraca, i ustąp z godnością młodszym, bo niemoże być inaczej [1]).

Lukręcyusz przyznaje argumentom natury słuszność, bo: „bezustannie musi stare ustępować, wyparte przez nowe, i jedno z drugiego się wytwarzać". Jak gdyby zapewnienie, że się coś stać musi, mogło kogoś do tego czegoś nakłonić! Właśnie owa nieubłagana konieczność śmierci, ów brutalny rozkaz bez żadnej apelacyi rozgorycza ludzi do życia. Niemoc wobec zgonu niecierpliwi, męczy ród Prometeusza.

Bardzo niezręcznie dowodzi „natura" Lukrecyusza, zamiast bowiem pociechy szczepi nienawiść, gniew, odsłaniając nicość rozkoszy doczesnych.

Lukrecyusz rozjątrza jeszcze ranę życia doczesnego wówczas, kiedy mu się zdaje, iż kładzie na nią balsam chłodzący. Bo nie przynosi ulgi biedakowi, przerażonemu bezlitością śmierci, ten kto mówi: „I ty wątpisz ciągle i otrząsasz się z grozą przed śmiercią, ty który żyjąc, byłeś jakby umarłym, ty, który przepędzasz we śnie znaczniejszą część życia? Ty, którego i na jawie nie opuszczają nigdy sny i który nosisz bezustannie w sobie kolce daremnej obawy, nie umiejąc odkryć, jakie cierpienie cię trapi." [2]).

Przykre zarzuty nie przekonały jeszcze nikogo, Lukrecyusz zaś nie szczędzi pospołu ze swoją naturą człowiekowi gołosłownych wymówek za jego strach przed śmiercią. Taka argumentacya równa się pospolitemu zrzędzeniu, potrącającemu tu i owdzie o akordy pesymistyczne.

Są tylko trzy siły, które pokonywają obawę przed uni-

---

[1]) Lucret. j. w. III, 964—975.

[2]) Lucret. j. w. III, 1058—1063

cestwieniem, mianowicie: wiara w życie pozagrobowe, cnota i głęboko odczuty pesymizm. Pierwsza pociesza, druga uczy pogardy, trzeci znieczula. Wierny nie obawia się nicości, bo ona dla niego nie istnieje; cnotliwy (honorowy, rycerski, uczciwy) umiera bez skargi, gdy trzeba; zrozpaczony nie żałuje życia, gdyż straciło dla niego wszelki urok. Ale cnotliwi i prawdziwi pesymiści nie należą do zjawisk powszednich, przeto grzeszy ciężko przeciw spokojowi rodu ludzkiego każda doktryna, która, nie mogąc dać cnoty i absolutnej obojętności, niweczy wiarę.

Wprawdzie twierdzą materyaliści wszelkich odcieni, iż z mętnego źródła ich mądrości można zaczerpnąć wszystko, co ludzie zwykle pięknem i dobrem nazywają, doświadczenie jednak przeszłości uczy inaczej. Księga dziejów opowiada, że materyalizm dawał swoim najlepszym wyznawcom, swoim mistrzom, ostatecznie buntowniczą rozpacz, udającą obojętność, w przeciętnych zaś uczniach budził zawsze chorobliwy głód używania.

Używał też Rzym cezarów, jak gdyby nie był jutra pewien, mimo nawoływań filozofii do umiarkowania. Tarzał się w rozpuście, ssąc bez miary krew, pot i łzy milionów pokonanych barbarzyńców.

Do używania potrzeba, oprócz zdrowia, dwóch pomocników: pieniędzy i kobiet.

Że cywilizowani potomkowie niecywilizowanych, dostatkami gardzących przodków, kochali złoto więcej niż cnotę i państwo, że wytworni, układni prawnukowie grubych, nieociosanych prapradziadów nauczyli się dla pieniędzy płaszczyć, upokarzać, znosić obelgi, kłamać, denuncyować, schlebiać bogaczom — dowodem tego plugawa historya pierwszych dwunastu cezarów. Odczytując Tacyta i Swetoniusza, nie chce się wierzyć, żeby to byli ci sami Rzymianie, z pośród których wyszli Decyuszowie, Torkwatowie, Cyncynatowie, Fabrycyusze, Brutusowie i tysiące wielkich, jedynie sprawie państwa oddanych wowników i obywateli.

Każdy z pierwszych dwunastu cezarów, nawet Neron i Domicyan, udawał zrazu monarchę uczciwego, dbałego o dobro publiczne. Każdy z nich zaczynał panowanie od rozporządzeń rozumnych i od uczynków szlachetnych. Wszakże żałował podobno Neron, iż uczono go pisać, gdy kładł po raz pierwszy nazwisko swoje na wyroku śmierci, a Domicyan naprawiał obyczaje. Każdy z nich oddawał się z obłudną uległością na łaskę

i niełaskę senatu, niepewny w pierwszej chwili usposobienia kraju.

Ale gra ta trwała zwykle bardzo krótko. Bo daremnie obawiali się cezarowie senatu i rycerstwa. Potomkowie dawnych wodzów i konsulów Rzymu kochali zanadto życie i użycie, iżby się chcieli narazić. Woleli kłamać zachwyt dla „boskiego“ geniuszu imperatora, ubiegać jego życzenia, kłaść się do jego stóp z pokorą psa, niż zasłużyć na gniew monarchy, w którego rękach spoczywały dni doczesne poddanych, godności, urzędy i posady w prowincyach. Odwaga obywatelska jest czystym frazesem bez pogardy życia i jego rozkoszy, tej zaś cnoty nie posiadali wychowańcy materyalistycznej filozofii greckiej. Tu i owdzie znalazł się jeszcze jakiś butny potomek hardych przodków, lub jakiś prawdziwy stoik czy pesymista, przenoszący śmierć nad spodlenie, większość jednak arystokracyi i inteligencyi rzymskiej za cezarów nienawidziła śmierci, jako kresu wszelkiego użycia.

Już Tyberyusz, który był z pochodzenia i przekonań zanadto arystokratą, aby żywił niechęć do szlachty, odzywał się, wychodząc z posiedzenia senatu, do najbliższego otoczenia po grecku: O, ci do niewoli stworzeni ludzie! [1]).

Miłość do życia i głód użycia zrobiły z potomków wielkich bohaterów i obywateli w istocie nikczemnych niewolników, dopuszczających się każdej podłości dla przedłużenia dni doczesnych i dla pomnożenia fortuny. Wszakże to cezar rozdawał zarząd prowincyj, które wolno było łupić, purpurę zaś senatorską można było sprzedać za miliony sestercyj jakiejś córce lub wdowie zbogaconego handlarza, dzierżawcy ceł, podatków, lub choćby denuncyanta. Nietylko w naszych czasach ubiegają się bankierowie, giełdziarze i fabrykanci o stosunki i koligacye; i w Rzymie płacili parweniusze dobrze za honor należenia do rodziny historycznej.

Więc pocóż narażać się cezarowi, który mógł wykluczyć ze stanu senatorskiego każdego, kto mu się stał niewygodnym? Historya senatu rzymskiego w pierwszem stuleciu ery chrześciańskiej jest straszliwem świadectwem upadku człowieka, pozbawionego religii, godności osobistej i trawionego żądzą użycia.

---

[1]) Tacit. Annal, III, 65.

Jeden purpurat denucyował drugiego o obrazę majestatu, a wszyscy starali się odgadnąć najtajniejsze myśli „boskiego“ imperatora. Prokonsulowie, propretorowie i legaci rządzili w prowincyach jak rabusie, przywożąc do stolicy skradzione miliony. Ubożsi senatorowie żebrali u cezarów o zapomogi, starali się o względy ich wyzwoleńców i niewolników, znosili dla spodziewanych zysków obelgi najniższej służby pałacowej. Świątynie, złote i srebrne posągi stawiał senat takim oszalałym dekadentom, jak Kaligula i Neron, i takim brutalnym tyranom, jak Domicyan.

Czego się senatorowie nie wstydzili, to naśladowali skwapliwie rycerze i plebejusze, przykład bowiem idzie z góry. Potomkowie dawnych przybocznych towarzyszów królewskich, zowiący się ciągle rycerstwem, chociaż nie służyli już stale wojskowo, dzierżawiąc podatki i cła w prowincyach i zajmując urzędy cesarskie, lub mównice obrończe przy trybunałach drugorzędnych, nie ustępowali w zdzierstwie prokonsulom, propretorom i legatom. Każdy, komu dozwolone było brać udział w rządach chociażby na stanowisku najmniejszem, kto mógł sprzedać stosunki, wpływy, znajomość prawa, wyzyskiwał podwładnych, kradł, brał łapówki, podarunki, słowem gromadził fortunę dopóty, dopóki się tylko dało. A trzeba było śpieszyć z robieniem majątku, łaska bowiem cezarów i doradców ich jeździła na koniu bardzo narowistym. Więc chwytał wielki i mały, co mu w rękę popadło, zbierał prawnuk plon, zasiany przez pradziada—owoce pracy podbitych narodów. Trzy czwarte zbrojnych buntów w prowincyach sprowadzała znana powszechnie chciwość celników, poborców i adwokatów rzymskich.

A kto nie posiadał kwalifikacyj do objęcia jakiej posady państwowej, komu losy nie pozwoliły czerpać z pełnego żłobu, ten stawał się denuncyantem, zbirem, byle pochwycić garść złota.

Kto się w końcu nawet na donosiciela nie przydał, ten wolał pełnić służbę t. zw. klienta, niż uczciwie pracować. Codziennie, ze wschodem słońca, zalegały ulice Rzymu tysiące włóczęgów, ubranych w białe togi. Hałastra ta ciągnęła z pozdrowieniem rannem, z hołdem do pałaców i willi możnych panów, lub towarzyszyła lektykom „przesławnych“ (*clarissimi*) senatorów i „znamienitych“ (*perfectissimi*, *egregii*) rycerzów, za co odbierała stałe wynagrodzenie pieniężne, lub bezpłatne pożywienie. Nędzna to była zapłata za pracę upokarzającą, klientom

bowiem wyznaczano zwykle $6^1/_4$ sestercyj dziennie, czyli tyle, ile niewolnikom dawano na piwo, ale czasami zdarzało się, że jakiś pan przypomniał sobie dawny obyczaj i zaprosił biedaka do stołu [1]), lub obdarzył zręcznego pochlebcę kilku morgami gruntu [2]). Bywało także, iż bardzo hojny bogacz rzucił klientowi kilka tysięcy sestercyj [3]).

Za honor zaprosin do stołu magnata, za nadzieję wzięcia kiedyś udziału w wytwornej biesiadzie pana, podnosił się klient, karykatura dawnego przyjaciela, lennika rodu szlacheckiego, przed świtem z ubogiego łoża, cerował i prał zużytą togę, wystawał następnie na deszczu, słocie i mrozie pod drzwiami pałacu, kłaniał się niewolnikom, broniącym przystępu do „króla," znosił cierpliwie obelgi, często nawet kułaki. Za poniewierkę tę doczeka się przecież choć raz świetnego obiadu, o jakim dumny robotnik nie ma nawet wyobrażenia.....

A motłoch, czerń stolicy, niższa jeszcze od klientów?

Motłoch rzymski był dzieckiem pieszczonem cezarów. Dla niego sprowadzał skarb państwa zboże z Egiptu i urządzał świetne igrzyska cyrkowe, trwające po sto dni, na niego sypało się złoto monarchy w teatrach i na rynkach.

Motłoch rzymski bawił się najlepiej, nieskrępowany bowiem żadnymi obowiązkami obywatelskimi i towarzyskimi, brał udział we wszystkich uciechach publicznych stolicy. Że czasem nie dojadł, że mieszkał latem pod mostem, a zimą w szopie, że świecił wytartymi łokciami—to cóż z tego... On był przyzwyczajony do kwatery pod gołem niebem i łachmanów na grzbiecie, i nie dbał o niebezpieczne splendory cezarów. Senator, gdy mrugnął powieką nie tak, jak sobie życzył Kaligula, Neron lub Domicyan, dawał gardło, a motłochowi wolno było „ziemskiego boga" nawet wyświstać w teatrze i w cyrku. Zawsze pewny wdzięcznego uśmiechu imperatora, pan motłoch bawił się, krytykował rząd głośno, a gdy był głodny, lub nudził się, wówczas szedł bez obawy na Palatyn i wrzeszczał pod oknami monarchy: dawaj chleba i widowisk! I zaraz nazajutrz szły galery do Afryki po zboże i po dzikie zwierzęta...

Panem et circenses! rozlegało się ciągle w Rzymie ceza-

---

[1]) Juvenalis, V, 12 — 18.
[2]) Juvenalis, IX, 59.
[3]) Martialis, IX, 11, 6.

rów. O życiu i użyciu marzyli wszyscy, wielcy i mali, oświeceni i ciemni — każdy po swojemu. I wszyscy kochali pieniądz, przyjemności, rozkoszy dawcę...

To „wszyscy“ nie oznacza oczywiście całego ludu rzymskiego i poddanych mu prowincyj. Odnosi się ono głównie do samej stolicy, a w niej do sfer rządzących i do motłochu. Między arystokracyą, plutokracyą i inteligencyą z jednej strony, a próżniaczym tłumem klientów i proletaryuszów z drugiej, istniała i w Rzymie, jak wszędzie, warstwa pośrednia, niedotknięta szałem ogólnym. I sfery uprzywilejowane wydawały jeszcze w czasach najgorszych znakomitych wodzów, rozumnych obywateli, hojnych panów, uczciwych i szlachetnych ludzi. Liczne świadectwa cnoty publicznej i prywatnej zapisali w księgach swoich historycy cezarów.

Ale nie owym rozumnym, uczciwym i szlachetnym zazdroszczono w pierwszych wiekach po Chrystusie. Cnota nie była wówczas dobrem poleceniem; obchodzono się z nią jak ze zbrodniarką. Nie zasłudze oddawano cześć, lecz chwilowemu powodzeniu i pieniądzom.

Skarży się Juvenalis, iż w Rzymie „pytają przedewszystkiem o majątek, a dopiero potem o obyczaje. Ile kto posiada niewolników, ile ziemi, ile i jakie półmiski zastawia przy obiedzie“ — główną to troską — „bo każdy ma tylko tyle zaufania, ile pieniędzy jego skrzynia zawiera“. Uczciwem ubóstwem pomiata pierwszy z brzegu szubrawiec. Nikt nie pamięta w testamencie o ubogim i żaden edil nie zaprosi go do rady miasta. Opuścić stolicę w zwartym szeregu powinni wszyscy ubodzy kwiryci. Z trudem pnie się ten pod górę, którego cnotę krępuje ubóstwo“ [1]).

I duchowni rzymscy kochali złoto nad miarę godziwą. Ponieważ wyższym kapłanom nie wolno było zajmować posad świeckich, które ułatwiały zrobienie fortuny, przeto wakowały dość często dygnitarstwa świątyń. Ofiara i auspicya poszły w poniewierkę. Nikt nie kwapił się do służby bogów, a wróżby sprzedawano za pieniądze. Drwi Propercyusz: za złoto służą Jowisz i wszystkie gwiazdy na niebie [2]). Skarży się Owidyusz: złota bo istotnie nadeszła epoka. Złoto daje najwyższe godności

---

[1]) Juvenalis, „Stir“ III, 140—144; 161—165.
[2]) Propert, „Eleg“ V, 1, „Wróżbita“.

i kupuje miłość [1]). Mówi Petroniusz Arbiter przez usta Ganimedesa: dziś nie wierzy już nikt w bogów, nie zachowuje postów, nikt nie dba o Jowisza; każdy tylko przymruża oczy i liczy grosiwo [2]).

Głód złota należy obok bluźnierczego ateizmu i zgubnego indywidualizmu, obok nadmiernego przywiązania do życia i żądzy użycia do głównych rysów dekadentyzmu rzymskiego.

Sami cezarowie szli w tym względzie przodem. Kazali oni bogaczom wytaczać procesy o obrazę majestatu dlatego, żeby zagarnąć ich fortuny i zmuszali zamożniejszych do legatów na swoją korzyść. Nawet uczciwsi z pomiędzy nich, jak Wespazyan, grzeszyli brudną chciwością.

Co robili imperatorowie, naśladowali w końcu i żołnierze. Coraz częściej buntowały się legiony, domagające się podwyższenia żołdu i nadzwyczajnych gratyfikacyj.

W Rzymie cezarów narodziła się i dojrzała nieznana innym ludom podłość — owa gonitwa za zapisami, owe systematyczne obleganie każdego, kto rozporządzał znaczniejszym majątkiem. Ojciec obawiał się syna, brat brata, stryj synowca, każdy bowiem czyhał na spadek, uciekając się do trucizny, gdy mu się czekanie sprzykrzyło. Już Lukrecyusz znał „braci, którzy się na pogrzebie brata radowali“ i krewnych „co obawiali się miejsca przy stole krewnych“ [3]). Wszyscy satyrycy rzymscy skarżą się na fachowych łowców spadkowych, którzy byli specyalnym wytworem rozwiązłej, przed złotym cielcem korzącej się Romy.

U stóp tego bożka narodów upadających czołgała się nie sama tylko „połowa brzydka“. I płeć piękna stawiała złoto po nad cnotę, użycie po nad obowiązek.

Minęły już czasy „matrony rzymskiej“. Czysta, mężowi swojemu a panu posłuszna, kapłanka ogniska domowego, żona obywatela, matka bohaterów, sprawiedliwa i rządna gospodyni, niemieszająca się czynnie do spraw publicznych, należała w „złotym“, „oświeconym“ Rzymie do legend, z których drwi-

---

[1]) Ovid, „Ars Amandi“, II, 277, 278.

[2]) Petronius Arbiter, „Satyricon“; Fragment p. t. „Biesiada u milionera rzymskiego“ w przekładzie Wł. M. Dębickiego; Warszawa, 1879, str. 60.

[3]) Lucret, jak wyżej, III, 72, 73.

ły damy oświecone. Nie omyliłby się nawet, ktoby główną część winy w skażeniu obyczajów przypisał kobietom.

Jeszcze obywatel rzymski składał bez szemrania życie, mienie i synów na ołtarzu państwa, jeszcze odznaczali się najbogatsi skromnością stroju, stołu i wygód domowych, kiedy dla kobiet trzeba już było ustanawiać prawa, powstrzymujące ich wrodzony pociąg do błyskotek i kosztownych gałganków. Za sprawą trybuna Kajusza Oppiusza zakazano rzymiankom w r. 215 przed Chr. kłaść na siebie więcej złota niż $^1/_{24}$ funta, nie ubierać się w pstre suknie i nie jeździć w mieście powozem.

Nie podobało się to rozporządzenie „matronom“. Więc, zjednawszy dla swoich celów dwóch wielbicieli płci pięknej, trybunów M. Fundaniusza i L. Waleryusza, postarały się o zniesienie niemiłego dla nich prawa. A tak gorąco pragnęły owych świecidełek i fatałaszków, iż upominając się o nie, przekroczyły wszelką miarę przyzwoitości. Opowiada Liwiusz [1]), iż obywatelki rzymskie, patrycyuszki i plebejki, bogate i ubogie, stare i młode, nie ufając swoim mężom, wyległy w dzień rozpraw sejmowych na rynki i ulice i zatrzymując spieszących na zebranie kwirytów, prosiły ich, zaklinały, błagały o usunięcie „okrutnego paragrafu.“ Rzym robił tego dnia wrażenie obozu niewieściego, na pomoc bowiem mieszkankom stolicy nadciągnęły strojnisie z okolicznych miasteczek, wsi i osad. Cała ta szczególnego rodzaju armia, uzbrojona w piękne oczy, rozkoszne uśmiechy i słodkie słowa, w obietnice i łzy, krzyczała, giestykulowała, płakała, jak gdyby chodziło nie o błyskotki, lecz o całość rzeczypospolitej, o szczęście mężów, dzieci.

Zbiegowisko takie byłoby niemożliwe, gdyby ówcześni Rzymianie byli jeszcze rzeczywistymi ojcami rodzin w dawnem, dobrem rozumieniu. Słusznie też mówił konsul M. Porciusz Kato, broniąc prawa Oppiusza: „Gdyby każdy z nas, obywatele, umiał u żony zachować swoje prawa i znaczenie, mielibyśmy teraz mniej kłopotu z kobietami. Ale pozwoliwszy się rozpanoszyć niesforności niewieściej w domu, doczekaliśmy się tego, co się dziś dzieje. Oto wyszły nasze żony i siostry na *forum* i depczą powagę mężów i braci nogami“.

Obywatel rzymski z czasów królestwa i rzeczypospolitej był tak ciągle zajęty po za domem, iż zostawiał z konieczności rzą-

[1]) Liv. 34, 1.

dy rodziny matce, lub żonie. Jako żołnierz roznosił kości swoje po całym świecie, jako urzędnik służył sprawie publicznej bez wytchnienia. Głównie członkowie możniejszych domów, nasamprzód tylko patrycyusze, potem także plebejusze mieli bardzo mało czasu dla siebie i dla rodzin swoich. Począwszy od dziewiętnastego roku życia, od chwili wstąpienia do armii, wysługiwał się senatorowicz państwu aż do wieku sędziwego. Jako młodzieniec był niższym oficerem w wojsku, następnie odbywał kwesturę, dalej preturę lub trybunat, dowodził legionem, zarządzał prowincyą, zostawał konsulem, szedł powtórnie na gubernatora do krajów zdobytych i t. d. Arystokrata rzymski dobiegał zwykle pięćdziesiątki, zanim mu spocząć dozwolono. Nawet za czasów cezarów nie wolno było należącemu do stanu senatorskiego wymówić się od posad publicznych.

Żona tymczasem, zostając w domu, gospodarowała po własnej myśli, uczuwała się coraz więcej panią, zwłaszcza, że kobiety nie zajmowały w Rzymie nigdy stanowiska podrzędnego, szczęśliwsze pod tym względem od greczynek. Matrona brała udział w naradach familijnych i biesiadach i ruszała się swobodnie po mieście i kraju.

Matkę przyszłego obywatela dopuszczał mąż do rozpraw, odnoszących się do rzeczy publicznych i uwalniał ją od grubych posług. Matrona zajmowała się wprawdzie gospodarstwem i kuchnią, ale nie gotowała sama i nie mełła żarn. Już za królów spełniały te czynności niewolnice. Tylko przędzenie należało do obowiązków pani domu.

Dopóki religia, umiarkowany byt i czystość obyczajów tworzących się dopiero państw trzymały w karbach próżność, pychę i bezkarność niewieścią, dopóki rzymianka była wistocie matroną, dopóty nie szkodziły jej rządy domowe, ani rodzinie, ani państwu. Przeciwnie! Matka, umiejąca rozkazywać, wychowywała dumnych obywateli i mężnych wojowników.

Gdy król Pyrrhus usiłował przez posła swojego Cyneasza przekupić za pomocą świetnych darów żony dygnitarzów rzymskich, nie znalazł w grodzie Romulusa ani jednej chętnej ręki: Matrony wzgardziły jego błyskotkami. Przez pierwszych pięćset lat od założenia stolicy nie wiedziano w całem Lacyum o rozwodach: Matrony nie opuszczały mężów nawet wówczas, gdy stadła nie były dobrane.

Ale starodawną religię rzymską, polegającą na bojaźni bo-

żej i na czci ogniska domowego, skrzywiła nasamprzód mytologia grecka, najeżona lubieżnością zmysłową i bezbożnemi opowieściami, a następnie usunęła ją zupełnie filozofia materyalistyczna. Byt umiarkowany ustąpił wielkim dostatkom z chwilą, gdy legiony rzymskie przepłynęły morze i podbiły prowincye afrykańskie. Skażenie obyczajów było już tylko skutkiem dwóch przyczyn poprzednich.

Z Grecyi szły do Rzymu rozpustne legendy mytologiczne, bezecne komedye, zmysłowe poezye i powieści (Milezyjskie), szydząca ze wszystkiego filozofia, z Afryki zaś nadchodziły: bogate łoża biesiadnicze, kosztowne tkaniny, wytworne sprzęty i śpiewaczki, muzykantki, złoto, kość słoniowa, wonie, rozpusta i zniewieściałość.

Z darów zwycięskich wojen korzystały zrazu głównie kobiety, bo nie używał ich legionista, znoszący przez długie lata trudy obozowe, bez względu na to, czy wodzem był, czy prostym żołnierzem. Co mężowie i bracia krwią zdobyli, za co życie dawali, głód, rany i poniewierkę znosili, to służyło przedewszystkiem żonom ich i siostrom. One też, bogate teraz panie, zajmowały się literaturą i sztukami pięknemi, chociażby dlatego, że miały więcej czasu do wykwintnej zabawki. One też zaczęły się psuć, rozkładać wcześniej od „połowy brzydkiej," już bowiem bezpośrednio po wojnach punickich odzywają się skargi mówców i autorów na zbytek kobiet.

Nie za cezarów, lecz w r. 195 przed Chryst., uważał konsul M. Porciusz Kato, broniąc owego prawa oppiuszowego, za konieczne rzucić w twarz niewiastom rzymskim okrutną obelgę, gdy wołał: „Niechby się teraz tylko Cyneasz zjawił w mieście, a znalazłyby się na ulicach kobiety stojące, któreby mu złoto i purpurę z rąk wyrywały"...

I między kobietami zaczął wichrzyć zgubny indywidualizm. Zdemoralizowani obywatele rzymscy przekładali swoje sprawy osobiste nad dobro powszechne (wojny domowe), wykolejone zaś obywatelki przypomniały sobie t. zw. „prawa kobiece". Gniewało wytworną elegantkę, że ją starodawny obyczaj uczynił poddanką męża, przeto usiłowała wpływać czynnie na działalność prawodawczą. Upokarzało oświeconą damę, kształcącą się na rozpustnych komedyach i powieściach greckich, iż ją ojciec zaślubiał obcemu człowiekowi, nie pytając o jej przyzwolenie, więc, zrozumiawszy znaczenie „praw serca", zaczęła się rozwo-

dzić, przebierać w mężach, żyć swobodnie, lekceważyć „zacofane, zaśniedziałe przesądy“.

Począwszy od wojen punickich zmieniło się położenie kobiety rzymskiej. Powoli ustępowały dawne prawa nowym, coraz to względniejszym dla płci pięknej i rozszerzały się granice edukacyi damskiej.

Zamożna rzymianka z czasów dogorywającej rzeczypospolitej i cezarów odbierała „wychowanie staranne.“ Za drogie pieniądze z Grecyi sprowadzeni, niewolnicy uczyli ją literatury rzymskiej i greckiej, matematyki, filozofii, śpiewu muzyki i tańca. Nawet wymowa nie była rzymiance obcą. I skromnymi środkami rozporządzające córki obywatelskie kształciły się za pośrednictwem licznych szkół, utrzymywanych przez retorów, pedagogów i filozofów.

Co miało kobietę podnieść do wyżyn umysłowych mężczyzny, niepodobnego już także do dawniejszego obywatela „słomianego, drewnianego Rzymu“, co miało wykształcić jej głowę i serce, to wywołało w znacznej części skutek wręcz przeciwny. Rzymianka pozbawiona przez wiedzę materyalistyczną „przesądów“, emancypowała się coraz dalej w kierunku ujemnym. Bezbożność filozofii i lubieżność poezyi rozpętały w niej do reszty złe instynkty niewieście.

Nie wiele korzyści odniósł Rzym z mądrości kobiet. Wprawdzie wykwitło prawdopodobnie z ruchu naukowego kilka autorek i jakaś niewielka liczba dam prawdziwie wykształconych i uczonych, poeci bowiem i historycy z czasow cezarów mówią tu i owdzie o kobietach, zajmujących się fachowo literaturą i nauką, ostateczny jednak wynik tej działalności musiał być bardzo niewielki, kiedy nie zostało po nim żadnych śladów. Z twórczości umysłowych rzymianek nie zachowało się nic takiego, o czemby warto pamiętać.

Bujniej od kwiatu rzeczywistej wiedzy i sztuki, wyrósł w Rzymie chwast dyletanctwa naukowo-literackiego, który bywa plagą wszystkich epok dekadenckich. Co Juvenalis mówi o sawantce rzymskiej [1]), można do współczesnych „mądrych kobiet“ dosłownie zastosować:

---

[1]) Juvenalis, „Satir“, VI 434—456.

O wiele nieznośniejsza, gdy za stołem siędzie,
Dopieroż ci wychwalać Wirgilego będzie,
Dydony śmierć tłumaczyć, a w wielkim zapale
Zestawiając poetów, kładzie na tę szalę
Wirgilego; Homera położy na drugą
I wydaje krytykę uczoną a długą.
Gramatyk wnet zamilknie, retor milcząc słucha,
Milczą i biesiadnicy, nadstawiając ucha,
I adwokat, choć zawsze gotowy do słowa,
Nie piśnie i wraz z woźnym w tłum gości się chowa.
Nie odezwie się nawet i inna kobieta:
Takie wielkie słów mnóstwo z ustek jej wykwita,
A w uszach aż ci dudni,..

. . . . . .

I Marcyalis drwi z uczoności jakiejś Galli [1]).

Takich mądrych niewiast, dysputujących z gramatykami, retorami i filozofami, posiadał Rzym w pierwszych swoich wiekach ery chrześcijańskiej wielkie mnóstwo. Gawęda literacko-naukowa należała do koniecznych przypraw każdej wykwintniejszej biesiady i była w „salonie“ ozdobą damy światowej, lub chcącej uchodzić za „dobrze wychowaną“, za „wytworną«.

Sawantka ówczesna, tak samo, jak dzisiejsza, zaniedbywała dom, rodzinę, naturalne obowiązki kobiety w ogóle, była mężowi kulą u nogi, dzieciom zaś szkodliwym przykładem próżniaczego gadulstwa.

Zamiast się uszlachetniać i podnosić przez pracę umysłową, traciła rzymianka resztki cnót domowych, odziedziczonych po matronach. Bo czegóż mogła się nauczyć od filozofów upadłej Grecyi, od jej beletrystów i od ich naśladowców rzymskich? Filozofia usuwała z pod jej stóp bezpieczną podstawę religii, dając jej wzamian za to garść zwątpień i drwin. A teatr, poezya?...

Teatr, za którym obywatelka rzymska do tego stopnia przepadała, że uboższe zastawiały kolczyki i naszyjniki, byle tylko nie ominąć żadnej „premiery“, był już w ostatnich czasach rzeczypospolitej publicznym gorszycielem. Podniosłe, gorące słowo tragedyi nie pociągało nikogo. Dawały ją teatry pierwszorzędne od czasu do czasu jedynie dla honoru domu, a i wte-

---

[1]) Martial, 10, 68.

dy zajmowała widzów więcej świetna wystawa, niż poezya wielkich uczuć i namiętności. Jak obecne teatry stolic europejskich, ubiegały się i sceny rzymskie przedewszystkiem o blask zewnętrzny. W sztukach, w których występowało wojsko, przeciągały przed oczyma armie pieszych i konnych komedyantów. Odtwarzano z całym przepychem pochody tryumfalne, z wozami, jeńcami w kostyumach narodowych i z drapieżnemi zwierzętami. Nie ucho muzyką pięknego słowa pieścić chodzili ludzie na tragedyę, mówi Horacyusz [1]), lecz jedynie dlatego, aby napaść oczy widokiem błyskotliwej, bogatej wystawy. Coś bardzo niezwykłego musiał wymyślić, kto chciał zapełnić salę teatralną. Jedyny w epoce cezarów częściej grywany rzymski autor dramatyczny, Afraniusz, napisał komedyę, w której zachodził pożar (stąd tytuł „Pożar“). W wykonaniu scenicznem tego dzieła nietylko palono rzeczywiście dom, ale pozwalano nawet widzom dla zabawy ów... płonący budynek zrabować [2]).

Większem powodzeniem od tragedyi i dramatu w stylu szlachetnym cieszyła się w Rzymie t. zw. nowa komedya grecka, naśladowana przez Plauta i Terencyusza, ośmieszająca bogów, bohaterów i lubująca się w odtwarzaniu scen z życia heter.

Ale i ten rodzaj, chociaż już bardzo daleki od umiarkowanego tonu komedyi dawniejszej, miał zwolenników tylko wśród wytworniejszejszej inteligencyi. Pstry tłum przeciętnych teatromanów nudził się na subtelnej satyrze ówczesnych obyczajów. Publiczność rzymską bawiły głównie atelany i mimy, odpowiadające naszym dzisiejszym farsom i operetkom. Sztuka bez wiarołomstwa i kokot, bez drwin z bogów, bez tłustych dwuznaczników i grubych kupletów nie mogła liczyć na powodzenie. Im utwór był sprośniejszy, tem lepiej płacili za niego pretorowie, urządzający widowiska publiczne.

Niemoralność atelanów i mimów potęgowały jeszcze pantominy, przeplatające utwory dramatyczne. Gdy się publiczność rozochociła, wówczas domagała się od baletników „mniej sukien“. Tancerze, posłuszni pani swojej, zrzucali przejrzyste już i tak ubrania i pokazywali się widzom w stroju Adama.

Teatr upadającego Rzymu zatruwał duszę i serce, drażnił

---

[1]) Horat. Epp. II, 1, 181 i nast.

[2]) Sveton „Nero“, 11.

zmysły, pobudzał złe instynkty. Wszyscy uczciwsi autorowie z czasów cezarów zwracali uwagę na jego szkodliwość. Ale mądre i niemądre panie witały każdy brud moralny rzęsistymi oklaskami, każdy dwuznacznik uśmiechami, każdą bezczelność lubieżnemi spojrzeniami.

Gorszyła kobietę filozofia, nauka, powieść, gorszył ją teatr. A poezya?...

Ulubieńcem elegantek rzymskich był Owidyusz. Jego „Sztuka kochania“ (*Ars amandi*) znajdowała się w każdej gotowalni damskiej.

Sztuką uwodzenia kobiet powinien był Owidyusz nazwać to arcydzieło przewrotności ludzkiej. Żaden ze współczesnych „psychologów“ francuskich nie dał „zjadaczom serc“ lepszych wskazówek od niego. Niesumienny ród Don Juanów może się dotąd od poety rzymskiego uczyć sposobów omotania upatrzonej ofiary.

Nie dla bogatych pisał Owidyusz swoją „Sztukę kochania“, kto bowiem złoto posiada, ten nie potrzebuje wskazówek poety. „Nawet barbarzyniec będzie się podobał, jeśli jest bogatym“ (II; 276).

— Nie dla bogatych — mówi jeszcze Owidyusz — chcę być nauczycielem w miłości. Sztuki mojej nie potrzebuje, kto dawać może. Zdolnym jest i szczęśliwym, komu powiedzenie „weź, ile ci się podoba“, nie sprawia trudności. Moje wskazówki są mniej warte od argumentów brzęczących. Ponieważ kochałem, ubogim będąc, przeto jestem śpiewakiem tylko dla ubogich (II; 161 —165).

Spalić na stosie powinny były rzymianki dzieło Owidyusza, każda bowiem wskazówka, dana przez niego mężczyźnie, zawiera dla nich obelgę.

„Nie wierz w cnotę kobiety — bądź zuchwałym, a zdobędziesz każdą“. — „Nie wierz w jej rozum — kłam dobrze, a oszukasz każdą“. — „Głupia jest płeć piękna, próżna, lubieżna, chciwa błyskotek i pieniędzy, przeto schlebiaj jej zręcznie i nie szczędź podarunków“.

Tak mniej więcej przedstawia się kobieta bystrym oczom poety.

Rozumie się, że ten cyniczny i okrutny obraz nie może się odnosić do wszystkich obywatelek rzymskich w ogóle. Upa-

dająca Roma wydała wprawdzie takie lubieżne potwory, jak Julię, córkę Augusta, Messalinę i Agrypinę, żony Klaudyusza, Junię, Silanę, Sabinę, Popeę, Faustynę i w. in., ale także takie świetlane wcielenia cnót domowych i obywatelskich dawnych matron, jak Agrypinę, małżonkę Germanika, dwie Sekstye, dwie Arrye, Politty, Witellie i krocie wzorowych niewiast, oddanych mężom i dzieciom. Okoliczność jednakże, iż znalazł się poeta, który mógł napisać „Sztukę kochania“ i zdobył sobie tem dziełem rozgłos powszechny, dowodzi niezawodnie zwyrodnienia znacznej liczby kobiet rzymskich i upadku obyczajów w sferach zamożniejszych. Bo głównie dla bogatszych próżniaczek pracują Owidysusze i do niego podobni autorowie. Ubogie żony i matki, zmuszone położeniem swojem do ciągłej pracy, nie mają czasu do sportu miłosnego.

Zmysłowość odgrywała niewątpliwie znaczną rolę w życiu Rzymian z epoki dekadencyi, tylko bowiem miłość lubieżną znają i opiewają poeci owego czasu i przenoszą zawsze kobietę rozwiązłą nad uczciwą. Lesbie, Cyntye, Delie Kattulów, Propercyuszów i Tybullów są kokotami, lub cudzemi żonami, „każdego bowiem cieszy—uczy Owidyusz—nowa rozrywka, a cudze podoba się zawsze lepiej niż swoje“ (Ovid. Ars Amandi I, 337—338)

Dla kobiet, lekceważących „zaśniedziałe przesądy“ dawnych matron napisał Owidysusz część trzecią „Sztuki kochania“. Tym dodatkiem zapewnił swojemu dziełu powodzenie w świecie eleganckim.

„Bo pamiętajcie — upomina poeta — że kiedyś nadejdzie starość. Niezapominajcie o dalekiem jutrze, nie zmarnujcie czasu podaremnie. Bawcie się, dopóki wam młodość na to pozwala. Lata płyną jak woda. Gdy fala minęła, już jej nic nie odwoła... Nadejdzie czas, kiedy ty, co dziś miłość od siebie odtrącasz, będziesz do niej w samotnej, zimnej sypialni staruszki z żalem wzdychała“ (Ov. A. t. III, 59 i nast.).

Po takim wstępie, podał Owidysusz i dla kobiet, chcących sport miłosny umiejętnie uprawiać, szereg cynicznych wskazówek.

Tę samą truciznę ssały rzymianki i z elegii i z licznych w owych czasach powieści Grecyi, która straciwszy dzielność męską i cnoty obywatelskie, pocieszała się w swem upodleniu najchętniej miłością wyuzdaną. Belletryści wysp greckich pisali

już tylko komedye mieszczańskie z wiarołomstwami; idyotyczne farsy i lubieżne romanse [1]).

Wszystko co się działo przy końcu rzeczypospolitej i za czasów cesarstwa, składało się na demoralizacyę kobiety. Psuły ją bogactwa, zdobywane w prowincyach przez legiony, rozpieszczała ją powolność ojców, mężów i braci; gorszyły: filozofia, nauka, teatr, poezya. Kiedy Rzym zaczął naprawdę używać, pokonawszy wszystkich swoich wrogów, była już płeć piękna znakomicie do rozpusty przygotowana [2]).

Mówi Seneka: „Panie nie liczą już swoich lat podług konsulatów, lecz według cyfr mężów... Wychodzą one za mąż jedynie dlatego, aby podrażnić kochanków. Czyste życie stało się świadectwem brzydoty niewieściej. Bardzo wstrętną musi być dama, posiadająca tylko dwóch kochanków".

Drwi Marcyalis [3]): „Już oddawna rozglądam się w mieście szukając dziewczyny, którąby odmówiła. Nie znalazłszy ani jednej uczciwej kobiety, zaczynam wierzyć, iż czystość jest przestępstwem, zabronionem w Rzymie. Nie ma-li ani jednej wstydliwej? O, jest ich wiele tysiący... Jakże sobie te skromnisie radzą? Nie ubiegają się one poprostu same, ale zaczepione, nie odmawiają nigdy".

Straszliwie ochłostał Juwenalis kobietę rzymską w satyrach swoich.

Chociaż nie ulega żadnej wątpliwości, iż połowę tych poglądów pesymistycznych trzeba odliczyć na rachunek zaciekłości satyrycznej, nieodznaczaczającej się nigdy bezstronnością, mimo to należy przyjąć zwyrodnienie przeciętnej rzymianki światowej, wytwornej, za pewnik historyczny. Dawna matrona stała się rozpustnicą, powodowaną już tylko żądzą używania zmysłowego.

I zaczęło się używanie powszechne..

---

[1]) Ciekawych rozwoju powieści greckiej odsyłam do dzieła niemca, Erwina Rohde, p. t. „Der Grieschische Roman und seine Vorläufer" Lipsk 1876. U nas zajmuje się belletrystyką Grecyi i Rzymu Kazimierz Morawski, którego bardzo dobre studyum p. t. „Petronius Arbiter i romans w starożytności" wydrukawała „Biblioteka Warszawska," zeszyt za maj, 1894.

[2]) Sylwetkę kobiety rzymskiej napisał u nas Jan Wolfram p. t. „Rzymianka, studyum historyczno-obyczajowe", Warszawa 1869.

[3]) Martialis, IV, 71.

— Kto kocha zbytek — mówi Lucyan [1]) — kogo wabi blask złota, kto potrzebuje do szczęścia sukien purpurowych, władzy i wpływu, kto nie smakował nigdy słodyczy prawdziwej wolności, wychował się wpośród niewolników i pochlebowców i nie widział nigdy rzeczy istotnie pięknych i dobrych; kto całą duszę oddał w służbę rozpuście i omamiony przez jej czary i jej błyskotliwość, poświęcił życie rozkoszom stołu, wina i miłości; albo w końcu, kogo podbudza brząkanina muzyki i łaskoczą przyjemnie bezecne tańce i lubieżne pieśni — ten powinien sobie wybrać to miasto (ma być Rzym) na miejsce stałego pobytu.

— Bo tu (w Rzymie) znajduje się na wszystkich rynkach i ulicach wielkie mnóstwo tego, co tacy ludzie kochają. Tu można rozkosz wciągać w siebie przez wszystkie furtki duszy, przez oczy, uszy, nos, podniebienie i przez wszelki inny kanał. Tu płynie rozkosz bezustannie mętnym, nigdy niewysychającym strumieniem i rozszerza wejście dla występków do tego stopnia, iż wiarołomstwo małżeńskie, chciwość pieniędzy, krzywoprzysięstwo i wszystkie inne namiętności, wylęgające się w jej żyznem błocie, wypadają razem z nią, zalewają całą duszę i unoszą z sobą przemocą uczucie wstydu, sprawiedliwości i cnoty. A gdy te uczucia zginą, wówczas zostaje ona sama (rozpusta), podobna do obeschłego dna bagna, z którego wyrastają szybko wszelkie rodzaje dzikich żądz, nieznoszących obok siebie nic zdrowego.

Wciągał w siebie tedy obywatel rzymski rozkosz „przez wszystkie furtki duszy, przez oczy, uszy, nos, podniebienie i przez wszelki inny kanał". Mieszkał w pałacach marmurowych, ozdobionych freskami, malowidłami, kobiercami babylońskimi i posadzkami mozaikowemi. Jadł na złotych półmiskach, pił z porfirowych puharów, spał na purpurowych wezgłowiach, ubierał się w najwytworniejsze tkaniny ówczesnego świata. Pokoje stroił zimą kwiatami, hodowanymi w cieplarniach, meble, na których spoczywał, i wino, które niósł do ust, perfumował. Gdy się udał do kąpieli, nie wychodził z niej o własnych siłach. Z wanien i basenów wynosiła go służba na rękach. Na ulicy nie raczył patrzeć przed i naokoło siebie i odpowiadać na pozdrowienia przechodniów. Jeden niewolnik postępował przed nim i zwracał jego uwagę na przeszkody, zagrażające jego stopie

[1]) Lucyan, Nigrinus, 16, 16.

rozpieszczonej, drugi oddawał za niego powitania. Klęcząc, prosili go ubodzy o zapomogi.

Najwykwintniejsze pokarmy, najpiękniejsze kobiety, najzdolniejszych aktorów, muzykantów, woźniców cyrkowych, poetów, retorów i filozofów przysyłały liczne prowincye Rzymowi, aby się pan świata bawił, aby miał wszystko pod ręką, czego tylko próżniak i rozpustnik mógł zapragnąć.

Używali praprawnukowie za krwawą pracę szeregu pokoleń — trwonili ojcowiznę i cnoty przodków.

Bo ten pan świata, taki potężny, oświecony i szczęśliwy na pozór, był wistocie nędznikiem, barbarzyńcą i nędzarzem. Z psią uległością znosił szalone kaprysy Kaligulów, Neronów, Domicyanów, Karakalów, kłaniał się każdemu, kto posiadał w danej chwili nieco więcej znaczenia, złota, władzy od niego, a deptał upadłych lub zubożałych. Nie było podłości, którejby się nie dopuścił dla rozkoszy i pieniędzy.

Trzymał on sobie nadwornych gramatyków, retorów i filozofów, ale nie w mądrości szukał rozrywki i pociechy. Do teatrów śpieszył na plugawe atelany, mimy i pantomimy, do rozwiązłych heter na błyskotliwy *flirt*, do cyrków po wrażenia i wzruszenia. Im szerszemi strugami płynęła na arenie cyrkowej, posypanej szafranem, krew niewinnych i nieszczęśliwych, im boleśniej cierpiał skazaniec pod kłami dzikich bestyj, tem lepiej bawił się wytworny, wykształcony rzymianin, pospołu ze swoją świetną małżonką.

Wczoraj wielki i możny, padał dziś w błoto uliczne, gdy taka była wola pierwszego z brzegu denuncyanta. Dawał gardło, przecinał sobie posłusznie żyły, szedł bez oporu na wygnanie. Światu rozkazywał, a w domu, u siebie, lękał się własnych ścian, sufitów, żony, krewnych, służby, siebie nawet, swojego języka.

Co było chlubą jego przodków i zbudowało wielkość Rzymu, to lekceważył on, zniewieściały sybaryta, otoczony bibliotekami, staroświeckimi gratami, jak tandeciarz. Do legionów nie kwapił się, ze sławy, honoru i obowiązków obywatelskich drwił uczenie. Zwycięztwa nad buntującymi się ludami zawdzięczał późniejszy Rzym cezarów głównie cudzoziemcom.

A jeśli subtelna gadanina sofistów, jeśli czczy krytycyzm filozoficzny i rozpusta nie stłumiły w jego krwi doszczętnie iskry cnoty rzymskiej, dawnej dumy, odwagi i obowiązkości,

wtedy rzucał te dary precz od siebie, lub ukrywał je starannie.

Bo nie odważnych, utalentowanych, szlachetnych, uczciwych i rozumnych stawiają epoki upadku umysłowo-moralnego na świeczniku. Rozkład nie znosi wszelkiego zdrowia. Jego żywiołem ulubionym — zgnilizna.

Genialni wodzowie kończyli w wytwornym Rzymie śmiercią nakazaną, utalentowani autorowie przymierali głodem, prawi obywatele stronili od stolicy, ludzie skromni w potrzebach udawali rozpustników, a rozumni głupców. Niejednemu przedłużyła zręcznie grana podłość życie.

Rzym cezarów mordował Germaników, Agrypiny, Agrykolów, nienawidził Tacytów, głodził Juwenalisów, wypędzał Epiktetów, a zbierał składki na pomniki dla komedyantów i przeróżnych innych wirtuozów, zasypując ich za życia złotem i wieńcami, i bogacił denuncyantów, dzierżawców podatków, ceł, przedsiębiorców robót publicznych, bandytów kupieckich, złodziejów i oszustów. Aktorowie: Roscyusz, Ezop, Apolinaris, obaj Pyladowie i w. in., zostawili spadkobiercom swoim po kilkadziesiąt milionów sestercyj, olbrzymie zaś fortuny spekulantów i wyzwoleńców (*opes libertinae*) weszły w przysłowie.

Eldoradem dla szumowin ludzkich był Rzym przecywilizowany, dla cnoty zaś i pracy macochą. Nawet lepsi z pomiędzy cezarów, jak Adryan, nie znosili szczerości, wynagradzając hojnie płaskie pochlebstwa.

— Poeta Mewius marznie dzień i noc w cienkiej, lichej sukni — skarży się Marcyalis — ale woźnica cyrkowy Incytatus stroi się w purpurę... Czemu ma się twój syn poświęcić? — radzi ten sam poeta Lupusowi. — Jeśli chce zarobić dużo pieniędzy, niech zostanie cytrzystą, flecistą, aktorem, szynkarzem, wywoływaczem publicznym, lub czemś w tym rodzaju [1]).

Ogólny upadek charakterów, osłabienie woli, cyniczny krytycyzm i pomieszanie wszystkich pojęć — utrata poczucia tego, co dobre, piękne, co godziwe i pożyteczne — oto ostateczny wynik przecywilizacyi.

— Bo gdy wstyd, sprawiedliwość i cnota przepadną (Lucyan), wówczas pozostaje tylko sama rozpusta, podobna do obe-

[1]) Martialis, X, 76,—V, 57.

schłego dna bagna, z którego wyrastają szybko wszelkie rodzaje dzikich żądz, nieznoszących obok siebie nic zdrowego.“

I żądz przewrotnych, powinien był Lucyan dodać.

Nie wystarczały znikczemniałemu rzymianinowi wykwitne biesiady z tancerkami syryjskiemi. On brał środki na pozbycie się pokarmów i spożywał obiad po raz drugi, trzeci, niższy od zwierzęcia, które nie łaknie już, gdy się nażarło.

Jego zepsute podniebienie przestały drażnić najdroższe, najlepsze smakołyki. On łaknął przysmaków nadzwyczajnych, czegoś takiego, czego żołądek zdrowy nie znosi.

Gdy pił, to drżało przed nim otoczenie, nie puszczał bowiem amfory przed utratą przytomności. Trajan, stawiany przez senat wszystkim cezarom za wzór cnoty, monarcha wistocie sprawiedliwy i rozumny, zabronił wykonywać rozkazów, które wydawał w czasie uczty. Poświęcał on każdą wolną chwilę ohydnemu opilstwu.

Miłość naturalna nie zadawalniała rozkosznika rzymskiego. Niech się motłoch kocha po staroświecku. On, cywilizowany, oświecony arystokrata ludzkości, przemyśliwał nad sztucznemi podrażnieniami, „poprawiając naturę“.

Gdyby Rzym był zostawił po sobie tyle studyów „psychologicznych“, ile ich obecnie skażony geniusz Europy wydaje, dowiedzielibyśmy się, że i on cierpiał na choroby zwyrodnienia moralnego i fizycznego, rozpusta bowiem wydaje wszędzie i zawsze te same skutki. I on posiadał niewątpliwie znaczną ilość tabetyków, hysteryków, neurasteników i waryatów.

Ale jego pomniki literackie, które przeszły do nas, nie odznaczają się subtelną analizą. Petroniusz Arbiter, Marcyalis, Juvenalis i in., rysowali grubo, rzucając zaledwo kontury płaskiego materyalizmu. Więcej pod tym względem uczą powieści i traktaty sofistyczne upadłej Grecyi.

Wiemy tylko, że jak dziś, tak bałamucił ludzi i wówczas zabobon w formie astrologii, magii i różnych innych czasów. Przesądnymi byli oświeceni, religii i idealnego poglądu na świat pozbawieni Rzymianie, w gusła wierzyli, dni feralnych i złowróżbnych znaków się lękali, kuglarzów egipskich drogo płacili, stolikami wirującymi się zabawiali. Nietylko stare baby i dzieci przerażała niepomyślna przepowiednia pierwszego z brzegu szarlatana, lecz mężów wykształconych filozoficznie. Antinous przypłacił życiem mistycyzm Adryana.

Wiemy także, iż dekadenci rzymscy stracili smak nietylko do zdrowych pokarmów cielesnych, ale i duchowych.

Cesarz Adryan, należący do najwykształceńszych ludzi, swojego czasu, przenosił Antymacha nad Homera, Enniusza nad Wirgiliusza, Celiusza nad Salustyusza. Forma zabiła treść, subtelność siłę, dziwaczność prawdę. Podobało się jedynie to, co błyszczało światłem próchna, co posiadało blask fosforu, jakby się współczesny dekadent wyraził.

Wolno, stopniowo zbliżała się cywilizacya grecko-rzymska do kresu swego zadania. Wciągnąwszy w koło swoje cały „świat“, rozszerzywszy pojęcie obywatela, przywiązane pierwotnie tylko do „siedmiu pagórków“, ośmieszywszy bogów Olimpu i obrzydziwszy materyalistyczny wykład życia, przygotowała grunt pod nową prawdę, która nauczyła znów ludzkość, znużoną ateizmem i zmysłowością, wierzyć i szanować posłannictwo człowieka.

Wonny kwiat chrześcijaństwa, oraz dalszy ciąg tradycyj aryjskich, wyrósł na ruinach cywilizacyi starożytnej.

II.

Dekadentyzm nowoczesny.

Zulus, lub hotentot, przywieziony do któregokolwiek z większych miast współczesnej Europy, doznaje prawdopodobnie takiego samego wrażenia, jakie ogarniało starodawnego galla, lub germanina, przybywającego do Rzymu cezarów: zdumiewa go na razie i olśniewa wszystko, na co tylko spojrzy.

W domu, w lasach i puszczach afrykańskich, mieszka barbarzyniec w lichych lepiankach, nie lepszych od naszych chlewów, a tu w Londynie, Paryżu, Rzymie, Wiedniu, Berlinie, Warszawie, Petersburgu i t. d. wznoszą się przed jego dziewiczemi oczyma niebotyczne kamienice, z których najuboższa i najniższa jest jeszcze wspanialsza i wyższa od jego świątyń i pałaców królewskich.

Szerokie ulice, wyłożone asfaltem, drzewem, lub starannie wyrównanym brukiem, ułatwiają ruch ludziom i zwierzętom. Nad bezpieczeństwem przechodniów czuwa liczna policya; nocą rozjaśnia ciemności morze świateł gazowych i elektrycznych.

Z tysięcy okien i sklepów spoglądają na Zulusa takie skarby, że za milionową część tego, co się wala za szybami, lekceważane przez ludzi cywilizowanych, kupiłby on u siebie władzę nad całem plemieniem. Za wartość jednej budy tandeciarskiej zostałby kacykiem.

Dokądkolwiek barbarzyniec spojrzy, zewsząd olśniewają jego naiwny wzrok bogactwa, o jakich jego fantazya nie miała

wyobrażenia. Ludzie jeżdżą błyszczącymi powozami, chodzą w miękkich sukniach, mieszkają w wygodnych domach. Nawet służący europejski ubiera się wspanialej od możnowładcy „czarnego lądu“, nawet robotnik je, pije i śpi lepiej, aniżeli książę pustyni.

A jak tu wszystko obliczone na wygodę mieszkańców!... Nie potrzebujesz się trudzić chodzeniem, gdyż nogi twoje zastąpią windy, dorożki, tramwaje. Jesteś głodny? — Obejrzyj się tylko, a otworzą się przed tobą drzwi restauracyi, cukierni. Zachce ci się pić? — Idź prosto przed siebie do szynku, piwiarni. Masz interes do kogoś, od którego dzielą cię mil tysiące? — Telegraf zaniesie słowa twoje na krańce ziemi. Chcesz się z kimś szybko rozmówić? — Telefon połączy cię z nim niezwłocznie. Trawi cię niepokój o sprawy twojego gniazda rodzinnego? — Każda gazeta powie ci dokładnie, co się wczoraj stało za górami i morzami. Nudzisz się, pragniesz rozrywki? — Setki domów przeróżnej zabawy: kluby, teatry, opery, cyrki, balety i t. d. wrócą ci dobry humor. Łakniesz wrażeń silnych, niezwykłych?— I tych dostarczy ci bez miary każde większe miasto.

Plon całego świata znanego zwożą codziennie okręty i koleje żelazne do stolic europejskich, owoce trudu umysłowego i fizycznego całej ludzkości nadchodzą wszystkiemi drogami, aby nakarmić, przyodziać, zabawić, pouczyć warstwy posiadające chwili obecnej. A nietylko posiadające. Herbata, kawa, korzenie, bawełna, zioła lecznicze i wiele innych towarów zamorskich służą nawet najuboższym. Ze szkół publicznych i z bibliotek, niedyś przystępnych tylko dla bogaczów, korzystają dziś także dzieci „wydziedziczonych“. Na gazetę i kolej żelazną stać i robotnika.

W przeciągu ostatnich stu lat zrobił człowiek cywilizowany więcej dla swojej wygody, niż długi szereg pokoleń dawniejszych. Zaprzągłszy do wozów i maszyn parę i elektryczność, doszedł do takich rezultatów, że najzamożniejszy pan rzymski pozazdrościłby łatwości do używania przeciętnemu bankierowi naszych czasów. Geniusz ludzkości wysilał się przez cały wiek bieżący na to, aby zamienić ziemię na przyjemne i strojne mieszkanie.

Dzikiemu synowi krajów barbarzyńskich wydaje się prawdopodobnie każde większe miasto europejskie rajem, bogów siedliskiem, przeto dziwi się słusznie powszechnemu niezadowo-

leniu, jakie go otacza. Bo gdziekolwiek się zwróci, zewsząd dochodzą go tylko skargi i przekleństwa. Lamentuje poezya, rozpacza filozofia, szamocze się polityka.

Bogacz nudzi się wśród swoich dostatków, uczony i utalentowany czuje bolącą pustkę pod czaszką, zjadacz serc niewieścich męczy się romansem, sybaryta tęskni za pokarmem grubym, ubogi niecierpliwi się w warunkach trudnych, chory bluźni, nędzarz przeklina! Samobójstwa z różnych błahych powodów mnożą się z każdym miesiącem. Opowiadają gazety od czasu do czasu o studencikach, odbierających sobie życie dla złej cenzury. Dziewczęta rzucają się z okna na bruk, trują się zapałkami, topią się w rzekach, w przedwczesnej zawiedzione miłości.

Parne, duszne tchnienie pesymizmu wieje nad początkiem naszego wieku. Trawieni przykrym niepokojem, pożądamy ciągłych zmian, wrażeń, czegoś nowego, byle nie zostawać z sobą samym. Piszemy, drukujemy i rozprawiamy tak dużo, jak gdybyśmy chcieli siebie przegadać, zagłuszyć, oszukać. Niedobrze nam, niewygodnie na tej ziemi wygodnej. Najnowsza poezya, zwana dekadencką i symboliczną, rzuca się, jak szaleniec, lub epileptyk, bryzgając na około pianą bluźnierstwa.

Lament ten rozpoczął się już w „kołysce“ XIX stulecia, zaraz po „wielkiej“ rewolucyi francuskiej. Na samym progu ubiegłego wieku stoi trzech olbrzymich puszczyków, którzy zapełnili świat cywilizowany skargą złowróżbną. W Anglii miotał się przeciw połowiczności człowieka Byron, we Włoszech przeklinał Leopardi jego niemoc, w Niemczech zrzędził Schopenhauer. Głos pierwszych dwóch potentatów ducha zatoczył odrazu koła szerokie, wywołując wszędzie dźwięki pokrewne. Trzeciego przeczenie okrutne czekało na chwilę odpowiednią.

Ledwo zamilkł Byron, a już odezwali się dokoła pesymiści inni. Zawodził Musset, drwił Heine.

Śladami mistrzów powlókł się cały legion Jeremiaszów niższego rzędu. Od połowy bieżącego stulecia bluźnią, przeklinają, szlochają prawie wszyscy poeci i powieściopisarze. Równolegle z postępem nauk przyrodniczych i technicznych, w miarę przybywania środków, ułatwiających walkę o byt, rośnie pesymizm, konający obecnie w kociej muzyce dekadentyzmu. Przez chwilę tylko, przez lat kilka, kilkanaście może dźwignął upadłego ducha XIX stulecia młody pozytywizm, obałamuciwszy „zroz-

paczonych“ wielkiemi obietnicami. Ale złudzenie to, rozpłynąwszy się szybko, przyczyniło się jeszcze do pomnożenia ogólnego zamętu.

Zkądże ten płacz, te drganie konwulsyjne, to niezadowolenie z życia i strach przed śmiercią? Wszystko przecież, co się dziś dzieje, powinno nas usposobić dobrze do wędrówki doczesnej. Wszakże nie było człowiekowi cywilizowanemu jeszcze nigdy tak wygodnie na ziemi, jak w chwili obecnej.

I Rzym cezarów olśniewał barbarzyńców świetnością, bogactwem, wykwintem, a jednak...

Jak upadającemu Rzymowi, braknie i naszym czasom przedewszystkiem słońca religii, której ciepłe promienie przenikają aż do najskrytszych tajników serca ludzkiego. Braknie nam tej najlepszej pocieszycielki, tej mistrzyni czystego życia i pogodnej śmierci.

Wprawdzie wznoszą się na wszystkich ulicach większych miast kościoły, na wszystkich drogach roztajnych przypominają krzyże Boga, ale w tych kościołach nie modli się kwiat inteligencyi współczesnej, przed tymi krzyżami nie korzy się mądrość świecka. Kto chce uchodzić za rozumnego czy uczonego, za „tęgą głowę“, ten stara się wznieść jak najwyżej ponad „przesądy gminu,“ wstydząc się tęsknot serca, jeśli je posiada, jak hańbiącej słabości charakteru. Znakomita większość warstwy oświeconej chwili bieżącej wyznaje czynny, lub bierny ateizm. Służba ołtarza pełni się głównie dla „ubogich duchem“, dla nieświadomych, lub „niezdolnych ocenić znaczenia niezawisłości rozumu“.

A i pomiędzy „ubogimi duchem“ znajduje się tylko mały procent, który czuje w sobie ciepło wiary żywej. Jedni modlą się w świątyniach z nawyknienia, inni czynią to ze względu na dzieci i służbę, jeszcze inni ulegają tyranowi „wypada.“ Proste lenistwo duchowe bywa w wielu razach źródłem zdawkowej pobożnosci.

Nie odrazu zachwiała się religia pod obuchem filozofii i wiedzy. Na obecną obojętność w rzeczach wiary złożyły się wieki roboty krytycznej.

Pierwszy cios dawnej „naiwności“ zadał Luter. Po nim przyszli filozofowie Anglii, dalej Wolter z encyklopedystami; reszty dokonali materyaliści i pozytywiści XIX stulecia.

Systematycznie, wytrwale obniżał rozum, mieniący się wyż-

szym od intuicyi, wyobraźni i przeczucia, znaczenie religii. Zacząwszy od Kościoła katolickiego, przeszedł do innych wyznań chrześcijańskich, aż skończył na wierze w ogóle. Zrazu ostrożny, zachowujący wszystkie względy, należące się powszechnie uznanej potędze, krytycyzm ośmielał się stopniowo, stawał się coraz pewniejszym siebie, coraz zuchwalszym. Gdy uczuł się dostatecznie silnym, przy końcu zaprzeszłego stulecia, zrzucił maskę i odsłonił oblicze szydercy. Śmiech Woltera zjednał ateizmowi więcej prozelitów, niż cała poważna mądrość filozofów dwóch stuleci, żaden bowiem człowiek oświecony nie chce być... śmiesznym.

Materyalizm i pozytywizm XIX. wieku nie potrzebowały się już zajmować taką „błahostką“, jak uczucie religijne. Zastawszy grunt doskonale przygotowany pod siew „niezawisły“, usiłowały człowieka oderwać zupełnie od jego tęsknot i przeczuć, ograniczając go na obserwacyi i eksperymencie. Wiedza miała zastąpić ludzkości wiarę i poezyę, miała być jej jedyną prawodawczynią i pocieszycielką.

Ostatnim dwom pokoleniom nie mówiono w szkołach świeckich wcale o świętości religii. Uczono je wszystkich mądrości tej ziemi, wpajano w nie cześć dla potęgi rozumu, kazano im się zachwycać postępami nauki, napawano je pychą i pogardą dla rzeczy zwanych nadprzyrodzonemi. W skład programatów gimnazyalnych wchodziła wprawdzie religia, ale wykład obowiązków śmiertelnika względem Boga traktowano z taką samą rzemieślniczą obojętnością, jak każdy inny przedmiot drugorzędny. Były to zwykłe lekcye, z których należy zdać sprawę przy egzaminach.

Kto z nas przyniósł do szkoły resztki wrodzonych przeczuć, lub owoce wychowania domowego, ten tracił rychło, co było wonią jego młodości. Piętnastoletni mędrzec, nie chcąc się okazać śmiesznym, naiwnym, wobec o rok starszego filozofa, udawał dopóty niezawisłego myśliciela, dopóki nie wmówił w siebie ateizmu, wiara zaś raz utracona, czy świadomie, wskutek studyów samodzielnych, czy też biernie, przez naśladownictwo, wraca dopiero w wieku późniejszym po długoletnich, przykrych doświadczeniach życia.

Wrócili do uczuć religijnych: Kepler, Pascal, Descartes (Kartezyusz), Newton, Leibnitz, Euler: tęsknili za niemi przed śmiercią głośni mędrcy XVIII-go wieku Boulanger, Condil-

lac, Montesquieu, Fontenelle, Buffon; modlili się gorąco w chwilach ciężkich wszyscy wielcy bohaterowie i prorocy ludzkości, wszyscy natchnieni, szlachetni, poświęcający się za cudze dobro, ale o tem nie wie kilkunastoletni filozof, a jeśli słyszał, to drwi z „tych zacofańców," wierząc, iż posiada od nich „głowę mocniejszą."

Lekceważenie rzeczy nadprzyrodzonych, a niezachwiana niczem ufność we wszechmoc rozumu, była karmią naszej pierwszej młodości. Całe nasze otoczenie — szkoła, wiedza, poezya, bele etrystyka, prasa, towarzystwo kolegów, rodzice nawet dość często, wszystko, co działa na wrażliwy umysł chłopca, starało się nas odciągnąć jak najdalej od religii, wykreślonej przez niezawisły rozum z szeregu potęg tej ziemi.

Skarżył się już Lamartine w r. 1840 na szkodliwość nowoczesnego wychowania. „Na podobieństwo dzieci barbarzyńców — pisał słynny poeta — zanurzanych zaraz po urodzeniu naprzemian w gorącą i lodowatą wodę dla znieczulenia skóry na wpływy powietrza, przerzuca się obecnie dziecko z kolei z wiary do niewiary. Wychodzi chłopiec z domu ojca, może wierzącego, a może sceptyka. Widział, jak matka potwierdzała to, czemu ojciec przeczył. Wynika z tego, że powinienby mieć dwie dusze, a tymczasem posiada on tylko jedną. Tę duszę ciągną i szarpią w różne strony. W główce dziecka powstaje zamieszanie i nieład. Część jego myśli pozostaje przy wierze, część inna przy rozumie. Chłopiec dziwi się tym sprzecznościom; zaczyna się domyślać, że grają przed nim wielką komedyę, że społeczeństwo nie wierzy w nic z tego, czego naucza, że ma dwie wiary i dwie moralności: jedną wiarę i jednego Boga dla dzieci, drugie dla wyrostków, inne może jeszcze dla ludzi dojrzałych. Myśli te przygniatają go. Jego wiara gaśnie, rozum bez gorliwości ostyga. Dusza robi się oschłą, a zapał przechodzi w obojętność, lub zniechęcenie".

Jaskrawiej od Lamartine'a odmalował Musset skutki wychowania nowoczesnego.

— Nie miałem jeszcze lat szesnastu — opowiada serdeczny pieśniarz — gdy już w nic nie wierzyłem. Ani dzieckiem będąc, ani w szkołach, do kościoła nie chodziłem. Moja religia, jeśli posiadałem jaką, była bez obrządku i symbolu wiary. Wierzyłem tylko w jakiegoś Boga nieokreślonego, bez kultu, bez objawienia. Od lat najwcześniejszych byłem zatruty wszystkiemi pi-

smami XVIII wieku, które wlały we mnie bardzo wcześnie jad bezbożności. Pycha ludzka, ten bożek egoistów, zamykała mi usta przed modlitwą, a wylękła dusza uspokajała się nadzieją nicości. A był to stan ogólny moich rówieśników. Jak ten żołnierz na zapytanie, w kogo wierzy, odpowiedział: „w siebie samego“ — młodzież miała gotową odpowiedź „w nic zgoła“.

— Któż ośmieli się opowiedzieć, co działo się naówczas w szkołach. Ludzie wątpili o wszystkiem, młodzież, przeczyła wszystkiemu. Serca powiędły jak, kwiaty zwarzone. Piętnastoletnie dzieci prowadziły w kwitnących zaroślach rozmowy, zdolne wstrząsnąć grozą nieruchome gaje Wersalu. Komunia Chrystusowa, hostya, ten wieczny symbol nieziemskiej miłości, służyła za pieczątki do listów. Dzieci wypluwały Chleb Boży. Szczęśliwi, którzy w niebo patrząc, przechodzili przez przepaście... [1]).

Zrozpaczony romantyk zazdrości tym, którzy „patrząc w niebo, omijali przepaście,“ za jego bowiem czasów zachowywali dorośli wobec dzieci jeszcze jakieś względy.

Z nami, z wychowańcami mądrości pozytywnej, z ostatniem, dziś dojrzałem pokoleniem, nie robiono sobie już wcale ceremonii. Do nas mówiono wprost ze wszystkich katedr uniwersyteckich: niema Boga i duszy, wolnej woli i odpowiedzialności osobistej. Nas uczyli wielcy, przez cały świat oświecony uznani mędrcy, że Bóg jest tworem fantazyi ludzkiej, a cnota i występek powstają tak samo, jak cukier i kwas siarczany. Nam tłumaczono, iż namiętności tkwią w naturze, wszystko zaś, co z tej wszechmatki pochodzi, jest dobre. W moralności kazano nam szukać roboty instynktów, w sumieniu prostej, rozkładowi podległej maszyny. Nam nie pozwolono się nawet zajmować takiemi „przesądami gminu“, jak religia i uczucie religijne, podbudzając naszą młodą pychę takiemi przechwałkami, jak owo pytanie Renana: któż wie, czy wszystkowiedząca biologia nie da nam życia wiekuistego? Jakże wobec takich obietnic zaprzątać sobie głowę modlitwą, wiarą, cnotą i t. p. świadectwami niedołęztwa ludzkiego?!

Jak Rzymianie pierwszego i drugiego stulecia ery chrze-

---

[1]) Cytaty z Lamartine'a i Musset'a zaczerpnąłem nie z oryginału, lecz z dzieła ks. biskupa Bougaud p. t. „Chrystyanizm i czasy obecne“.
(*Przyp. Autora*).

ścijańskiej wzięli po Grecyi smutną spuściznę szyderstwa i przeczenia, tak powitały nas na progu życia owoce krytycyzmu trzech wieków. Długi szereg pokoleń pracował na to, aby z naszych serc wykorzenić nietylko religię, ale wprost zdolność wierzenia w ogóle.

Wyznaniem, rozpowszechnionem obecnie najwięcej wśród warstw oświeconych, jest bezwyznaniowość, jawna albo ukryta, czynna lub obojętna. „Religii“ tej hołduje prawie cała przeciętna inteligencya, nietroszcząca się zupełnie o sprawy pozagrobowe, dopóki jej... służą siły wieku dojrzałego i sprzyjają warunki zewnętrzne.

Bezwyznaniowość jeszcze lat temu kilkadziesiąt przywilej tylko oświeconych, rozpływa się wolno po ciele społecznem, jak oliwa po wodzie. Od ojców uczą się lekceważenia religii synowie, od braci siostry, od mężów żony, od chlebodawców robotnicy. Zdawkowy ateizm uchodzi pomiędzy młodzieżą męską i żeńską za „tężyznę“, za świadectwo siły, dla wszelkich zaś niezadowolonych staje się dogmatem politycznym. Walne zebranie socyalistów, zgromadzonych w Londynie w r. 1869, postawiło na czele swojego programatu paragraf następujący: „Związek ogłasza się bezwyznaniowym; żąda on zniesienia wyznań i zastąpienia wiary przez naukę, a sprawiedliwości Boskiej przez sprawiedliwość ludzką; zniesienia małżeństwa w znaczeniu instytucyi politycznej, religijnej, prawnej, cywilnej“.

Więc nietylko warstwy oświecone, przygotowane przez staranniejsze wychowanie domowe, przez szkołę do życia w społeczeństwie, wyrzekają się pociechy religii. Płaski racyonalizm ogarnął już także nieświadomych i maluczkich.

Nie wszędzie postawiono bezreligijności ołtarze publiczne. Angia i Niemcy, mimo Darwinów, Spencerów, Schopenhauerów, Hartmanów, Vogt'ów i innych mędrców niezawisłych, nie chełpią się bezwyznaniowością. I Ameryka północna, chociaż kocha *business* przez cały tydzień ponad wszystko, modli się w niedziele i święta. Rasa germańska w ogóle zachowała w charakterze swoim dużo tej powagi i tej czci dla rzeczy świętych, którą już Tacyt w niej dostrzegł i uszanował.

Robocie krytycznej ostatnich czasów przodowała Francya, przypominająca w bieżącem stuleciu Grecyę, ale nie tę świetną, natchnioną Helladę Peryklesa, lecz zwyrodnioną dekadentkę, pieszczoną, a pomimo to wzgardzoną przez rzymskich cezarów.

Jedynym bluźniercą w poezyi niemieckiej był Heine, Francya zaś wydała cały szereg własnych Lucyanów, od Woltera począwszy, skończywszy na Baudelairze i Richepin'ie. Od niej, od Francyi, którą naśladujemy z przyjemnością, uczymy się my, Polacy płytkiego ateizmu, wierząc, że lekceważenie religii należy do głównych cech „mocnej głowy". Chcemy uchodzić koniecznie za *esprits forts*, „za Francuzów północy". Jedyna Francya postawiła na czele machiny rządowej jawnych bezwyznaniowców, zaciekłych wrogów religii, materyalistów teoretycznych i praktycznych. Wolter spogląda z zadowoleniem z innych światów na dzieło swojego śmiechu. Stało się, o czem marzył ten szyderca z głową starego, brzydkiego orangutanga.

Krytycyzm nowoczesny doprowadził obecnie ludzkość cywilizowaną pod względem religijnym do tej samej mety, na której stanęła Grecya po Cheronei i Tebach, a Rzym za Antoninów. Większość inteligencyi wszystkich narodów nie czuje w zdrowiu i dobrobycie potrzeby modlitwy, „zaś ubodzy duchem" zaczynają tracić cześć dla symbolów wiary. Spotyka się już i po wsiach chłopów, nieuchylających czapki przed krzyżem, a nie każdy robotnik miejski zachowuje przepisy wyznania, do którego należy.

Z chwilą, gdy religia przestaje być natchnieniem człowieka, źródłem jego myśli, uczuć i marzeń, wysuwa się materyalizm, teoretyczny i praktyczny, na sam przód sceny dziejowej.

Człowiek, pozbawiony pociechy religii, obiecującej zakażdą dobroć i poniewierkę wynagrodzenie, zwraca całą swoją uwagę na ziemię, starając się na niej jak najwygodniej urządzić.

Należy przyznać materyalizmowi XIX stulecia, że nie próżnował. Pobudziwszy do większej ruchliwości nauki ścisłe, rozszerzył znakomicie granice znajomości praw natury i wynalazł mnóstwo środków, ułatwiających walkę o byt. Zająwszy się pilnie socyologią, szukał bez wytchnienia nowych form społecznych, któreby dały przeciętnej jednostce największą sumę przyjemności. Zmiarkowawszy w końcu, iż natura ludzka nie może się obyć bez hamulców, bez wskazówek dodatnich, zbudował nawet własną etykę, która miała zastąpić dawne nakazania kategoryczne. Całą subtelność sofistyki i kazuistyki wyczerpał materyalizm, występujący pod różnemi nazwami (pozytywizm, ewolucyonizm i t. d.), aby ocalić z ogólnego pogromu szlachetność człowieka. Tak zachęcał niegdyś i Epikur uczniów swoich do

dobroci i skromnego życia, tak łudzili się wszyscy doktrynerzy niezawiśli.

Bo teoretycy filozoficzni i uczeni specyaliści mają zwykle bardzo słabe wyobrażenie o prawdziwej naturze człowieka. Zasklepieni w kółku swoich przesłanek i wniosków, jak pająk we własnej przędzy, odcięci od życia praktycznego, oddalają się z czasem zupełnie od rzeczywistości. Nie ten świat widzą, który istnieje, lecz ten, któremu oni istnieć każą. Systemat, utopia, lub specyalność naukowa przesłaniają im życie.

Nie wiedzą, lub wiedzieć nie chcą marzyciele materyalistyczni, że głównym bodźcem postępowania ludzkiego jest egoizm, chowający się wstydliwie za różne sztuczne parawany. Tylko tak wielka siła, jak religia, lub jakiś niezwykły zapał, potrafią okiełznać brutalnego samoluba, panującego w każdej jednostce.

Ten egoizm trzeba trzymać ciągle na łańcuchu, jak złośliwego psa, i straszyć go i karać, gdy usiłuje zerwać pęta. Nie działa na niego rozumowanie, chociażby najlogiczniejsze. nie przekonywa go wzgląd na cudze szczęście. Egoizm drwi sobie z subtelnej kazuistyki niezawisłych moralistów, słowo bowiem jest od tego, aby je do każdej można nagiąć potrzeby.

Wszelkie teorye materyalistyczne mają to do siebie, jedne świadomie, inne przeciw woli, że spuszczają egoizm ludzki z łańcucha i pozwalają mu swobodnie hulać. Wyzwalają człowieka z pod nadzoru religii, czyli powagi Boskiej w ogóle, budzą w nim pychę. Zamykając jego istnienie w ramach wędrówki doczesnej, nakłaniają go do używania. Równając go ze zwierzęciem, nadają prawo obywatelstwa wszystkim jego nieszlachetnym instynktom.

Daremnie powołują się niezawiśli różnych odcieni na biografię głośnych epikurejczyców, racyonalistów, pozytywistów i t. d. Owych słynnych materyalistów, których ich własna doktryna nie zgorszyła, było dziesięciu, dwudziestu, chociażby stu, wielkie zaś masy przeciętnej inteligencyi, całe miliony, wysnuwają z teoryj eudajmonistycznych wnioski inne. Te miliony mówią sobie: być może, iż Epikurowi smakował chleb suchy, zakropiony wodą, lecz ja, który nie jestem filozofem, wolę tłustą murenę i starego falerna. Epikur wychwalał byt mierny, było mu bowiem w nim wygodnie, ale ja, który nie posiadam talentu wmówienia w siebie sztucznych rozkoszy, przenoszę majątek,

środek do używania, nad ubóstwo. Mędrzec, potrzebujący spokoju do swoich medytacyj, usuwał się od zaszczytów obywatelskich, ale ja, którego czcze rezonowanie i t. zw. szukanie prawdy nic a nic nie zajmuje, chcę posiąść władzę, abym mógł robić, co mi się tylko podoba.

Zapominają marzyciele materyalistyczni, że sama nauka jako nauka zapełnia życie tylko uczonym z zawodu, stanowiąc dla przeciętnej inteligencyi poza latami szkolnemi ledwo przelotną rozrywkę. Każdy bogacz rzymski trzymał sobie dla towawarzystwa jakiegoś greckiego filozofa, co mu wcale nie przeszkadzało zwracać między jedną dysputą o umiarkowaniu a drugą, spożyty obiad, aby było miejsce dla nowych pokarmów.

Przeciętny oświecony lub półoświecony niema ani czasu, ani ochoty, ani zdolności do zgłębiania jakiejś teoryi. Zwykle bierze on z niej to, co odpowiada najlepiej jego upodobaniom, co tłumaczy i uświęca jego pożądania, nie troszcząc się bynajmniej o całość doktryny.

Materyalizm nowoczesny powiedział ludziom: nie obawiajcie się Boga i religii, Bóg bowiem i religia są wytworem naiwnej wyobraźni. Nie wierz w duszę, w życie pozagrobowe, w moralność wrodzoną, czy objawioną i t. p. mrzonki. Niech cię tak zwane sumienie nie straszy, a namiętności nie gorszą. Sumienia w rozumieniu idealistów nie było nigdy, namiętności zaś są rzeczą naturalną, więc dobrą. Ufaj tylko sobie, rozumowi swojemu i staraj się być szczęśliwym, o ile to możliwe.

Wyborna to nauka! zawołał egoizm człowieka. Ponieważ wszystko to, co krępowało moją niesforność, okazało się kłamstwem, przeto mogę sobie teraz pozwolić. Przykuty do ziemi będę się starał wyzyskać jej przyjemności; pouczony, że w walce o byt zwycięża zawsze mocniejszy, sprytniejszy, bezwzględniejszy, będę usuwał z drogi wszystkich słabych i głupszych. Wprawdzie zalecają mistrzowie moi jakiś altruizm, ale dysputują przytem tak mądrze, iż nic a nic ich gadaniny nie rozumiem. Wiem tylko, że wolno mi być sobą, że nie potrzebuję się już ukrywać ze swoimi gustami.

Począwszy od „wielkiej“ rewolucyi francuskiej, z krótką przerwą entuzyazmu napoleońskiego, był pospolity egoizm głównym bodźcem życia politycznego narodów, przodujących cywilizacyi nowoczesnej. Już owa rewolucya odsłoniła brutalność człowieka, uwolnionego z pod nadzoru „bojaźni Bożej“. Pod-

czas kiedy kilkuset zapaleńców wierzyło w jakieś posłannictwo ogólnoludzkie i mordowało dla idei, reszta, krocie, zdetronizowawszy urzędowo Boga, pamiętały jedynie o swoich własnych interesach. Najkrzykliwsi „patryoci", szewcy, stolarze, kowale, sklepikarze małych miast, rabowali, kradli, chwytali wszystko, co tylko ich chciwe ręce mogły dosięgnąć. A nietylko ograbiali „arystokratów", lecz oszukiwali samą rzeczpospolitą, handlując dobrami i asygnatami narodowemi. Trzy czwarte fortun dzisiejszej burżuaryi francuskiej z tego pochodzi źródła. Dantony, Robespiery, St. Justy dali gardło pod nóż gilotyny, ale pomocnicy ich zarobili miliony na „wolności" i zostawili dzieciom swoim wybitne miejsce w pierwszych szeregach społecznych.

A ci synowie i wnukowie patryotów z czasów rewolucyi, gdy po epopei napoleońskiej i po krótkich rządach reakcyi wrócili do panowania, potrafili oburzyć na siebie w przeciągu lat kilkudziesięciu nietylko wszystkie serca szlachetniejsze, ale nawet wielkie masy nieświadomych. Dziesięć wieków czekało rycerstwo na „wielką" rewolucyę, na karę za winy popełnione, za zwyrodnienie fizyczne i moralne, burżuazya zaś zdołała wytworzyć anarhizm w przeciągu dwóch pokoleń. Bo wszystko, co robili od chwili, kiedy jej bieg wypadków oddał moc prawodawczą, obracało się na niekorzyść ubogich. Nie poczęta z krwi, przelanej na polach bitew, jak szlachta, ani z bolesnego potu pracy, jak robotnik, lecz z kłamstwa i kradzieży, nie znała ona miłosierdzia dla maluczkich. Zawdzięczając stanowisko swoje pieniądzom, służyła gorliwie kapitałowi i jego dzieciom egoistycznym: handlowi, giełdzie, przemysłowi. Odwieczny bożek społeczeństw zmaterya lizowanych, Złoty Cielec, prezydował na zebraniach parlamentów europejskich. Jemu, niewidzialnemu władcy, bili pokłony znakomici mówcy liberalni, o jego względy ubiegali się prawodawcy. Historya krachu wiedeńskiego i budowy kanału panamskiego opowiada, jakie „ideały" były natchnieniem oświeconych rządców Francyi, Austryi i Niemiec. Prości złodzieje, łapownicy i oszuści narzucali ludom swoją wolę.

Zdawało się nieprawym spadkobiercom rewolucyi francuskiej, że zbudowali dla siebie niezdobytą twierdzę, w której będą mogli bez przeszkody używać. Obawiając się, aby pamięć dawnych wierzeń i pojęć nie podkopała ich stanowiska, krzewili usilnie doktryny materyalistyczne za pośrednictwem szkoły i prasy. Burząc przeszłość, wzmacniają teraźniejszość.

Tak mniemali.

Tymczasem... Jeszcze nowa kasta uprzywilejowana nie miała nawet czasu urządzić się wygodnie, kiedy się zewsząd odezwały szmery złowrogie. Te głosy, zrazu głuche, stłumione, rosły szybko, rozlegały się coraz szerszej, aż utworzyły krzyk potężny, przeciągły.

Oświeceni rządcy dziwią się tym zachciankom gminu, nie chcąc zrozumieć, że je sami podbudzili. Spoglądając z bogatych pałaców na nędzę, której zabrali świadomie Boga, religię, pokorę, cierpliwość, oburzają się na niezadowolenie wydziedziczonych. Jakgdyby doktryna materyalistyczna działała inaczej na posiadających, a inaczej na ubogich.

Daremnie rozprawiają dziś oświeceni o konieczności odrodzenia poczucia obowiązku, o karności obywatelskiej i t. d. Nie ma obowiązku bez uznanej powszechnie powagi, nie ma zaś powagi prawdziwej bez religii. Ona jedna wpaja w człowieka szczerą uległość. Gilotyna, więzienia, sądy mogą nauczyć egoizm ludzki ostrożności, ale nie powstrzymają, nie stłumią jego pożądań. Zdawało się, że miecz Napoleona I uciął raz nazawsze łeb hydrze wojny domowej, a oto przyszła komuna w r. 1870. Wojska rządowe nie oszczędzały szaleńców paryskich, a mimo to patrzymy dziś na taniec wśród bomb anarchizmu. Człowiek współczesny nie uspokoi się dopóty, dopóki nie przekona się stanowczo, że niezmącone szczęście nie jest przeznaczeniem śmiertelnika. Zanim jednak ta chwila nadejdzie, popłynie znów prawdopodobnie morze krwi, jak zwykle.

Cywilizacya materyalistyczna skona niebawem w jakimś wielkim wybuchu nieszlachetnych namiętności ludzkich, doszła już bowiem do punktu kulminacyjnego, do chorobliwego indywidualizmu. Bo nie inaczej należy nazwać ostatnie przejawy anarchizmu. Tylko zwaryowany egoista wysadza w powietrze bez wyboru domy, restauracye, cukiernie, zabija ludzi nieznanych, niszczy sprzęty, które nic nie zawiniły. Tak przypatrywał się niegdyś spodlony motłoch rzymski obojętnie okrucieństwu wojen domowych, bawiąc się zniszczeniem. Żołnierzy przeciwnych stronnictw zachęcał do wzajemnego mordu, zwycięzcom klaskał, zwyciężonych zaś wyciągał z ukrycia i wydawał pod miecz nienawiści.

I na górze i na dole panuje dziś w ogniskach cywilizacyi nadmierny egoizm, naturalny skutek mądrości materyalistycz-

cznej. Spieszy się z wyzyskaniem rozkoszy tej ziemi, kto wierzy, że śmierć gasi jego istnienie na zawsze. Przekonany materyalista, któryby inaczej postępował, byłby nielogicznym.

Chciwość pieniędzy, która odgrywa, jako niezawodny środek do używania, we wszystkich epokach materyalistycznych rolę pierwszorzędną reguluje całe postępowanie współczesnego człowieka. Oddziaływa ona bardzo silnie na wybór zawodu i na tworzenie ognisk rodzinnych.

Nam, którzy chowaliśmy się między r. 1850 a 1870, czyli w chwili największego rozkwitu rządów rozumu, nie mówiono ani w domu, ani w szkole o szlachetności tego, lub owego fachu, lecz tylko o jego wartości praktycznej. Zalecano nam adwokaturę, medycynę, inżynieryę, przemysł, handel jako rzemiosła, dające nadzieje zdobycia szybko majątku. Chłopców kilkunastoletnich niepokoiły powodzenia spekulantów, których szwargot handlarski przenikał mury szkolne. Wprawdzie powtarzali nam znudzeni monotonnem zajęciem profesorowie wzniosłe formułki zagasłych pokoleń, opowiadali nam o czynach bohaterskich Greków i Rzymian, komentowali z urzędu znakomitych poetów i prozaików starożytności, ale działo się to bez wiary i chęci pobudzenia do naśladownictwa. Życie zresztą powinno dopełnić szkołę, ono zaś drwiło na każdym kroku z marzeń idealistów. Nasi mistrzowie pracowali ciężko na ubogi chleb powszedni, a pierwszy z brzegu nieuk, który, sprzykrzywszy sobie książki, rzucił się w wir handlu i przemysłu, opływał wkrótce w dostatki. Kantorowicze, podrzędni urzędnicy banków, dostawcy materyałów budowlanych, przedsiębiorcy, słowem wszelacy „praktyczni“, zbierali bogate plony, nauka zaś i prawość chodziły bez butów.

Więc nie wiedza dla wiedzy, nie praca rzetelna, nie trud i szlachetność prowadzą do królestwa złota. Kto chce użyć na ziemi, ten powinien się pozbyć przesądów przeszłości. Tak wnioskowaliśmy...

Dziewięć dziesiątych młodzieży, kończących szkoły po r. 1850, poświęcało się zawodom praktycznym. Tylko niemożność, brak środków, lub jakiś wrodzony talent, silniejszy zawsze od prądów danej chwili, pokonywały ducha czasu.

Rozumie się, że z wielkiej liczby powołanych, wybrał los tylko niewielu szczęśliwych lub sprytnych. Na stu lekarzów, adwo-

katów, inżynierów, kupców, przemysłowców, osiągnął zaledwo jeden to, o czem marzył, reszta zaś doznała bolesnego zawodu. Ztąd płacz i zgrzytanie zębów, stąd skargi rozczarowania...

A kiedy przyszedł czas, w którym człowiek dojrzały czuje potrzebę założenia własnego ogniska, wówczas mówiono nam znów barzo mało o świętości rodziny, opartej na przymiotach moralnych małżonków, ale za to bardzo dużo o konieczności baczenia na warunki materyalne. Nasłuchawszy się już w szkołach o okrucieństwie walki o byt i o straszliwych skutkach nędzy, nauczywszy się od najgłośniejszych mistrzów chwili pogardy dla ubóstwa, szukaliśmy u przyszłych żon nie cnót niewieścich, lecz pieniędzy.

Wszystkie czasy wydają pewien procent posagołowców, ale jedynie epoki rozkładu moralnego wynoszą pospolitą chciwość do godności cnoty. Tylko za czasów rzymskich i przy końcu wieków średnich łączyło się w warstwach cywilizowanych tyle stadeł niedobranych, ile w chwili obecnej. Posag usuwa dziś wszystkie, zwykle bardzo silne różnice: rasy, narodowości, stanów, religii, wychowania, nawyknień — sprzęga arabczyka ze szkapą żydowską, potomka rycerzów z córką lichwiarza. Arystokracya francuska włoska, niemiecka i nasza miesza się bez wstydu z krwią bandytów finansowych, ubiega się o pieniędze, skradzione ubogim. Co kto ma do sprzedania — nazwisko, tytuł, zasługi przodków, stosunki, stanowisko, urodę — wszystko to wynosi się na targowisko małżeńskie i oddaje za złoto próżności parweniuszów. Niech się tylko gdzie pokaże jaka dziedziczka wczoraj zbogaconego giełdziarza, oszusta, szczęśliwego spekulanta lub przemysłowca, a jużci otacza ją rój paniczów, niosących przed sobą tarcze herbowe i kartki, wyrwane z ksiąg historycznych. Mój antenat zrobił to a to, sypiał jako wódz na gołej ziemi razem z żołnierzami, jadał z nimi chleb czarny i dzielił wszystkie trudy obozowe, przeto należą się mnie twoje krocie, abym mógł spoczywać na puchach, drażnić podniebienie arcydziełami sztuki kulinarnej i próżnować. A mój rozdawał fortunę swoją między ubogich, gardząc dobrami tej ziemi. Mój znów przepędził życie na posługach publicznych—był świętym kapłanem, znakomitym autorem, szlachetnym obywatelem i t. d. Przelany pot, krew, serdeczny ból, zapał, natchnienie przódków zamieniają zwyrodnieni potomkowie na pieniądze, na których lśnią świeże łzy wyzyskanych i ograbionych. Trzech

książąt: Monaco, Radziwiłł i Bonaparte, żyją z dochodów rulety w Monte-Carlo, owianej klątwą samobójców. Tysiące hrabiów, margrabiów, baronów i szlachciców bez tytułu wystawiły w Europie swoje pałace na ruinach drobnych fortun, wciągniętych w zasadzkę przez podłość spekulantów.

A kto niema do sprzedania zwietrzałych pergaminów i kartek z ksiąg historycznych, ten stara się zdobyć za pomocą sprytu i nieuczciwości to, co uważa za konieczne do szczęścia. Zwykła przebiegłość handlarska odgrywa dziś przy zawieraniu związków małżeńskich rolę bardzo dużą. Najtłustsze posagi wyławiają najprzewrotniejsi. Kto w końcu nie posiada natury chytrej, ten wyrzeka się zgoła przyjemności własnego ogniska, przenosząc starokawalerstwo nad przykre dla ubogiego obowiązki rodzinne.

Najwyraźniej zarysowała się chciwość pieniędzy w XIX stuleciu w handlu i przemyśle. Kupiectwo, z natury swojej dalekie od uczuć i pojęć wytwornych, od subtelnej uczciwości i honoru, bo polegające na zasadzie: najtaniej kupić a najdrożej sprzedać, przeraziło świat cywilizowany bezbrzeżnem samolubstwem. Uwolnione z pod grozy kodeksu karnego, pieszczone przez prawodawstwo liberalne, pokryło w krótkim czasie Europę ruinami zbankrutowanych przedsiębiorstw, spółek i domów komisowych. Poczuwszy się wolnem, kłamało, oszukiwało, kradło na prawo i na lewo. Lepszym był ten, kto posiadał mniej sumienia, a genialnym, kto potrafił zręczniej łatwowiernych wyzyskać.

Spekulanci, wyłudziwszy za pomocą obietnic niezwykłych zarobków, wszystkie oszczędności wielkich i małych kapitalistów, dali akcyonaryuszom szczególnego rodzaju widowisko. Oto zaczęli się sami nawzajem okłamywać, stawiać sobie pułapki. Nazywało się to w żargonie giełdy, że: duże ryby mają apetyt na drobne. Nagle, gdy w danej chwili nie było już więcej pieniędzy ruchomych w kasach prywatnych, rozległ się w Europie trzask i łoskot. Zapadały się „solidne“ przedsiębiorstwa, jak domki z kart, sypały się w gruzy banki, banczki, kantory i kantorki wekslarskie. Na placu boju ostało się tylko kilkudziesięciu potentatów finansowych i miliony okradzionych i zawiedzionych akcyonaryuszów. Różne „krachy“ kupieckie drugiej połowy zeszłego stulecia będą kiedyś jaskrawą ilustracyą oszalałej chciwości ludzkiej.

Nawet ten organ społeczeństw cywilizowanych, który powinien mieć czyste sumienie i czyste ręce. uległ powszechnemu zepsuciu. Prasa, z powołania swojego stróż i obrońca dobra publicznego, nauczyciel nieświadomych, poszła w Europie oświeconej w służbę nieszlachetnych namiętności Złotego Cielca. Pominąwszy pisma naukowe, specyalne i literackie, pozostające tylko w luźnym związku z życiem praktycznem i szczupłą ilość gazet, znanych z uczciwości, zachowuje się znakomita większość dziennikarstwa jak pospolita handlarka.

Organy stronnictw politycznych kłamią, naginają każdy wypadek do swoich celów, oczerniają świadomie przeciwników, szkodzą im rozmyślnie, nie szanują cudzej czci i cudzego spokoju. Gdyby ktoś wierzył na słowo artykułom dziennikarskim, pisanym podczas wyborów do parlamentu w Paryżu, Rzymie, Wiedniu lub Berlinie, nabrałby o wybitnych osobistościach Francyi, Włoch, Austryi i Niemiec bardzo ujemnego wyobrażenia. Prawie każdy z kandydatów, kimkolwiekby on był, kwalifikuje się w oświetleniu przeciwników do kryminału.

Prasa zaś informacyjna, najpoczytniejsza wszędzie, sprzedaje wszystko za pieniądze i schlebia prenumeratorom. Księgarz aktor, śpiewak, bankier, przedsiębiorca, fabrykant, kupiec nie doczeka się wzmianki w tekście, jeżeli nie zapłaci dobrze. Kosztuje krytyka, pochwała, wiadomość o przyjeździe i odjeździe, kosztuje wszelka uprzejmość. Bezwzględna dla ministrów, jeżeli nie kupią jej łaski, prasa informacyjna kłania się prenumeratorom do samych stóp. Nie uczy ich, nie prowadzi, nie objaśnia sumiennie, lecz nasłuchuje pilnie z uniżonością kantorowicza, pytając o gusta szanownej publiczności. Chcesz materyalizmu? Służymy... Jesteś dziś w usposobieniu zachowawczem?... Wierzymy, jak ty... Zachciewa ci się jutro radykalizmu? I my przekonaliśmy się lepiej... Obrzydł ci realizm, pragniesz mistycyzmu? Właśnie wirują znów stoliki i produkują się medya... Żądaj tylko wyraźnie, głośno, a znajdzie się w naszym sklepie każdy towar. Jesteśmy od tego, aby upodobania twoje zadowolnić...

Pieniądz i wszędzie pieniądz...

Jak w Grecyi po Tebach i Cheronei, w Rzymie za cezarów, w miastach włoskich książąt-kupców, jak we Francyi ostatnich Ludwików, rozsiadł się w drugiej połowie przeszłego stulecia Złoty Cielec w całej Europie, przygniatając ciężarem swoim cnotę, zasługę i dobroć, burząc ostatecznie, czego bezreligijność,

materyalizm teoretyczny i nadmierny egoizm nie zdołały zniszczyć... łamiąc charakter. Powolny sługa najniższych instynktów, dostarczyciel rozkoszy zmysłowych, wróg umiarkowania i uczciwości, tyran ubogich i słabych, chełpiący się, że kupi wszystko, sybaryta, sceptyk i cynik, zdemoralizował pieniądz do reszty współczesnego człowieka cywilizowanego, biorąc mu poczucie godności osobistej, na której ustalenie pracowały wieki.

A kobieta? Jakież stanowisko zajął ten najbarwniejszy kwiat żywego stworzenia w walce „niezawisłości z przesądami?“ Trzymał-że się on zdala od buntu rozumu i od pożądań zmysłowych, bronił-że czystości ogniska domowego, co było we wszystkich epokach jasnych jego przednim obowiązkiem i główną chlubą?

Kobieta XIX stulecia przypomniała sobie, że „poniżała się“ przez długi szereg wieków, jako „poddanka mężczyzny“ i spodziewała się od wszechmocnego rozumu zupełnego równouprawnienia z płcią, zwaną brzydką. Usiłując przyśpieszyć rozwój wypadków, wypowiedziała wojnę przeszłości, ograniczającej jej swobodę i domagała się głośno „pracy i nauki“.

Wprawdzie wyznaczyła natura kobiecie bardzo obszerne pole działalności, równie pożytecznej, jak zabiegi mężczyzny, ale nie o zajęciach: żony, matki, nauczycielki, gospodyni marzy emancypantka naszych czasów. Ją gniewa, iż obyczaj i prawo nie dopuszczały jej do posad: lekarzów, adwokatów, profesorów, inżynierów i t. d. i odebrały jej możność wpływania na bieg spraw publicznych. Więc podniósłszy wielką wrzawę, szturmowała do zamkniętych bram wyższych zakładów naukowych, a kiedy zdobyła sobie kilka uniwersystetów, rzuciła się chciwie do wiedzy.

Przez jakiś czas tryumfowała płeć piękna, wygrażając brzydkiej: teraz wam pokażę! Ale zapał ten trwał tylko krótko.

Bo oto okazało się, że nauka nie przychodzi tak łatwo, jak się kobiecie zdawało. Zabiera ona młodość, zdrowie, urodę, żąda nocy bezsennych, lat całych wielkiego wysiłku, głodu nieraz, poniewierki i różnych innych ofiar. Stanowczo przyjemniej zostać „poddanką“ męża.

A kiedy wyzwoliła ucznia, jaśnie oświecona pani nauka obchodzi się z nim, jak macocha. Wypędza lekarza, prawnika, filozofa w świat daleki i każe mu szukać między niegościnnymi ludźmi własnego kąta, nie dając mu na drogę najuboższej wy-

prawy. Chleb gorzki jedzą często wychowańcy uniwersytetów, chleb robotników, płaconych od sztuki. Patent z ukończonych studyów, to jeszcze nie posada, a tem mniej dobrobyt. Stanowczo wygodniej znosić nierówny humor męża, niż nieszlachetność wielu chlebodawców.

A w końcu... Nawet najgorliwsza emancypantka nie przestaje być kobietą. Gdy ją ominie pierwszy szał buntu, wówczas odzywa się w niej serce niewieście—serce kochanki, żony, matki. Daremny był jej bój z mądrością natury. Miłości nie zastąpi jej żadna umiejętność.

Z owych kilku tysięcy kobiet europejskich i amerykańskich, które zajęły w ostatnich latach dwudziestu ławy uniwersyteckie, wytrwało do egzaminów zaledwie kilkaset. Z tych znów, co uzyskały patenty, zapomniały trzy czwarte przy ogniskach domowych rychło o marzeniach młodości. Z reszty zaś, z ilości tak szczupłej, że rozpłynęła się prawie bez śladu w większości męskiej, z kilkudziesięciu doktorów medycyny, prawa, filozofii, żyjących ze swojego rzemiosła, ma dotąd nauka bardzo mało pociechy.

Plon nieco obfitszy wydała działalność kobiet oświeconych w literaturze pięknej. Opanowawszy powieść i nowelę, zadrukowały one romansami kilka tysięcy ryz papieru. Głównie w Anglii i w Niemczech wyparły autorki autorów z felietonów czasopism. Ale i na tem polu nie przewyższyły talentów męskich. Inicyatywy i reformy literackie nie od nich wyszły i wychodzą,

Niższość twórczości umysłowej nie przynosi kobiecie bynajmniej ujmy, głowa bowiem nie jest jej siłą przednią. Wzięła ona przy podziale darów, któremi Opatrzność wyposażyła człowieka, część lepszą, bo serce — źródło szczęścia i dobroci. Przeznaczeniem jej: dopełnić mężczyznę, utworzyć z nim razem całość doskonałą, dać mu to, czego jemu odmówiono... miękkość uczuć i wytworność obyczajów. Rzeczą mężczyzny: zbudować dom i utrzymać go, kobiety zaś: zamienić go na ciepłe, przyjemne gniazdo. Mąż myśli i pracuje, żona kocha i oszczędza.

Ale nie tak wierzą emancypantki. Odurzone obietnicami nauki niezawisłej, usiłują poprawić naturę. Najzacieklejsze z nich udają nienawiść do płci mocnej i pogardę dla cnót i tęsknot niewieścich. Zabrały się one z taką namiętnością do „roboty przyszłości,“ iż zdawało się, że wywrócą na nice dotychczasowy porządek społeczeństw cywilizowanych.

Z wielkiej jednak góry urodziła się drobna mysz. Jak pooświeconych rzymiankach z czasów cezarów, nie zostanie prawdopodobnie i po naszych emancypantkach w nauce i sztuce nic takiego, co potomni będą zmuszeni uwzględnić. W każdym razie nie zrównoważą owoce dodatnie zmowy kobiet XIX stulecia jej skutków ujemnych.

Któż-bo wróci spokój duszy i serca owym tysiącom, może krociom dziewcząt, którym położenie materyalne i wypadki nie pozwoliły się przetrawić w ogniu prawidłowej nauki? Religianie, usunięcie bowiem tego „przesądu“ należało do pierwszych paragrafów programu postępowego; rodzina także nie, bo mężczyzna lęka się słusznie związku dozgonnego z pół-uczoną ateistką. Wykolejone, wyparte z granic naturalnego posłannictwa kobiety, oddane na łup pracy wyrobniczej, pomnażają one rosnący z dniem każdym zastęp starych panien, o tyle nieszczęśliwsze od dawniejszych, o ile posiadają więcej świadomości swojego położenia. Uboga samotność jest zawsze rzeczą przykrą, w wieku zaś późniejszym okrutną.

Któż nauczy obowiązków żony i matki owe mądre panny, zajmujące się przed zamążpójściem wszystkiem, oprócz właśnie tem, czego ognisko domowe od nich żąda. Wnoszą one mężom, jako posag niefortunny, zniszczone zdrowie, zwiędłe serce i głowę, wypełnioną strzępami bezpożytecznej erudycyi. Kobieta z lepszego towarzystwa, karmiąca swoje dziecko, należy dziś do wyjątków. Gospodarstwo męczy panie z inteligencyi, trudne warunki niecierpliwią je, nużą. Ale za to mnoży się typ dyletanki literackiej i naukowej, osmagany już przez Juwenalisa, z płodnością potomstwa abrahamowego. Nie wiadomo, gdzie się schronić przed sawantką salonową, której się zdaje, że olśniewa mężczyznę, gdy sypie na niego całe korce uczonej sieczki. Filozofia, historya, chemia, botanika, psychologia, literatura i t. d. lecą z takim szumem na głowę cierpliwego słuchacza, iż zostaje mu jako jedyna odpowiedź tylko uśmiech pobłażliwy. Daremnieby zresztą przeczył lub objaśniał. Mądra dama wie wszystko najlepiej.

Nie sama tylko nieprzetrawiona nauka obrzydza płci słabej jej posłannictwo naturalne. Jak wytworną rzymiankę z pierwszych dwóch wieków po Chrystusie, psują i kobietę współczesną przedewszyskiem teatr i literatura nadobna.

Bo na cóż patrzą oczy niewieście w przybytkach Talii

i Melpomeny od lat pięćdziesięciu mniej więcej? Zamiast niepospolitych charakterów wielkich cierpień i szlachetnych rozpaczy, tragedyi i dramatu epok z programem dodatnim, widzą one zmysłowość w jej przejawach najrozmaitszych. Cudzołóstwo, wiarołomstwo, miłość zakazana oświetlona tragicznie i humorystycznie, jest stałym przedmiotem t. zw. sztuki mieszczańskiej. Autorowie bronią na scenie praw kobiety upadłej, tłumaczą kokotę, są gorliwymi rzecznikami rozwodu, a drwią z naiwnej uczciwości.

Dramat uczy płeć słabą buntu przeciw obowiązkom ogniska domowego, komedya przyzwyczaja jej ucho do podstępnego flirtu, farsa drażni jej zmysły dwuznacznikami i sytuacyami lubieżnemi.

Teatr drugiej połowy bieżącego stulecia przypomina zupełnie scenę grecko-rzymską z epoki upadku. Jak wówczas, święcą i dziś sale pustkami, gdy sobie jakiś dyrektor przypomni, że sztuka niepowinna być pospolitą bawicielką. Dramat w stylu szlachetnym może liczyć tylko wtedy na średnie powodzenie, gdy ukaże się w stroju błyskotliwej wystawy. Ale idyotyczna operetka, lub tłusta krotochwila obiegają całą Europę, witane wszędzie rzęsistymi oklaskami. Słowo szlachetne, podniosłe, gorące nudzi publiczność przeciętną, łaknącą wrażeń łatwych i ordynaryjnych. Utwór bez brudu moralnego, albo bez grubego śmiechu zajmuje jedynie galeryę, wyrostków i „ubogich duchem“.

A powieść, nowela?

Powieść i nowela, pozazdrościwszy laurów nauce, szturmowały z bezwzględnością badacza do serc niewieścich, burząc w nich ołtarz, wystawiony wstydliwości przez religię, poezyę i obyczaj. Wszystko, co ludzkość uczyniła, aby przykryć nagość swoją i złagodzić brutalność instynktów, materyalizm artystyczny usunął świadomie na stronę.

Szukając t. zw. prawdy, otworzyła powieść naturalistyczna całą nędzę moralną i fizyczną człowieka. Jej miłość nie była tęsknotą płciową, uszlachetnioną przez cywilizacyę, lecz pospolitą chucią zwierzęcia. Jej namiętności inne nie uznawały nad sobą żadnego prawa, oprócz pierwotnego egoizmu. Jej dyalog wydobywał rozmyślnie na wierzch cuchnący osad języka, brud gwary podłości i zbrodni.

Samców tylko i samice widziała kobieta w powieści dru-

giej połowy zeszłego stulecia, rozkiełznaną aż do obłędu zmysłowość. Autorowie francuscy nie oszczędzali uszu i oczu swoich czytelniczek. Mówili im i pokazywali wszystko, najchętniej zaś takie „dokumenty ludzkie," o których istnieniu kobieta uczciwa dopiero się od nich dowiadywała.

Z jakiejkolwiek strony spojrzy obserwator na chwilę obecną, wszędzie dostrzega jego oko cechy znamienne rozkładu. Krytycyzm filozoficzny, połączywszy się z materyalizmem teoretycznym, spłodził bezreligijność. Z braku wiary w pozagrobowe istnienie człowieka wylęgł się materyalizm praktyczny; którego potomstwem były po wszystkie czasy: głód używania i chciwość pieniędzy. Z materyalizmu wcielonego wyszło jego odbicie: brutalna sztuka i literatura. Teatr mieszczański i powieść naturalityczna starły z serca niewieściego wstydliwość, oswoiwszy je z występkiem.

Rysy powyższe, dopełniwszy się nawzajem, wytworzyły całość, nieprzedstawiającą materyału do jasnego malowidła.

Gdy człowiekowi współczesnemu zabrano wszystko, co dawnym „ciemnym" pokoleniom przyświecało, co uczyło je znosić spokojnie nierówności życia i nie obawiać się grozy śmierci, co krępowało samolubstwo bogacza, a łagodziło żal ubogiego, wówczas zwrócił on całą uwagę swoją na uciechy tej ziemi. Chciwość złota, jako najskuteczniejszego pomocnika w pogoni za rozkoszami zmysłowemi, ogarnął stopniowo wszystkie sfery, od ministra francuskiego począwszy, a skończy na naszym chłopie, który rzucał dla „dostatków brazylijskich" ukochaną ziemię i dobytek pieszczony. Ubóstwo było w XIX stuleciu kalectwem, nieszczęściem, a bogactwo najwyższem marzeniem. Dla pieniędzy poświęcał przeciętny karyerowicz polityczny honor i przekonanie; dla nich dopuszczał się finansista pospolitego oszustwa, sprzedawał się panicz nienawidzonej żonie, sprzeniewierzał się urzędnik instytucyi handlowej, kłamał dziennikarz, schlebiał niskim upodobaniom motłochu literat i artysta, gorszył nieświadomych wydawca, mordował proletaryusz, oświecony i nieoświecony, oddawała się kobieta w niewolę wstrętnego męża, Mocniejszy położeniem, środkami, sprytem, starał się wyzyskać słabszego. Pracą, chociaż ją ciągle zalecano, pomiatał, wczoraj na podłości dorobiony handlarz, uczciwość zaś zepchnięto do roli pocieszycielki głupich i głodnych. Powodzenie i złoto oddawano wyzyskiwaczom i dostarczycielom zabawy. Nie producentom

klaskano, lecz pośrednikom. Owoce trudu rolnika i rzemieślnika zabiera dotąd kupiec, z potu autorów i kompozytorów korzystają głównie wydawcy i wirtuozi.

Rozumie się, że wszystkie czasy wydają pewien procent bezwzględnych samolubów, ale tylko w epokach rozkładu drwi egoizm ze szlachetnych zdobyczy cywilizacyi, zowiąc się zuchwale jedynym rozumnym bodźcem postępowania ludzkiego. W Grecyi Sofoklesa nie ośmieliłby się nikt posyłać osła objuczonego złotem przeciw murom obronnym miasta; w Rzymie, wychowanym przez matrony, kusił Cyneasz daremnie kobietę materyami purpurowemi i kosztownemi świecidełkami; rycerz chrześcijański wojen krzyżowych składał życie bez namysłu na ołtarzu wiary i honoru. Jasne chwile dziejowe lekceważą zdrowie i mienie, korząc się bez szemrania przed obowiązkiem.

Przyszły historyk XIX stulecia, wpatrzywszy się w oblicze naszych czasów, w naukę i sztukę, w ich życie publiczne i prywatne, odnajdzie na tej smutnej twarzy wszystkie rysy charakterystyczne rozkładających się cywilizacyj.

Bo kiedy siły ludzkie i ustrój społeczny nie dorównały pragnieniom rozkiełznanego egoizmu, wówczas rozległ się lament pesymizmu. Jak się oświecony rzymianin z epoki cezarów nudził wśród wytwornego otoczenia, tak czuje się i cywilizowany europejczyk schyłku XIX i początku XX stulecia nieszczęśliwym mimo wygód, nieznanych jego przodkom... mimo świetnych miast, wykwintnie urządzonych domów, fabryk, kolei żelaznych, telegrafów, telefonów, teatrów, gazet i t. d.

Zniechęcenie do życia wykwitło z nadmiernej żądzy użycia. Dekadentyzm teoretyczny i praktyczny zamknął ostatecznie robotę krytyczną trzech wieków.

III.

Dekadentyzm w literaturze francuskiej.

Karol Baudelaire.

W lipcu 1857 roku ukazał się na francuskim rynku księgarskim tom poezyi, który zwrócił na siebie uwagę nietylko krytyki i publiczności ale i prokuratoryi Jak niegdyś Berangera, chociaż z powodów innych, pociągnięto i Karola Baudelaire'a do odpowiedzialności sądowej za jego „Kwiaty zła“ (*Les fleurs du mal*). Trybunał skazał autora i wydawców (Poulet-Malassis i de Broise) na karę pieniężną i na usunięcie sześciu utworów, pomieszczonych w książę, pod numerami: 20, 30, 39, 80, 81 i 87, a uznanych za „bezwstydne i niemoralne.“

Poeta, broniąc się przeciw zarzutowi rozmyślnej niemoralności, powoływał się na prawa sztuki dla sztuki, „nieuznającej ani zła, ani dobra“. Było to jednak tłumaczenie nieszczere, czego dowodem jego list, napisany w dziewięć lat później (28 lutego 1866 r.) do notaryusza Ancelle'a, a zawierający między innemi zwrot następujący:

„Potrzebaż mówić i panu, który nie domyślałeś się tego tak samo, jak inni, że w tę księgę gwałtowną włożyłem całą moją myśl, całe serce, całą religię, całą nienawiść? Prawdą jest, iż twierdziłem wówczas wręcz przeciwnie, zaklinając się na wszystko, że „Kwiaty zła“ są dziełem czystej sztuki małpiar-

stwa, kuglarstwa artystycznego, ale kłamałem jak szarlatan, wyrywający zęby".

Więc nie zabawką sztukmistrza, jak Baudelaire chciał wmówić w swoich sędziów i krytyków były „Kwiaty zła", lecz wybuchem podmiotowym, odbiciem jego własnych poglądów, przekonań i gustów.

A dziwne poglądy, przekonania i gusta wyzierały z poza tych „kwiatów boleści", ofiarowanych Teofilowi Gautier'owi. Już poemat naczelny, otwierający całą wiązankę, nazwany przez Baudelaire'a „Przedmową" (*Préface*; w późniejszych wydaniach *Au lecteur*), odsłania ponurą otchłań jakiejś okrutnej rozpaczy.

Głupota—grzechy—błędy—lubieżność i chciwość
Duch i ciało nam gryzą, niby ząb zatruty,
A my karmim te nasze rozkoszne wyrzuty
Tak jak żebracy karmią swych szat robaczywość.

*

Upór jest w naszych grzechach, strach jest w naszych żalach,
Za skruchę i pokutę płacim sobie drogo —
I wesoło znów kroczym naszą błotną drogą,
Wierząc, że zmyjem winy w łez mizernych falach.

*

A na poduszce grzechu szatana Trismegista
Nasz duch oczarowany kołysze powoli,
I tak trawi bogaty kruszec naszej woli
Trucizną swą ten stary, mądry alchemista.

*

Dyabeł to trzyma nici, co kierują nami!
Na rzeczy wstrętne patrzym sympatycznem okiem,
Co dzień do piekieł jednym zbliżamy się krokiem
Przez ciemność, która cuchnie i na wieki plami.

*

Jak żebraczy rozpustnik, co, gryząc, przyciska
Męczeńską pierś strudzonej starej nierządnicy,
Kradniem rozkosz przejściową, w mrokach tajemnicy,
Jak zeschłą pomarańczę, z której sok nie tryska.

*

Niby rój glist, co mrowiem gęstem się przewala,
W mózgu nam tłum demonów huczy z dzikim śmiechem;
A śmierć ku naszym płucom za każdym oddechem
Spływa z głuchemi skargi, jak podziemna fala

*

Jeśli gwałt i trucizna, ognie i sztylety
Dotąd swym żartobliwym haftem nie wyszyły
Kanwy naszych przeznaczeń banalnej, niemiłej,
To dlatego, że brak nam odwagi—niestety.

*

Ale pośród szakalów, śród panter i smoków,
Pośród małp i skorpionów, żmij i nietoperzy,
Śród tworów, których stado wyje, pełza, bieży,
W ohydnej menażeryi naszych grzesznych skoków —

*

Jest potwór—potworniejszy nad to bydląt plemię,
Nuda, co chociaż krzykiem nie utrudza gardła,
Chętnieby całą ziemię na proch miękki starła,
Aby jednem ziewnięciem połknąć całą ziemię.

*

Łza mimowolna błyska w oczu jej pryzmacie,
Ona marzy szafoty, dymiąc swe haszysze,
Ty znasz tego potwora, co jak sen kołysze —
Hipokryto, słuchaczu, mój bliźni, mój bracie.

W ten sposób przemówił Baudelaire do czytelników we wstępie swoich „Kwiatów zła".

Pesymizm w poezyi nie był obcym ludzkości cywilizowanej w początkach drugiej połowy XIX stulecia. Przyzwyczaili ją do niego: Byron, Leopardi, Musset i liczny zastęp płaczków niższego rzędu. Pominąwszy krótkotrwały zapał młodego romantyzmu, powtarzali rymotwórcy na wszystkie tony: nicość, nicości i nicości nicość.

Ale na dnie tych lamentów nie było nienawiści do człowieka, pogardy dla jego nędzy. Płynął z nich żal serdeczny, czasem gwałtowny, bluźnierczy, unoszący się w górę do bram niebieskich, którym buntownicy wyrzucali niewyraźne przeznaczenie rodu prometeuszowego. Nie człowiek był winien temu co się dzieje, lecz jego połowiczność.

Inaczej przedstawia się pesymizm w „Przedmowie" Baudelaire'a. Tu zohydza człowieka człowiek, odmawiając mu wprost wszelkich lepszych popędów:

Jeśli gwałt i trucizna, ognie i sztylety
Dotąd swym żartobliwym haftem nie wyszyły
Kanwy naszych przeznaczeń banalnej, niemiłej,
To dlatego, że brak nam odwagi—niestety!

Tylko naszemu tchórzostwu zawdzięczamy, że nie jesteśmy wszyscy, bez wyjątku zbrodniarzami; tylko strach przed zemstą sprawiedliwości doczesnej powstrzymuje nas od: gwałtu, trucizny, od ognia i sztyletu.

A ów dziki pesymizm, „pragnący zetrzeć całą ziemię na miałki proch, aby ją jednem połknąć ziewnięciem“, „marzący o szafotach“, nie jest skutkiem chwilowego złego humoru, wraca bowiem ciągle u Baudelaire'a.

W „Podróży“ (*Voyage*) rozgląda się poeta po świecie i opowiada, co dostrzegł, przypatrując się życiu:

Ach, któż o najważniejszej rzeczy zapomina?
Bez szukania widzieliśmy wszędzie wokoło,
Gdzie tylko się unosi fatalna drabina,
Nieśmiertelnego grzechu postać niewesołą.

*

Kobieta, niewolnica, nędzna, dumna, głupia,
Co wielbi się bez śmiechu i kocha bez wstrętu;
Mąż jej, tyran zwierz, który chciwie żer swój skupia,
Niewolnik niewolnicy i zdrój ścieków mętu.

*

I ludzkość gadatliwa, geniuszem pijana,
A skazana na wieczne błędy i szaleństwa,
Wołając w agonii swej do Boga-Pana:
O, mój bliźni, mój panie, rzucam ci przekleństwo!

W którąkolwiek stronę zwróciło się oko Baudelaire'a, wszędzie dostrzegało ono tylko: podłość, zdradę, obłudę, brud, zgniliznę.

Dyabeł to trzyma nici, co kierują nami!
Na rzeczy wstrętne patrzym sympatycznem okiem,
Co dzień do piekieł jednym zbliżamy się krokiem
Przez ciemność, która cuchnie i na wieki plami.

Kto twierdzi inaczej, ten kłamie, jest hipokrytą. Nie ma na ziemi ani cnoty, ani szlachetnej boleści. Każde cierpienie człowieka wypływa z pobudek nikczemnych.

Jeszcze wyraźniej, niż w „Kwiatach zła“, ujawniła się nienawiść Baudelaire'a do ludzi w „Drobnych poematach prozą“ (*Petits poemes en prose*), pomijanych zwykle przez krytykę. Jest tych poemacików czterdzieści dziewięć, a z każdego z nich tryska jad absolutnego pesymizmu.

Z tą niewiarą w wartość życia nie zgadzała się wcale zmysłowość, nieukrywająca się ze swojemi chuciami. Publiczny oskarżyciel zwierzęcości ludzkiej, zanosił w „Kwiatach zła“ gorącą modlitwę (*La prière d'un païen*) do lubieżności: „O, nie ostudzaj płomieni — błagał — ogrzej me serce ostygłe... rozkoszy, torturo dusz! Boska, wysłuchaj mej prośby i bądź mi zawsze królową“.

Dla Baudelair'a była kobieta tylko narzędziem do rozkoszy. O zalety jej serca, umysłu, charakteru nie pytał. Wystarczało mu, gdy wabiła pięknem ciała. „Cóż mnie to może obchodzić, czy jesteś rozumna? — wołał — bądź tylko urodziwa“ (*Madrigal triste*).

Od piękności nie żądał czystości i dobroci. „Czy zstępujesz z nieba, albo-li z piekła, czy szatan cię zesłał lub Bóg, nie do mnie należy badać. Mnie dość, jeśli twoje oko, twój uśmiech, twoje stopy otworzą przedemną bramy Nieskończoności, którą kocham, a której nigdy nie znałem“ (*Hymne á la beauté*).

Uczciwość jest, podług Baudelaire'a, w miłości przeszkodą. „Przeklęty niech będzie na zawsze niepotrzebny marzyciel — uczył — który usiłował połączyć miłość z uczciwością“.

Dla gorzkich łez niewieścich nie znalazł twóra „Kwiatów zła“ ani jednego słowa serdecznego; przeciwnie, upajał się łkaniami, wstrząsającemi piersią zbolałą (*Madrigal triste*). Ale nad bezmyślnością kobiet upadłych umiał się litować: „O, dziewice, demony, potwory, męczennice, poszukiwaczki nieskończoności... biedne siostry... kocham was tyle, ile was żałuję“ (*Femmes damnées*).

Z pomiędzy pięciu zmysłów dawał pierwszeństwo powonieniu. Nie wzrok i dotyk budziły w nim żądze, lecz zawsze jakieś zapachy (*La chevelure*).

O, runo, spadające aż na kark i szyję!
Pukle! wonie sennością jakąś obciążone!
O, czary! dziś gdy zmierzch mą alkowę okryje,
By ożywić tłum wspomnień, co w tych puklach żyje,
Niemi, jak wonną chustką w powietrzu powionę.

*

Cały świat, tęskna Azya i wrząca Afryka,
Daleki, prawie zgasły, w niepamięci toni,
O lesie, wonny, w twoich głębiach się zamyka!
A jako inne duchy kołysze, muzyka,
Mój, o miłości moja, pływa na twej woni.

Pójdę, gdzie krzew i człowiek, pełni życia soków,
Przeciągle piją rozkosz pod słońcem, co żarzy;
Sploty, jak fala nieście mię w ten sen uroków.
Morze hebanów, w tobie sen świetnych widoków,
Sen barw płomieni, masztów, żegli i żeglarzy.

*

Włosy krucze, bandero rozpiętych ciemności,
W was mam tamtych nieb drugich okrąg lazurowy,
Na waszym kędzierzawym puchu—dla mnie gości
Upajający zapach zmieszanych wonności:
Piżma, smoły. oliwy wyziew kokosowej.

*

Długo, bez końca, dłoń ma po twej ciężkiej grzywie
Będzie siać perły, zdobić szafirem, rubinem,
Byś zawsze głosu żądz mych słuchała życzliwie!
Czyś nie jest znów oazą, flaszą, z której chciwie
Ciągnę balsamy, wspomnień upajam się winem?

Nieznane najśmielszym buntownikom romantycznym bezbożne bluźnierstwo, przypominające okrutne drwiny Lucyana, dopełniło w „Kwiatach zła“ ich nienawistnego pesymizmu i chorej lubieżności. Trzy poematy, objęte wspólnem tytułem: *Révolte* (*Le reniement de Saint Pierre; Abel et Cain* i *Les litanies de Satan*) przeraziły bezwzględnością nawet przyjaciół Baudelaire'a. Odezwała się w nich złość upadłego anioła, wroga wszelkiej dobroci. Poeta potomstwu Kaina kazał się wedrzeć do nieba, do szatana zaś modlił się, jako do opiekuna ludzkości:

— O, ty, najrozumniejszy i najpiękniejszy z aniołów, boże, zdradzony przez los i pozbawiony chwały — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

— O, książę wygnania, którego skrzywdzono i który, zdradzony, podnosisz się zawsze coraz silniejszy — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

— Ty, który wiesz wszystko, wielki królu rzeczy, kryjący się w podziemiach, życzliwy uzdrowicielu trosk ludzkich — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

— Ty, który wpajasz nawet w trędowatych i przeklętych paryasów miłość do raju — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą...

— Podporo wygnańców, lampo wynalazców, spowiedniku wisielców i spiskowców — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

— Przybrany ojcze tych, których w swym czarnym gniewie wypędził z raju doczesnego Bóg Ojciec — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

Na taką „litanię“ nie odważył się nawet Byron, nie grzeszący zbytkiem pokory. Odżyły w niej echa bluźnierców konającego Rzymu i gasnącego średniowiecza.

Zatrute kwiaty pesymizmu, lubieżności i bezbożności przeplatały w „Kwiatach zła“ cuchnące chwasty, szczególnych, jak na poetę, upodobań. Baudelaire opiewał błotnistą jesień (*Brumes et pluies*), trupów jedzonych przez robaki (*Le mort joyeux*), morderców (*Le vin de l'assassin*), halucynacye, spleen, brzydkie choroby i rozkładające się ciała (*Une charogne*).

A ponad tą całą wrzawą, złożoną z drwin, cynizmu, klątw, bluźnierstw i brudów, unosiła się jakaś szczególna, niezrozumiała dla ludzi żywych, tęsknota za martwotą, za absolutnym spokojem, pozbawionym wszelkiego ruchu. Baudelaire podziwiał zewnętrzną obojętność sów (*Les hiboux*), które „uczą mędrca, iż powinien omijać ruch i wrzawę dnia białego“. Piękność była dla niego „snem skamieniałym“ i nienawidził ruchu, co mąci spokój linii“ (*La Beauté*).

O „wiecznym, niemym chłodzie ciszy“ marzył twórca „Kwiatów zła“ (*Rêve parisien*):

Nie oglądał wzrok człowieka,
Tak okropnych, dzikich scen,
Jakie dzisiaj mi zdaleka
W zachwyceniu jawił sen.

*

Czarodziejstwo w snach się roi!
Na mnie dziwny kaprys padł,
Żem z krainy wygnał swojej
Roślinności zmienny świat.

*

Malarz dumny swym talentem,
Odurzałem się też w bród,
Monotonnym elementem
Marmurów, kruszczów i wód.

*

Babel schodów, arkad krocie,
Nieskończony był to gmach,
W ciemnem lub matowem złocie,
Rój się kaskad iskrzył w łzach.

*

Katarakty tam ciążące,
Jak firanek szklanych zwój,
Na kruszczowych ścian tysiące
Płaszcz rzucały lśniący swój.

*

Miast grup drzewnych—kolumnady
Otoczyły jezior zrąb,
Gdzie olbrzymie się Najady,
Jak kobiety, patrzą w głąb.

*

Głaz różowy i zielony,
Okuł smugi sinych fal,
Które biegły przez miliony
Mil—ku krańcom świata—w dal!

*

Głazy jakieś niestworzone,
Nurt magiczny;—były to
Wielkie lustra—rozświetlone
Tem, co ich odbiło tło!

*

Obojętne i milczące
Te Gangesy—ze swych czar
Łały skarby wód drzemiące
W brylantowych bezdni jar.

*

Swych czarodziejstw budowniczy —
Przez tunel z klejnotów zórz,
Przeganiałem niewolniczy,
Okiełznany odmęt mórz.

*

Wszystkie barwy ogniem graly,
Nawet kir miał swą tęcz grę;
Żywioł płynny zlał się cały
W kryształowy promień—skrę.

*

Nigdzie słońca, gwiazd, miesiąca,
Nawet tam, gdzie nieba skłon,
Świat mój cudny nie miał słońca,
Własnym ogniem gorzał on.

*

Nad tym światem cudów w ruchu
Zaległ—(nowy, straszny cud!
Wzrok panował. Nie dla słuchu).
Wieczny niemy ciszy chłód. [1])

Rozumie się, że taka poezya musiała zadziwić współczesnych Baudelaire'a, nic bowiem podobnego nie czytano dotąd w Europie cywilizowanej. Żaden „wieszcz“ nie opiewał ścierwa, trupów, nierządnic, brzydkich chorób, żaden nie marzył o „wiecznym, niemym chłodzie ciszy“, żaden nie bluźnił tak straszliwie i nie złorzeczył ludziom tak bez litości.

A te klątwy, szyderstwa i brudy wypłynęły z ust, powołanych do szerokiego, potężnego śpiewu. Prawdziwy niepospolity rymotwórca, wielki majster formy, złożył te świetne, wyciosane zwrotki.

Sądy potępiły „Kwiaty zła“, a publiczność rozchwytała je, jak zwykle w takich razach. Już w rok potem przysposabiał Baudelaire nowe wydanie. Uprzejmy dla młodych talentów Wiktor Hugo pisał do niego wkrótce po wyjściu książki: „Odebrałem szlachetny list pański i jego piękne dzieło. Sztuka jest jako lazury... polem bez końca, czego pan nowy dajesz dowód. Twoje „Kwiaty zła“ promienieją i olśniewają, jak gwiazdy. Pracuj dalej! Co do mnie, wołam z całych sił: brawo dzielnemu talentowi! Pozwól mi pan zakończyć tych kilka wierszy życzeniem. Odebrałeś jedno z owych rzadkich odznaczeń, jakie porządek obecny mógł panu udzielić. Jego t. zw. sprawiedliwość potępiła cię w imię jego t. zw. moralności. Jest to dla pana jeszcze jeden wieniec. Ściskam dłoń twoją, poeto...“

I bieżąca krytyka literacka powitała „Kwiaty zła“ z szacunkiem, należącym się rzeczywistemu talentowi. Baudelaire, wczoraj znany tylko kolegom i przyjaciołom, stał się dzisiaj osobistością rozgłośną. Jego wydawca, Poulet-Malassis, pisał do niego w r. 1859: „Wyprawiliśmy sobie wczoraj obiad w rodzaju biesiad barona Holbacha, a na tej stypie rozmawialiśmy tylko o papieżu, o Mirabeau i o tobie, sławny człowieku. Ściskam

---

[1]) Cytując Baudelair'a w mowie wiązanej, korzystałem z przekładów Adama M—skiego i A. Langiego, wydanych w Warszawie (1894 r.) p. t. „Kwiaty grzechu“ Karola Baudelair'a.

(*Przyp. aut.*)

dłoń twoją, albowiem przyjaźń znakomitych mężów jest darem bogów."

Ale powodzenie twórcy „Kwiatów zła" trwało krótko. Już po roku 1860 zapomniano o nim. Kiedy w kilka lat potem (w sierpniu 1867 r.) umarł, strawiony przez ciężką niemoc, znalazła się przy jego trumnie tylko szczupła garstka najbliższych kolegów. Dopiero w czasach najnowszych zajmuje się znów świat literacki Baudelair'em, stawiając go w pierwszym szeregu poetów XIX stulecia. Legion współczesnych dekadentów francuskich, belgijskich i angielskich nazywa go przodkiem swoim.

Karol Baudelaire jest rzeczywiście w poezyi ojcem kierunku, nazwanego obecnie dekadentyzmem. Od niego uczyli się: Verlaine, Bourget, Mallarmé, Riechepin, Rollinat, jego smutną spuścizną podzielili się wszyscy młodzi rymotwórcy schyłku XIX stulecia. W jego przeto pismach należy szukać odpowiedzi na pytanie: czem jest dekadentyzm literacki?

Oprocz „Kwiatów zła" i „Drobnych poematów prozą", zostawił Baudelaire po sobie garść luźnych kartek, rzuconych bez celu i porządku do teki. Świstki te pozbierał i zachował jego wydawca, Malassis, a wydał po tegoż śmierci Eugeniusz Crépet[1]) razem z innymi fragmentami, p. t. *Mon coeur mis a nu* i *Fusées*.

Chociaż uwagi te i spostrzeżenia, pisane w różnych czasach, pomieszane chaotycznie, nie tworzą całości organicznej, są one mimo to dla krytyka bardzo cenną wskazówką, odsłaniają bowiem najskrytsze tajniki psychologii poety. Dowiadujemy się z nich o poglądach Baudelaire'a na życie i ludzi, o jego sympatyach i antypatyach.

Już dzieckiem będąc, miał twórca „Kwiatów zła" szczególne upodobania. Jako chłopczyk marzył o tem, aby zostać papieżem, albo wojskowym, albo... komedyantem. W bardzo młodych latach czuł w sobie dwie siły, odpychające się nawzajem: wstręt do życia i namiętny pociąg do jego rozkoszy (Crépet, j. w. str. 114). Czuł się on wszędzie, wpośród rodziny, a najwięcej w licznem gronie kolegów samotnym (str. 96).

Dla ludzi pospolitych żywił pogardę i nienawiść. „Nie trzeba wierzyć — drwił — by dyabeł kusił tylko geniuszów. Gardzi

[1]) Eugène Crépet: „Charles Baudelaire, Oeuvres posthumes et Correspondances inédites; Paryż 1887 r.

on niezawodnie głupcami, ale nie lekceważy ich współudziału. Przeciwnie. Na nich to buduje swoje wielkie nadzieje" (str. 101). „Gdyby poeta zażądał od państwa prawa posiadania na stajni kilku mieszczuchów, zdziwionoby się bardzo, ale gdyby się jakiemu mieszczuchowi zachciało na obiad kawałka pieczonego poety, uważanoby to za rzecz zupełnie naturalną (str. 83).

Bourgeois wraca kilka razy w luźnych kartkach, a zawsze zohydzony, oplwany.

Podług Baudelaire'a zasługują na wdzięczność ludzkości tylko poeta, kapłan i żołnierz: „człowiek, który śpiewa, który błogosławi i który poświęca innych, poświęcając siebie. Reszta, to motłoch, istniejący dla bata" (str. 107).

Demokratą Baudelaire nie był, postęp lekceważył.

„Jest rozkoszą arystokratyczną starać się zasłużyć na niechęć motłochu". „Dlaczego demokraci nie lubią kotów? Bo kot jest pięknym; objawia on idee zbytku, czystości, lubieżności" (str. 85). „Cóż może być głupszego od postępu? Człowiek jest zawsze do siebie podobny, bo znajduje się wiecznie w stanie dzikości. Czemże są niebezpieczeństwa lasów i puszcz w porównaniu z codziennymi konfliktami cywilizacyi? Czy człowiek obejmuje swoją ofiarę na bulwarach, albo też ściga swoją zdobycz w lasach nieznanych, jest on zawsze tylko najdoskonalszem zwierzęciem zdobyczy"(str. 86). Istnieje tylko jedna rozumna i bezpieczna forma rządu, mianowicie arystokratyczna. Monarchia albo rzeczpospolita, oparta na demokracyi, są równo słabe i niedorzeczne" (str. 99).

Kupiectwa nie cierpiał. „Kupiectwo jest w istocie swojej rzeczą szatańską. Oddaj mi więcej, aniżeli odemnie wziąłeś! stanowi jego zasadę. Umysł każdego handlarza jest nawskroś występny. Kupiec zamienia nawet uczciwość na spekulacyę. Kupiectwo jest rzeczą szatańską, bo jest jedną z najniższych, najpodlejszych form egoizmu" (str. 115).

Chełpił się brakiem przekonań politycznych.

„Nie posiadam przekonań w rozumieniu chwili obecnej, bo nie mam ambicyi. Niema we mnie podstawy do przekonań. Ludzie uczciwi odznaczają się pewnem tchórzostwem, albo raczej pewną miękkością. Tylko bryganci bywają przekonani. O czem? Że powinni dojść do wytkniętego celu. I dochodzą. Dlaczego miałbym się ubiegać o powodzenie, skoro nie mam nawet ochoty próbować?" str. 95—96).

Człowiek pożyteczny wydawał się Baudelaire'owi zawsze „czemś bardzo wstrętnem“ (str. 95). Ideałem jego był tak zw. dandy, chłodny, obojętny na całe otoczenie, światowiec.

„Dandy nie robi nic. Czy możecie go sobie wystawić przemawiajacego do ludu? Chyba wtedy, gdy drwi z motłochu!“ (str. 99).

Pracę zalecał, ale tylko dlatego, bo „jest ona mniej nudna od zabawy“ (str. 98).

Dziennikarstwem pogardzał. „W każdym numerze jakiejkolwiek gazety, bez względu na dzień, miesiąc, rok, w każdym jej wierszu, spotykamy ślady najstraszniejszej przewrotności ludzkiej, obok zdumiewających przechwałek uczciwości, dobroci i miłosierdzia i najbezczelniejszych zapewnień, odnoszących się do postępu cywilizacyi. Każdy dziennik, począwszy od pierwszego do ostatniego, jest stekiem zgrozy: Wojny, zbrodnie, kradzieże, tortury — zbrodnie książąt, narodów, osób prywatnych, szał powszechnego okrucieństwa... Ze wszystkiego na tym świecie sączy się zbrodnia: z gazety, z muru, z twarzy człowieka... Nie rozumiem, jak ręka czysta może dotknąć gazety bez wstrętu“ (str. 117—118).

W dobroć nie wierzył.

„Gdy się człowiek kładzie do łóżka, pragną prawie wszyscy przyjaciele potajemnie jego śmierci. Jedni dlatego, aby skonstatować, że posiadają zdrowie lepsze od niego, inni dlatego, aby badać bezinteresownie jego agonię“ (str. 74).

Wyszukiwał sobie przyjemności niezwykłych.

„Człowiek zdolny, czyli ten, który się nigdy z nikim nie zgodzi, powinien się nauczyć lubić rozmowę głupców i treść złych książek. Wydobędzie on z nich rozkosze gorzkie, które opłacą sowicie fatygę“ (str. 116).

Oświadczał zawsze każdemu, kto go chciał słuchać, że jest katolikiem i przyjacielem Jezuitów.

„Krajom protestanckim brak dwóch pierwiastków, niezbędnych do szczęścia człowieka dobrze wychowanego: galanteryi i dewocyi (str. 84). „Nudzę się we Francyi, bo wszyscy są tu podobni do Woltera“ (str. 102).

Piękno pojmował Baudelaire po swojemu.

„Piękną nazywał głowę kobiety wtedy, kiedy pobudza do marzenia, „złożonego z rozkoszy i smutku...“ Typem piękności męskiej był dla niego szatan Miltona (str. 79—71). Rysami, two-

rzącymi piękno są, podług niego: wyraz zblazowany, znudzony, bezczelny, chłodny, głęboki, dumny, zły, chory, koci, drwiący, złośliwy (str. 82).

Teatrowi nie odmawiał racyi bytu, ale żądał powrotu do koturnów i maski greckiej (str. 97).

Najczęściej wracała myśl Baudelaire'a w luźnych kartkach, znanych obecnie p. t. „Mon coeur mis à nu“ i „Fusées“ do kobiety i miłości. Co poeta wypowiada w tym kierunku, rzuca jasne światło na lubieżność jego „Kwiatów zła“.

„Miłość do kobiet inteligentych jest rozkoszą nienaturalną“ (str. 75). „Kobieta jest przeciwieństwem dandysa, więc powinna budzić wstręt. Kobieta jest obrzydliwa i pospolita“ (str. 93). „Dziwiłem się zawsze, iż dopuszczono kobietę do kościoła. O czemże może ona rozmawiać z Bogiem? Wenus (kaprys, hysterya, fantazya) jest jedną z najlepszych pomocnic szatana“ (str. 107). „Kobieta nie umie rozłączyć duszy od ciała. Jest ona jednolitą, jak zwierzę“ (str. 107). „Zastanowić się trzeba nad koniecznością chłostania kobiet“ (str. 114).

A miłość Baudelaire'a.

Z niepospolitą siłą odtworzony obraz miłości zmysłowej zakończył poeta temi słowy.

„Co do mnie, twierdzę, iż jedyna i najwyższa rozkosz miłości polega na pewności wykonania zła. Mężczyzna i kobieta wiedzą od urodzenia, że rozkosz znajduje się w złem“ (str. 74). „Wzywanie Boga lub idealizmu jest pragnieniem podnoszenia się w górę; wzywanie szatana albo materyalizmu jest rozkoszą usuwania się na dół. Do kategoryi drugiej należy miłość do kobiety“ (str. 98). „Czemże jest miłość? Potrzebą wyjścia z siebie. Człowiek jest zwierzęciem uwielbiającem, uwielbienie zaś znaczy to samo, co poświęcenie i prostytucya. Wynika z tego, że miłość jest prostytucyą“ (str. 106).

Listy Baudelaire'a, dołączone do fragmentów pośmiertnych, do planów powieści, nowel i dramatów, do urywków, szkiców, scenaryuszów, nie zawierają nic takiego, coby rzucało nowe światło na psychologię poety. Należy tylko wymienić kilka tytułów romansów pomyślanych, a nie wykonanych. W spisie projektów znalazł Crépet następujące zapowiedzie: „Les enseignements d'un monstre“; „La maîtresse vièrge“; Le crime au collège“; „Les monstres“; Les tribades“; „L'amour parricide“; „Une infâme adorée“ i t. d.

Baudelaire nie był autorem płodnym. Oprócz „Kwiatów zła“ „Drobnych poematów prozą“ i pamiętniczka („Mon coeurs mis à nu“ i „Fusées“) zostawił po sobie garść fragmentów bez wartości, kilka nowel, studyum o działaniu opium, haszyszu i wina p. t. „Les paradis artificiels“, dwa tomy rozrywek literacko-artystycznych i pięć tomików przekładów z Egdara Poë. Trzy pierwsze dzieła wystarczają do charakterystyki rozgłośnego obecnie autora „Kwiatów zła“.

W oświetleniu swoich własnych pism jest Baudelaire przedewszystkiem zawiedzionym lubieżnikiem. Chciwa używania zmysłowość sączy się z każdego wiersza, odnoszącego się do miłości. Chociaż gardzi on kobietą, dziwiąc się, jak można ją było „dopuścić do kościoła“, mimo to pożąda jej ciągle, myśli o niej bezustannie. A nie pragnie jej jako towarzyszki życia, jako przyjaciółki, rozumiejącej jego trudy, lecz jako narzędzia do rozkoszy. Pociąga go miękkość, słodycz i wytworność kobiety, nie zalety jej serca i charakteru. Niech się kochanka z szatana rodzi, byle drażniła zmysły pięknością cielesną.

Wiadomo, że Baudelaire żył tak jak pisał. Odziedziczywszy po ojcu niewielki majątek (75,000 franków), załatwił się z nim bardzo prędko. Już w szkołach będąc, nie odmawiał sobie przyjemności dojrzałego wieku, a kiedy go pełnoletniość wyzwoliła z pod opieki ojczyma (generała Aupick'a), wówczas robił wszystko, aby się pozbyć złudzeń młodości. Noce bezsenne przepędzał w gronie wesołych przyjaciół, od towarzystw przyzwoitych stronił, dom matki omijał, wyniszczał się wyuzdanemi rozkoszami, obcował tylko z kobietami upadłemi, a wśród tych wybierał zawsze jakieś „nadzwyczajne“... olbrzymki, karlice, mulatki, japonki,

Skłonność do dziwactwa jest drugim rysem znamiennym Baudelaire'a. Lubieżnik, marzący w latach dziecinnych o tem, aby zostać „papieżem, wojskowym, albo komendyantem“, czujący się samotnym wśród najliczniejszego zebrania, wróg ludzi, czynów i wrażeń pospolitych, nie chciał używać, jak zwykły burżoa. Tylko rozkosze niezwykłe zadawalniały jego „gusta wykwintne“.

Z lubieżności, uprawianej bez miary, wynikła wkrótce, jak inaczej być nie mogło, niemoc fizyczna. Baudelaire, stargawszy zdrowie, uciekał się do środków podbudzających; odurzał się haszyszem, opium, podniecał się sztucznie. Wiadomo, że zgasł

w 46 roku życia na wyniszczenie organizmu. Już na pięć lat przed śmiercią zaczął tracić panowanie nad zmysłami. „Chowałem moją histeryę z rozkoszą i zgrozą — pisał 23 stycznia 1862 r. w „Mon coeur mis à nu“ (Crépet; j. w. str. 119). — Dziś doświadczyłem szczególnej przestrogi: uczułem, że przeszedł nademną powiew skrzydła idyotyzmu“. Paraliż postępowy męczył go bardzo długo, zanim go powalił.

Wzmagające się z każdym rokiem dziwactwo, przejawiające się w formie upodobań chorobliwych, jest już tylko naturalnym skutkiem nadmiernej zmysłowości i skłonności i do mizantropii. Chorego histeryka prześladują widziadła, halucynacye, odpychają go rozkosze zdrowe, a pociągają sztuczne podrażnienia.

Baudelaire myślał, czuł i robił wszystko na opak. Był arystokratą z upodobań, a nie umiał się litować nad nędzą i słabością ludzką i nie miał czci dla honoru. Przyznawał się do chrześcijaństwa, do katolicyzmu nawet, a pisał litanie i modlitwy do szatana. Tęsknił bezustannie za miłością, a opiewał tylko jej wybryki i brudy. Posiadał wysoko rozwinięte poczucie rytmu i harmonii, a wyrzucał z siebie zgrzyty i drgania konwulsyjne.

Dodawszy do zawiedzionej lubieżności, z której wypełzła histórya, do dziwactwa i przewrotności, sceptycyzm religijny i filozoficzny sfer,[1]) wpośród których Baudelaire wzrósł, rozumie się bardzo dobrze ponury pesymizm „Kwiatów zła.“

Nie tynan, rozżalony na niemoc swoją, na nieudany szturm do bram niebieskich, jak u romantyków, miota się w poezyach nowelach Baudelaire'a, nie człowiek-dusza skarży się, iż mu skrzydła obcięto i skrępowano, lecz warczy, kąsa, przeklina i bluźni wyniszczony lubieżnik, tak zużyty, iż nie czuje w sobie już sił do buntu przeciw pętom, powstrzymującym jego pragnienia. Ztąd w jego pesymizmie, zamiast dumnej, choć bolesnej rezygnacyi, ów szalony gniew, owa dzika złość, plwająca na wszystko, co osładza nieszczęście tej ziemi, ztąd owo rozmyślne

---

[1]) Baudelaire pochodził, jak wykazał Crépet, z ojca i z matki z rodziny chłopskiej, która zawdzięczała „wielkiej rewolucyi“ swoje wyniesienie. Jego ojciec, wychowaniec encyklopedystów, był z rodu pierwszym przodkiem cywilizowanym.

obniżanie wartości życia przez odkrywanie jego strony plugawej. Kobieta?!—To samica niepotrzebna w kościele, stworzona do chłosty. — Miłość?! — Występek, zło, wyuzdanie zmysłowe.— Przyjaźń?! — Kłamstwo, czyhające na śmierć bliźniego.—Przekonanie osobiste? — Pomocnik łotrów, szukających karyery... Nie ma między ludźmi ani śladu cnoty, ani jednego dodatniego rysu. Wszyscy bez wyjątku są nikczemnikami, stroniącymi przed zbrodnią tylko ze strachu, z tchórzowstwa. Wszyscy gonią jedynie za rozpustą zmysłową, lubieżni na wskroś, gorsi od zwierząt.

Baudelaire patrzył na świat i ludzi, jak każdy zresztą umysł oryginalny, przez pryzmat swoich własnych poglądów i upodobań. Przypatrzywszy się uważnie jego obliczu autorskiemu, odnajdujemy w niem wszystkie rysy, z których fantazya ludu splata szatana, bo: lubieżność zwierzęcą, bezgraniczną pychę, bluźnierstwo, dziką złość, zupełny zanik dobroci i szlachetności. Nie ma w pismach Baudelaire'a ani jednego serdecznego tonu, ani jednego słowa przebaczenia.

Autor „Kwiatów zła“ był rzeczywiście upadłym aniołem... zrozpaczonym cywilizacyi nowoczesnej. Wypchnięty z raju religii, idealizmu, wiary w celowość człowieka, zawiedziony w pragnieniach zmysłowych, złamany fizycznie, męczony przez ciągłą troskę o byt powszedni, pozbawiony pieszczoty żony, dziecka— znajdował jedyną ulgę w wybuchach bezsilnego gniewu.

Zdawałoby się, że taki zupełny rozbitek życia nie powinien już odczuwać żadnych tęsknot idealnych. Tymczasem odzywała się czasami w Baudelairze dusza poety, przejęta zgrozą do brudu, w jakim się walała:

Gdy świt białoróżowy w duszę rozpustnika
Wnika wraz z Ideału gryzącem widziadłem,
Działaniem tajemnicy mściwej — w tem upadłem
Odrętwiałem bydlęciu anioł się ocyka.

*

Niedostępnych nieb ducha błękitne przestworze
Przed upadłym, co jeszcze marzyć rwie się, rani,
Otwiera głąb ciągnącą jak paszcza otchłani —
Tak, o bóstwo me drogie, czysty, świetlny tworze!

*

Ponad orgii bezmyślnych dymiącemi szczęty,
Twe rysy mi różowiej, jaśniej, cudniej świecą
I przed mą rozszerzoną wciąż krążą źrenicą.

*

Blask dnia przyćmił świec blaski, lecz obraz twój święty —
Wciąż zwycięski, o duszo ty promieniejąca,
Lśni do nieśmiertelnego upodobnion słońca.

(L'aube spirituelle).

Albo ów „Wzlot“ (*Elevation*)

Ach, ponad stawy, ponad doliny,
Nad góry, lasy, chmury i morza,
Aż po za słońce, za eter siny,
Ze sfer gwiaździstych dalsze przestworza —

*

Bujasz, mój duchu, zwijasz się wkoło,
Jak dobry pływak, gdy fale zoczy.
Bezmierną głębię bruździsz wesoło
Z niewysłowioną męską rozkoszą.

*

Leć niech cię wyższa sfera otoczy,
Oczyść w niej skrzydła, rzuć brudne męty,
I jasny ogień górnych przezroczy
Pij — jako nektar czysty i święty.

*

Ach, ponad nudy, ponad zgryzoty,
Któremi życie jak mgłą się zmąca,
Szczęstny, kto wzbił się śmiałymi loty,
W pogodne kraje światła i słońca;

*

Kto jak skowronek myślą w lazury
Wylata rankiem pełen swobody;
Kto zdoła spojrzeć na życie z góry,
Pojąć szept kwiatu, mowę przyrody.

Upadły anioł przypominał sobie od czasu do czasu swoje boskie pochodzenie, ale działo się to rzadko. Zwykle wołał: „Trzeba być zawsze pijanym. Cała sztuka życia polega na tem,

aby nie czuć straszliwego ciężaru Czasu, który wam ramiona łamie i ku ziemi was tłoczy; upajajcie sie bezustannie. Ale czem? Winem, poezyą, albo cnotą, czem chcecie, byleście się odurzali" (*Pet. Poëm. en prose; „Enivrez vous"*).

Baudelaire odurzał się pesymizmem krańcowym, bezsilnym gniewem, urąganiem nędzy ludzkiej, a czasami — bardzo rzadko — tęsknotą za czystem życiem. Ta zadziwiająca u niego tęsknota, nadchodząca zwykle po dokonanem nadużyciu zmysłowem, jak wyrzut resztek niewypalonego cynizmem sumienia, dopełnia jego sylwetki psychologicznej.

Jako technik artystyczny był Baudelaire niepospolitym rymotwórcą i znakomitym stylistą, dbającym przedewszystkiem o poprawność formy. Ale i na powłoce zewnętrznej jego talentu widać tu i owdzie ślady rozkładu. Sainte-Beuve nazwał jego poezye „kioskiem, albo raczej jurtą dziwacznej architektury" (*un kiosque ou plutôt une yourte d'une architecture bizarre*), a jego przyjaciel i obrońca, Teofil Gauthier, że „język „Kwiatów zła" jest już opleciony chwastami rozkładu i jakby cuchnący" (*marbrée déjà des verdeurs de la décomposition et comme faisandée*).

Baudelaire, w połowie jasny, przezroczysty klasyczny, robi w drugiej połowie wrażenie autora zmanierowanego. Wyrzucał on z siebie dość często jakiś zwrot tak zawiły, lub sztuczny, iż można się jego znaczenia domyślić tylko z poprzedników lub następników. Zwykle staranny w budowie wiersza i zdania, zapominał czasami rozmyślnie o rytmie i składni. Sumienny w wyborze określeń, posługiwał się słowami, omijanemi przez pisarzów wzorowych.

Teofil Gauthier bronił w przedmowie do zbiorowego wydania dzieł Baudelaire'a (w r. 1868) tej „maniery" autora „Kwiatów zła" i wypowiedział przy tej sposobności pierwszy określenie „dekadencya", powołując się na przykład epok dawniejszych.

„Posądzano Baudelaire'a często — mówi Gauthier — o dziwactwo, o oryginalność szukaną i wytworzoną rozmyślnie, przedewszystkiem zaś o manierę... Ale są ludzie zmanierowani naturalnie. Prostota byłaby u nich czystą afektacyą i jakby rodzajem maniery odwrotnej. Chcąc być jasnymi, musieliby długo

szukać i wiele pracować. Zwoje ich mózgu są ułożone w taki sposób, że się idee w nich skręcają w trąbkę zamiast wychodzić prostą linią. Najłatwiej i najprędzej czepiają się ich myśli, zwroty najwięcej skomplikowane i najsubtelniejsze. Widzą oni rzeczy pod szczególnym kątem, który zmienia ich wygląd i perspektywę. Ze wszystkich obrazów czepiają się ich głównie te, które są najdziwaczniejsze, najdalsze od danego przedmiotu. Baudelaire posiadał taki mózg i dlatego tam, gdzie krytyka chciała dostrzedz koniecznie robotę, wysiłek, zaciekłość i paroksyzm z góry powziętego zamiaru, był tylko naturalny wynik jego indywidualności".

„Twórca „Kwiatów zła" upodobał sobie ten rodzaj stylu, który nazywa się niewłaściwie stylem dekadencyi, a który jest w istocie stylem genialnym, złożonym, uczonym, pełnym subtelności i odcieni — sztuką, doprowadzoną do najwyższego stopnia dojrzałości, przepalonej pochyłymi promieniami słońca starzejących się cywilizacyj. Styl ten rozszerzając ciągle granice mowy, czerpie ze wszystkich słowników fachowych, bierze barwy ze wszystkich palet, nuty ze wszystkich instrumentów muzycznych. Usiłuje on wcielić myśl nawet wtedy, gdy się ona nieuchwytną wydaje, odtworzyć najmglistsze i najniewyraźniejsze zarysy formy — oddać subtelne zwierzenia newrozy, wyznania podstarzałej namiętności, przeradzającej się w rozpustę i w dziwaczne halucynacye, blizkie obłędu. Ten styl dekadencyi jest ostatnim wyrazem słowa, zmuszonego wypowiedzieć wszystko, posuniętego aż do ostateczności."

Stając w obronie Baudelaire'a, nie domyślał się prawdopodobnie Gauthier, że streścił znakomicie ujemne strony dekadentyzmu literackiego. „Są ludzie, których zwoje mózgowe układają się w taki sposób, iż się idee w nich w trąbki skręcają, zamiast prostą wychodzić linią". — Najprędzej i najłatwiej czepiają się takich mózgów myśli najwięcej skomplikowane." — „Widzą one rzeczy pod szczególnym kątem, który zmienia ich wygląd i perspektywę".—„Mózgi takie chwytają głównie te obrazy, które są najdziwaczniejsze i najdalsze od danego przedmiotu." — „Styl dekadencyi jest stylem starzejących się cywilizacyj." — „Oddaje on subtelne zwierzenia newrozy, wyznania przestarzałej namiętności, przeradzającej się w rozpustę i w dziwaczne halucynacye, blizkie obłędu."

Nic innego nie twierdzą krytycy dekadentyzmu literackiego, gdy nazywają go podstarzałym rozpustnikiem, przeklinającym ograniczoną możność zmysłów, oszalałym z gniewu na niemoc człowieka.

Co Baudelaire zaznaczył, to rozwinęli jego następcy, których prowadził przez czas dłuższy Paweł Verlaine.

IV.

Paweł Verlaine.—Maurycy Rolliant.—Jan Richepin.

Paryski księgarz, Leon Vanier, wydał p. t. „Les hommes d'aujourd'hui“, blizko trzysta krótkich biografij współczesnych znakomitości francuskich, zaopatrzywszy je karykaturami. W numerze 244 tego oryginalnego czasopisma, widzimy na pierwszej stronicy zielonego dyabła w czerwonej kurtce, dotykającego pazurami prawej ręki strun lutni, w lewej zaś dłoni trzymającego serce, nadziane na gęsie pióro. Na ciele szatana spoczywa duża, zupełnie łysa, podłużna, na samym wierzchu guzem zeszpecona głowa ludzka, robiąca wrażenie nieprzyjemne. Coś złośliwego, nieszlachetnego wygląda z oczu małych, ukrytych pod gęstemi brwiami; o zmysłowości świadczą niezwykle rozwinięte szczęki.

Tym zielonym dyabłem w czerwonej kurtce, z głową starzejącego się fauna, jest Paweł Verlaine, uznany przez dekadentów i symbolistów francuskich za naczelnika.

Paweł Verlaine (ur. w Metz 1844 r. um. 1897 r.). Zawód poety rozpoczął wcześnie, bo wydał już w r. 1865 wiązankę poezyj p. t. „Poèmes Saturniens“. W rok potem, wyszły znane powszechnie „Fêtes galantes“.

Jak wszyscy nowicyusze, uległ i Verlaine zrazu wpływom starszych mistrzów. Zaopatrzony we wzory naczelników t. zw. parnaseizmu (Teofil Gauthier, Teodor de Banville i Leconte de

Lisle), którzy oczyścili wiersz francuski, zaśmiecony przez miernych naśladowców gwiazd romantycznych, dbał i on przedewszystkiem o czystość formy, usuwając treść na plan drugi. Pomiędzy pierwiosnkami jego muzy znajdują się w istocie utwory znakomite pod względem technicznym „La chanson des Ingénues“, „Il Baccio“, „César Borgia“ i in.).

Ale to, co zwolennicy doktryny „sztuka dla sztuki“ nazywają bezwzględną przedmiotowością, było zawsze złudzeniem, człowiek bowiem żywy, myślący i czujący, nie umie się zdobyć na objektywizm automatyczny. Daremnie udawali nawet parnasiści obojętnych, chłodnych (*impassible*), daremnie twierdzili, że chodzi im tylko o muzykę słowa.

Jeżeli nie oświetlenie, to zdradzał wybór przedmiotów ich upodobania, ich indywidualność. I Baudelaire był poniekąd, jako technik artystyczny, parnasistą, bo i on włożył w formę swoich „Kwiatów zła“ dużo starania. A mimo to tryska z jego dzieł podmiotowość strumieniem gorącym.

Tak samo u Verlaine'a. Już w jego pierwszych utworach, pisanych instynktowo, bez świadomości dojrzałego talentu, rysuje się wyraźnie oblicze przedwczesnego zwiędłego lubieżnika.

W cyklu „Ariettes“ Oubliées“ (VII) wiązanki p. t. „Romances sans paroles“ skarży się Verlaine:

O triste, triste était mon âme
A cause, à cause d'une femme.

*

Je ne me suis pas consolé
Bien que mon coeur s'en soit allé.

*

Bien que mon couer, bien que mon âme
Eussent fui loin de cette femme, i t. d.

Miłość jest jedyną treścią wszystkich poezyj Verlaine'a z wyjątkiem „Sagesse“. Wraca ona ciągle, to spodziewając się, to zawodząc, wiecznie nienasycona. A w tej miłości niema nic duchowego. Z pod barwnych i wonnych splotów melodyjnego słowa wyziera pospolita zmysłowość, rozkoszująca się tylko ciałem kochanki. Nie o przyjaciółce życia myślał Verlaine, gdy modlił się w „Serenadzie“ (Poèmes Saturniens) do kobiety:

Comme la voix d'un mort qui chanterait
Du fond de sa fosse,
Maîtresse, entends monter vers ton retrait
Ma voix aigre et fausse.

*

Je chanterai tes yeux d'or et d'onyx
Purs de toutes ombres,
Puis le Léthé de ton sein, puis le Styx
De tes cheveux sombres.

*

Puis je louerai beaucoup, comme il convient
Cette chair bénie
Dont le parfum opulent me revient
Les nuits d'insomnie.

Chair bénie i *parfum opulent* powtarzają się ciągle u Verlaine'a. Jak Baudelaire, jest i on bardzo wrażliwy na wszelkie zapachy.

Miłość zmysłowa zajmuje Verlaine'a bezustannie, niepokojąc go nawet wśród snu. Dla niej tylko żyje, o niej tylko marzy, ale bez wiary młodości. Dwudziestoletni poeta doświadczył już zdrady niewieściej, bo mówi w „Lassitude" (Poèmes Saturniens):

Sois langoureuse, fais ta caresse endormante
Bien egaux tes soupirs et ton regard berceur.

*

Va, l'étreinte jalouse, et le spasme obsésseur
Ne valent pas un long baiser, „même qui mente."

*

Mets ton front sur mon front et ta main dans ma main,
Et fais moi des serments que tu „rompras demain".

Odbierał „pocałunki kłamliwe" i „wiarołomne przysięgi" i dlatego przestał ufać kobiecie. Ten sceptycyzm, podłożony ironią, jest drugim rysem znamiennym pierwszych utworów Verlaine'a.

Co poeta w „Poematach saturnowych" lekko zaznaczył, to wyrzeźbił starannie i pogłębił w „Fêtes galantes".

W jakimś ogrodzie czy parku XVIII stulecia przechadzają się gruchające pary. Młodzi markizowie w pudrowanych peru-

kach, eleganccy *abbé*'owie w czarnych płaszczykach szepcą do drobnych uszek pięknych dam słodkie słówka (*à la promenade*).

Trompeurs exquis et coquettes charmantes,
Coeurs tendres, mais affranchis du serment.

Szepcą słodkie słówka, czułe przysięgi, ciche zaklęcia z zamiarem niedotrzymania ich. Panie słuchają z przyjemnością, ale bez wiary:

L'implacable enfant
Preste et relevant
Ses jupes,
La rose au chapeau,
Conduit son troupeau
De dupes. (Colombine).

Bo dlaczegoż miałyby ufać ładnemu chłopcu, kiedy miłość nie trwa dłużej od pragnienia?

W „Colloque sentimental" (Fêtes galantes), pyta „on":

— Czy przypominasz sobie nasz dawny zachwyt?

A „ona" mówi wymijająco:

— W jakim celu życzysz sobie, abym pamiętała?

On bada znów: Czy serce twoje bije jeszcze, gdy usłyszysz moje nazwisko?

— Nie! — odpowiada kochanka krótko.

Po „Fêtes galantes" nastąpiła „Dobra Pieśń", która złagodziła nieco sceptyczną zmysłowość pierwszych utworów Verlaine'a. Zwiędłą erotykę zblazowanego młodzieńca odświeżyła w „La bonne chanson" (1870 r.) jakaś nowa, szlachetniejsza miłość:

C'en est fait à présent des funèstes pensées,
C'en est fait des mauvais rêves, ah! c'en est fait
Surtout de l'ironie et des lévres pincées
Et des mots ou l'esprit sans l'âme triomphait.

*

Arrière aussi les poings crispés et la colère
A propos des méchants et de sots recontrés
Arrière la rancune abominable! arrière
L'oubli qu'on cherche eu des breuvages execrés

wołał Verlaine na wstępie „Dobrej Pieśni" (La bonne chanson, I).

Zapomnieć postanowił o pesymizmach i cynizmach, o niewczesnych gniewach i zaciśniętych pięściach, uczuł potrzebę śpiewu czystego (*des airs ingenus*), któryby nikogo nie drażnił, nie gorszył; chciał być szczęśliwym, nie troszcząc się o głupstwo i złość ludzi.

N'est ce pas? En dépit des sots et des méchants
Qui ne manqueront pas d'envier notre joie
Nous serons fiers parfois et toujours indulgents.

*

N'est ce pas? Nous irons, gais et lents, dans la voie
Modeste que nous montre en souriant l'Espoir,
Peu soucieux qu'on nous ignore ou qu'on nous voie.

(L. b. ch. VI).

Jakieś wielkie szczęście rozjaśniło duszę poety, wydobywając ze strun jego lutni tony serdeczne. W owym to czasie powstało kilka przepięknych perełek lirycznych, na które dekadenci z dumą wskazują. W utworach, rozpoczynających się od słów: *Avant que tu ne t'en ailles* (L. b. ch. II) i *La lune blanche* (L. b. ch. III) dowiódł Verlaine, że i słowo może być muzyką.

La lune blanche
Luit dans les bois;
De chaque branche
Part une voix
Sous la ramée....
O bien aimée,

*

L'étang reflète,
Profond miroir.
La silhouette
Du saul noir
Ou le vent pleure...
Rêvons: c'est l'heure.

*

Un vaste et tendre
Apaisement
Semble descendre
Du firmament
Que l'astre irise...
C'est l'heuer exquise.

Tak melodyjnych i wonnych piosenek nie spodziewał się nikt od autora „Poematów saturnowych".

Ale ten optymizm, wywołany przez prawdziwą miłość, trwał niedługo. Już w „Romansach bez słów" (Romances sans paroles" 1874 r.) skarży się znów poeta na zawód. Po szczęściu zostało mu tylko bolesne wspomnienie — ciche łzy, przepełniające jego serce.

Il pleure dans mon coeur
Comme il pleut sur la ville,
Quelle est cette langueur
Qui pénètre mon coeur?

O bruit doux de la pluie
Par terre et sur les toits!
Pour un coeur qui s'ennuie
O le chant de la pluie,

*

Il pleure sans raison
Dans ce coeur qui s'écoeure,
Quoi! nulle trahison?
Ce deuil est sans raison.

*

C'est bien la pire peine
De ne savoir pourquoi
Sans amour et sans haine
Mon coeur a tant de peine.

(Rom. s. par. III).

I ta rzewna skarga należy do najśpiewniejszych zwrotek poezyi francuskiej.

Po „Romansach bez słów“ stała się rzecz dziwna. Naprzód sceptyczny lubieżnik, potem optymista szczęśliwy, w końcu rozczarowany pesymista, a zawsze erotyk, nietroszczący się wcale o inne uczucia i tęsknoty człowieka, odezwał się Verlaine nagle jak mistyk średniowieczny.

Na czele wiązanki p. t. „La Sagesse“ czytamy następujące wyznanie: Autor tej książki nie myślał zawsze tak, jak dziś. Błądził on długo w zepsuciu współczesnem, mając w niem udział grzechu i nieświadomości. Troski zanadto zasłużone nawróciły go, od tego czasu i Bóg pozwolił mu w łasce swojej zrozumieć znaczenie tego nawrócenia. Więc ukorzył się przed Ołtarzem, długo zapomnianym i uwielbia Wszechdobroć i wzywa Wszechpotęgi — posłuszny syn Kościoła, ostatni pod względem zasług, ale pełen dobrej woli. Poczucie jego słabości i wspomnienia jego upadków były mu przewodnikami przy pracy nad tem dziełem, które jest jego pierwszym aktem publicznego wyznania wiary po długiem milczeniu literackiem. Autor mniema, iż w tej książce nie znajduje się nic sprzeciwiającego się uczuciu miłości, jakie on, odtąd chrześcijanin, winien grzesznikom, których nienawistne obyczaje kiedyś praktykował... Autor bardzo młodym będąc, temu lat dziesięć, dwanaście, ogłosił wiersze sceptyczne i smutno lekkomyślne (*des vers sceptiques et tristement légers*). Ośmiela się on żywić nadzieję, że w tej wiązance żaden rozdźwięk nie będzie raził delikatnego ucha katolika: byłaby to jego najdroższa sława, jak jest najdumniejszą nadzieją“.

I w istocie... Czytelnik drugiej połowy XIX stulecia odwykły zupełnie od poezyi religijnej, od mistycznych wzlotów duszy, nie wie, co sądzić o „Mądrości“ (La Sagesse) Verlaine'a, znajduje w niej bowiem nietylko pokorę skruszonego grzeszni-

ka, błagającego Boga o zmiłowanie, nietylko chrześcijanina, czyniącego Stwórcy ofiarę ze swoich cierpień. lecz wprost najwierniejszego, najgorliwszego katolika.

O, mon Dieu, vous m'avez blessé d'amour
Et la blessure est encore vibrante,
O, mon Dieu, vous m'avez blessé d'amour

*

O, mon Dieu, votre crainte m'a frappé
Et la brûlure est encore lá qui tonne,
O, mon Dieu, votre craintre m'a frappé

*

O mon Dieu, j'ai connu que tout est vil
Et votre gloire en moi s'est installée,
O, mon Dieu, j'ai connu que tout est vil.

*

Noyez mon âme aux flots de votre Vin
Fondez ma vie au Pain de votre Table,
Noyez mon âme aux flouts de votre Vin.

(*Sag. II; I*).

Albo:

Je ne veux plus aimer que ma mére Marie,
Tous les autres amours sont de commandement,
Nécessaires qu'ils sont, ma mère seulement,
Pourra les allumer aux coeurs qui l'ont chérie.

*

C'est pour Elle qu'il faut chérir ses ennemis,
C'est par elle que j'ai voué ce sacrifice,
Et la douceur de coeur et le zéle de service,
Comme je la priais, Elle les a permis.

*

Marie Immnculée amour essentiel,
Logique de la foi cordiale et vivace,
En vous aimant qu'estil de bon que je ne fasse.
En vous aimant du seul amour, Porte du Ciel?

Mistyk, oderwany zupełnie od ziemi, nie mógłby wierzyć i modlić się inaczej.

Po takim zwrocie ku niebu należało się spodziewać, że Verlaine porzuci na zawsze zmysłowość swoich lat wiosennych. Tymczasem... nowa niespodzianka.

W kilka lat po „Sagesse“ (w r. 1888) wydał poeta tomik

p. t. „Parallèlement“ przewyższający lubieżnością wszystko, co napisał dawniej, w owych „sceptycznych i smutno lekkomyślnych wierszach.“ Są w „Parallèlement“ dwa utwory, które wywołują rumieniec nawet na czołach bezwstydnych. Lubieżna erotyka, postarzawszy się przedzierzgnęła się w chorobliwą erotomanię. Tylko zniedołężniały rozpustnik lubuje się z taką bezwzględnością wdziękami cielesnymi kobiety, jak to uczynił Verlaine w „Auburn“ i w „Fille“.

Zestawiwszy te dwie pornografie z zachwytem dla „Niepokalanej Maryi“, nie wiadomo zrazu, jak sobie tę szczególną ewolucyę wytłumaczyć. Gdyby „Sagesse“ była nastąpiła po „Parallèlement“ jako wyznanie i modlitwa nawróconego grzesznika, możnaby uwierzyć w szczerość mistycyzmu poety. Zdarza się dość często, że sybaryta, znużony brudem nadmiernego używania, zanurza się z przyjemnością w oczyszczającym zdroju religii. Ale „Sagesse“ przed „Parallèlement“ jest potwornością psychologiczną, należącą do historyi obłędów ludzkich.

Verlaine usiłował sam tę łamigłówkę rozwiązać. Napisał on kilka sylwetek literackich pod dziwnym tytułem „Przeklęci poeci“ („Les poëtes maudits“). Ostatnią z nich poświęcił sobie, nazwawszy się „Pauvre Lelian“.

Ten „biedny Lelian“ filozofuje między innymi w sposób następujący:[1]) „Wierzę i grzeszę myślą i czynem; wierzę i żałuję myślą, czekając na zwrot lepszy. Albo też: wierzę i jestem dobrym chrześcijaninem w tej chwili; wierzę i jestem złym chrześcijaninem zaraz potem. Przypomnienie, nadzieja, wzywanie grzechu zachwycają mnie z wyrzutami sumienia, albo bez nich, częstokroć nawet pod postacią i ze wszystkimi skutkami grzechu... Ten zachwyt mnie, wam, jemu, pisarzom, podoba się przelać na papier i ogłosić gorzej albo lepiej wydany; wcielamy go w formę literacką, zapominając o wszystkich ideałach religijnych, lub uwzględniając wszystkie. Czy można nas potępiać z dobrą wiarą jako poetów? Bynajmniej! Czy sumienie katolickie rezonuje tak lub owak, obchodzi nas niewiele... A teraz, czy wiersze katolickie biednego Leliana zgadzają się z jego innymi utworami? Oczywiście, że tak. Ton nie zmienia się w obudwu wypadkach, tu poważny i prosty, tam kwiecisty, znużony, zdenerwowany i szyderski, ale wszędzie ten sam, jak człowiek mi-

[1]) Paweł Verlaine, „Les poètes maudits“, Paryż 1888, str. 98—99.

styczny i zmysłowy zostaje zawsze człowiekiem intelektualnym w różnych przejawach tej samej myśli, która ma swe wyżyny i niziny".

Znaczy to, przełożone na język zrozumiały: Bywam czasami religijnym, a czasami lubieżnym, co zależy od usposobienia danej chwili i nie myślę się nigdy krępować. Gdy mi się zachce podrażnień zmysłowych, wówczas przypominam sobie grzech, rozkoszuję się nim, grzebię się w brudzie, odtwarzam pornograficzną stronę życia, zmęczywszy się zaś rozpustą myśli i czynu, rzucam się na stopnie ołtarza—modlę się gorąco, bo mi wyrzuty sumienia sprawiają nową przyjemność.

Mistycyzm więc Verlaine'a jest po prostu odmienną formą rozpusty, rodzajem sztucznego upojenia, rozkoszą chorą, znaną tylko czasom upadku moralno-umysłowego.

Ludzie zdrowi rozumują inaczej. Wierzę — mówią oni—wykonywam ściśle przepisy mojego wyznania, albo nie wierzę i robię, co mi się podoba. Ponieważ chrześcijaństwo potępia służbę ciała, przeto, jeżeli chcę być chrześcijaninem, powinienem się starać ujarzmić popędy zmysłowe, okiełznać zwierzę, stłumić jego potrzeby do minimum. Dążąc do takiego celu, byłbym niemądrym, gdybym się rozmyślnie drażnił, podbudzał, przypominając sobie powabną stronę grzechu. Jako człowiekowi uczciwemu, nie wolno mi nadto gorszyć bliźnich obrazami lubieżnymi.

Karol Morice, broniąc „Parallèlement" przed zarzutem niemoralności, mówi [1]): „Niemoralnością istotną, nieprzebaczoną i jedyną jest smutek, zniechęcenie do życia. Tylko te książki są bezwstydne i niemoralne, które obrzydzają czytelnikowi chęć do wyzyskania władz umysłowych i fizycznych. Złem są: nędza, smutek, choroba i śmierć. Wszystko, co tchnie życiem, co pobudza w nas pragnienie życia, potrzebę rozszerzania się, jest zdrowe, więc moralne."

Postępując dalej śladem argumentacyi Morice'a, teoretyka dekadentów-symbolistów, doszłoby się do wniosków, którymby przyklasnęły wszystkie śmiecie ludzkości. Bo znaczna część kradzieży, zbrodni, podłości i zabójstw wypływa ze źródła życia, z walki o byt. I rozpustnik nie wyniszczałby się przedwcześnie,

---

[1]) Karol Morice, „Verlaine", Paryż 1886, str. 86.

gdyby nie wierzył, że uciechy zmysłowe są naturalną potrzebą jego organizmu.

Ani kazuistyka Verlaine'a, ani obrona Morice'a nie wytrzymują krytyki zdrowego rozsądku. Wiernemu chrześcijaninowi niewolno napisać takiego „Parallèlement", lubieżnik zaś, który między jedną pornografią a drugą składa nabożnie ręce, wznosi oczy w zachycie mistycznym do nieba, modląc się do „Niepokalanej Panny", jest albo obłudnikiem, albo chorym neuropatą. Połączenie mistycyzmu i zmysłowości było zawsze świadectwem rozkładania się jakiejś zużytej formy cywilizacyi.

„Parallèlement" nie było owocem chwilowego obłędu, Verlaine bowiem zapowiedział przez usta „biednego Leliana", że wybryki zmysłowe pójdą u niego i w dalszym ciągu „równolegle" z wybuchami mistycznymi. Co ręka prawa zbuduje, to rozerwie lewa...

Ponieważ o rozmyślną obłudę trudno posądzać poetę, który zdobywa się często na dźwięki szczere, natchnione, przeto należy zaliczyć Verlaine'a do umysłów chorych. Bardzo słusznie nazwał się on sam dekadentem. Jego dwulicowość jest skutkiem starganej przez newrozę woli, niezdolnej zapanować nad zachciankami zwierzęcia, niepokojącego każdego człowieka.

Podług Verlaine'a jest miłość zmysłowa taką potęgą, iż nie przemoże jej nawet wrodzona i wychowaniem wzmocniona cnota. W jednej z jego nowel, napisanych prozą, w „Louise Leclercq", opuszcza dobra, uczciwa, rozumna, czysta dziewczyna bez namysłu ukochanych rodziców z chwilą, gdy się w niej drzemiący dotąd instynkt płciowy ocknął. Bez żalu, bez słowa pożegnania, bez najmniejszego wyrzutu, ucieka Ludwika z domu i oddaje się cała gołowąsemu młodzieniaszkowi, który ją oczarował urodą. Dopiero, kiedy ugasiła pragnienie rozkoszą, wtedy przypomniała sobie ojca i matkę, domyśliwszy się ich smutku po utracie jedynaczki. Starego Leclerq'a zabił wstyd, a żonę jego złamała rozpacz. Ale to drobnostka! Jest przecież religia, która maże winy grzesznika.

Ludwika, wróciwszy z występnej podróży do Paryża, udała się nasamprzód do kościoła. Tu padła na twarz przed wizerunkiem Zbawiciela, a pomodliwszy się gorąco i wyspowiadawszy się szczerze, poszła do domu krokiem pewnym. Wiadomość o śmierci ojca przyjęła z chłodną rezygnacyą, do konającej zaś matki przemówiła następnie: „Mamo! Wróciłam do domu na za-

wsze i uspokój się; wszystko pójdzie jak najlepiej. Módlmy się za ojca i za twoje zdrowie. Bóg będzie dla nas dobry". Kiedy we dwa miesiące potem śmierć uwolniła panią Leclercq od cierpień moralnych i fizycznych Ludwika wyszła natychmiast za swojego Leona. Czekała tylko na spadek i swobodę. A Verlaine kończy tę powiastkę pochwałą dla Ludwiki: „Ona — mówi — jest dobrą chrześcijanką, wyborną matką, kochającą żoną, dzielną kobietą, słowem jedną na tysiąc".

Więc dobremi chrześcijankami i wzorowemi niewiastami są niewdzięczne córki i aż do okrucieństwa zmysłowe samice? Więc namiętność usuwa wszystkie obowiązki i lepsze uczucia na stronę, tak silna, iż jej nie łamie nic prócz zadowolenia. Więc wystarcza pomodlić się, wysłuchać nabożnie mszy i wyspowiadać się, aby żyć szczęśliwie, bez wyrzutów sumienia na świeżym grobie rodziców i zasłużyć jeszcze na uznanie ludzi?

W żadnym utworze nie zarysowała się przewrotność Verlaine'a tak wyraźnie, jak w tej powiastce. Tylko człowiek chory, który stracił zupełnie poczucie tego, co godziwe a co niegodziwe, może w taki sposób rozumować. I umysły zdrowe znają bardzo dobrze potęgę instynktów, ale starają się niemi owładnąć, ukrócić ich pożądliwość. W epokach szczęśliwych panuje obowiązek nad zmysłowością.

Jak Baudelaire, wcielał i Verlaine praktycznie swoje apetyty. Jego biografowie potrącają dyskretnie o karę więzienia, na którą go sądy skazały za występek przeciw moralności. Sam poeta nie wstydzi się wcale tej sromotnej pokuty, mówi bowiem o niej w poemacie, poświęconym Edmundowi Lepelletier („Ecrit en 1875", cykl „Amour.")

J'ai naguère habitè le meilleur des chateaux
Dans le plus fin pays d'eau vive et de coteaux:
Quatre tours s'élevaient sur le front d'autant d'ailes,
Et j'ai longtemps, longtemps habité l'une d'elles.

Jako technik artystyczny, kładzie Verlaine główny nacisk na melodyjność wiersza. W utworze dedykowanym Karolowi Morice'owi p.t. „Art poétique" zaleca przedewszystkiem muzykę)

De la musique avant toute chose
Et pour cela préfère l'Impair
Plus vague et plus soluble dans l'air,
Sans rien en lui qui pèse on qui pose.

Staraj się przedewszystkiem o muzykę słowa—uczy—choćby nawet kosztem rytmu i sensu. A dalej:

Il faut aussi que tu n'ailles point
Choisir tes mots sans quelque meprise:
Rien de plus cher que la chanson grise
Ou l'Indècis au Précis se joint.

*

C'est des beaux yeux derrière des voiles
C'est le grand jour tremblant de midi
C'est par un ciel d'automne attiédi,
Le bleu fouillis des claires étoiles!

*

Car nous voulons la Nuance encore,
Pas la couleur, rien que la nuance!
Oh! la nuance seule fince
Le rêve aa rêve et la flûte au cor!

Omijaj barwy jaskrawe, silne, a szukaj zawsze półtonów; łagódź, o ile się da, wszelką wyrazistość. Piękne oczy są wtedy piękne, gdy patrzą przez woalkę; jasny dzień goreje najwięcej w południe, kiedy jego blask tłumi morze drżącego światła; uroczo świecą gwiazdy na ciepłem niebie jesiennem. Niech się kontury i barwy zlewają, bo tylko odcienie mają wartość dla poety.

De la musique encore et toujours!

powtarza Verlaine.

Recepcie tej zawdzięcza poezya francuska w istocie kilka pieśni tak dźwięcznych, iż proszą się o wtór muzyczny. „Chanson d'automne", „Le Rossignol", „Je devine à travers un murmure..." „Il pleure dans mon coeur..." „Avant que tu ne t'enailles..." „La lune blanche..." zostaną niepożytem świadectwem muzykalnego ucha Verlaine'a.

Ale pogoń za dźwięcznością wprowadziła już Verlaine'a tu i owdzie na manowce monotonii. Gdy poeta chce odtworzyć jednostajność ruchu, wówczas powtarza ten sam wyraz kilka razy. Np. w „Chevaux de bois":

Tournez, tournez, bons chevaux debois
Tournez, cent tours, tournez mille tour,

Tournez, souvent et tournez toujours,
Tournez, tournez au son des hautbois.

Albo „Pierrot gamins“:

Ce n'est pas Pierrot en herbe,
Non plus que Pierrot en gerbe,
C'est Pierrot, Pierrot, Pierrot.
Pierrot gamin, Pierrot gosse,
Le cerneau hors de la cosse,
C'est Pierrot, Pierrot, Pierrot.

Nie o treść szło tu autorowi, lecz jedynie o zestawienie równobrzmiących dźwięków, do czego skłonność objawił już w pierwszych swoich utworach. „Soleils couchants“ i „Crépucisule du soir mystique“ Verlaine'a należą do cyklu „Poezyj saturnowych“.

Une aube affaiblie
Verse par les champs
La mélancolie
Des soleils couchants
La mélancolie
Berce de doux chants
Mon coeur qui s'oublie
Aux soleils couchants.

Et d'étranges rêves,
Comme des soleils
Couchants sur les grèves,
Fantômes vermeils,
Défilent sans tréves,
Défilent, pareils
A des grands soleils
Couchant sur les grêves.

(*Soleils coubhants*).

Powracające ciągle te same zgłoski: *chants*, *champs*, *lie*, *eils*, *ėves*, mają wytwarzać wrażenie senności gasnacego dnia. Gdy się kaprys Verlaine'a rozwinął w zasadę, w formułkę techniczną, wówczas wydał takie dziwactwa, jak Maeterlincka „Cieplarnię“ i Rimbaud'a „Teoryę barwności słowa“.

Dość często też lekceważy już Verlaine w prozie składnię i posługuje się sztucznymi zwrotami.

Płodnym i pracowitym Verlaine nie był. Oprócz poezyj, które zmieściły się wszystkie w jednym tomie, wydał on w przeciągu lat dwudziestu dwie chude wiązanki nowel („Louise Leclercq“, „Les mémoires d'un veuf“), kilka odręcznie napisanych sylwetek literackich („Les poètes maudits“), dwadzieścia króciutkich biografij (Les hommes d'aujourd'hui“) i dwie bardzo słabe jednoaktówki („Les uns et les autres“, „Madame Aubin). Cały jego dorobek autorski nie przekracza ram dwóch zwykłych tomów Charpentier'a lub Lemerre'a [1]).

I umysłu rozległego nie posiadał Verlaine. Wyrwał on z czarnych skrzydeł Baudelaire'a tylko dwa pióra, mianowicie: chorobliwą zmysłowość i równie niezdrowy mistycyzm, który rozwinął i pogłębił. Resztę spuścizny po „wielkim przodku“ (*magnus parens*), jak twórcę „Kwiatów zła“ Jarosław Vrchlicky nazwał, rozebrali inni współcześni poeci francuscy.

Maurycy Rollinat upodobał sobie najbrzydszy z pomiędzy cuchnących kwiatów Baudelaire'a. Zapełnił on prawie cały tom stronnic 390) obrazami: halucynacyj, chorobliwych przywidzeń, nerwowych strachów, zbrodniczych zachcianek, suchot, szkieletów, gnijących trupów i t. p. przysmaków podniebień dekadenckich. Jego „Les Névroses,“ wydane po raz pierwszy w r. 1883, miały przez pewien czas takie samo powodzenie, jak Baudelaire'a „Les fleurs du mal“. Najjaskrawsze utwory tej wiązanki deklamowała Sara Bernhardt.

Już samo *motto*, położone na karcie tytułowej książki [2]), uprzedza czytelnika o jej zawartości „Putredini dixi:“ „Pater meus es;“ „Mater mea et soror mea, vermibus“ — powtórzył Rollinat za Jobem [3]). Nagłówek ten rozwinął w wierszu wstępnym p. t. „Pamiętaj, iż z prochu pochodzisz“ („Memento quia pulvis es“).

— Udajesz mocarza i kłócisz się z wiecznością, marny robaku! Jesteś niczem, źdźbłem przemijającem. Rozkosz twoja cierpi, skrzydło ducha twojego zwija się ciągle. Drobną trawką jesteś na brzegu przepaści — przed śmiercią.

---

[1]) Cytując poezye Verlaine'a, posługiwałem się najnowszem wydaniem Charpentier'a p. t. „Choix de poésies“; 1893 r. (*Przyp. Aut.*)

[2]) Maurycy Rollinat, „Les Névroses“, wydanie ostatnie Charpentier'a, z r. 1892.

[3]) Job, rozdz. XVI1; w. 14. „Do dołu rzekę: ojcem moim jesteś! A do robaków: wy jesteście matką moją i siostrą moją.“

A w chwili śmierci?

— Gdy umierasz, twoja ręka zimna i posiniała skubie kołdrę bez możności obrony. Obejmują cię tajemnicze ramiona, których nie widzisz, a w sercu twojem syczy poprzez mroki konania wyrzut sumienia, jak gadzina żałobna?

Tak wyglądasz w chwili zgonu. A po śmierci?

— Kiedy cię włożyli do grobu, wówczas rzuca się na ciebie robactwo, które cię pożera. Jakiś czas będą cię ludzie wspominali, ale wkrótce rozpłyniesz się w ciemnościach niepamięci.

Po tak „słodkiej“ przemowie, nie pominął Rollinat w dalszym ciągu ani jednej okropności nędzy ludzkiej. Jego „Les Névroses“ rozpadają się na pięć części „(Les âmes“ „Les luxures“ — „Les réfuges“ — „Les spectres“ — „Les ténèbres“), z których każda usiłuje z innej strony obrzydzić człowiekowi życie.

Zaraz z pierwszego poematu cyklu p. t. „Les âmes“, z „Le fantôme du crime“ dowiadujemy się, że „człowiek jest przewrotny, albo niebo okrutne“.

L'homme est donc bien pervers, ou le ciel bien féroce!
Pourquoi l'instinct du mal est-il si fort en nous.
Que notre volonté subit son joug atroce
A l'heure ou la prière écorche nos genoux?..

Człowiek jest przewrotny, albo niebo okrutne, bo poetę nachodzą od czasu do czasu szczególne zachcianki. Złe myśli niepokoją jego duszę wszędzie, o każdej porze, nawet wśród pracy. Daremnie broni się Rollinat przeciw ich podszeptom, przywołując na pomoc wszystko, co ludzie wymyślili w celu pokonania nieprawości... Czy chce, czy nie chce, słyszy on w sercu swojem nuty piekielne, poddawane przez szatana.

Mon crâne est un cachot plein d'horribles bouffées
Le fantôme du crime à travers ma raison,
Y rôde, penétrant comme un regard de fées.
Faut-il que ma vertu s'abreuve de poison!
Mon crâne est un cachot plein d'horribles bouffées.

W tym biednym mózgu poety, opętanym przez widmo zbrodni, przebiegają błyskawicą: morderstwo, gwałt, kradzież, ojcobójstwo.

Le meurtre, le viol, le vol, le parricide
Passent dans mon esprit comme un farouche éclair,
Et quoique pour le Bien toujours je me décide,
Je frémis en voyant ramper dans mon enfer
Le meurtre, le viol et le vol parricide.

Nic nie pomaga, że Rollinat nienawidzi brudu i zła, że czuje wstręt do wszelkiej podłości. Widmo zbrodni ściga go ciągle, zatruwa mu dzień, przeraża go nocą. Wróg zabójców, chciałby zabijać — surowy sędzia gwałtu, chciałby gwałcić, kraść, oszukiwać, krzywoprzysięgać i t. d.

Wygłaszając takie paradoksy, nie miał Rollinat na myśli urodzonego zbrodniarza, lecz człowieka w ogóle. Każda nasza zachcianka jest podłością, każde słowo kłamstwem ("La parole").

Chore nerwy poety odezwały się najwyraźniej w dwóch ostatnich cyklach, w „Les spectres" i „Les Ténébres". Widzi on o północy przy fortepianie kobietę nagą, umierającą, a obok niej trumnę otwartą („L'amante macabre"), — opiewa wdzięki dziewczyny, podobnej do kościotrupa („Mademoiselle Squelette"), — zachwyca się trupem zabalsamowanym („La morte embaumée), — gdy pracuje w bibliotece, zdaje się mu, że fotele wyciągają do niego ramiona („La bibliothèque"), kocha się w mieszkaniu ponurem, w którem „meble, obrazy, kwiaty nawet zieją piekłem i truciznę" („La chambre"), — lituje się szczerze nad pijaczką („La Buveuse d'absinthe), — opisuje pozorną śmierć i pogrzeb człowieka, znieczulonego przez letarg (L'enterré vif"), — odtwarza szczegółowo rozgłośną swojego czasu zbrodnię Tropmana („Le soliloque de Troppmann"), uwielbia dzień deszczowy („La pluie), — widok brzytwy budzi w nim pragnienie krwi („Le rasoir"), — zachciewa się mu romansu z manekinem woskowym („La dame en cire") i t. d. Niewytłumaczone niczem trwogi, niepokojące przeczucia, dziwaczne upodobania, nikczemne myśli i apetyty znalazły w Rollinat'cie cierpliwego obserwatora i utalentowanego malarza.

Nicość życia wraca u niego ciągle. Spłowiała już skarga na nędzę człowieka otwiera „Ciemności" („Les Ténèbres").

L'homme est un forfadet qui tombe dans la mort
Grand puits toujours béant sans corde ni margelle
Et dont l'eau taciturne éternellement dort
Sous l'horreur qui la plombe et l'oubli qui la gèle.

*

L'éspoir? Dévision! L'Amour? un essai
La gloire? Triste fleur morte en crevant la terre!
L'illusion se heurte à la réalité
En notre certitude équivant au mystère.

*

Nous passons fugitifs comme un flot sur la mer,
Nous sortons du néant pour y tomber encore,
Et l'infini nous lorgne avec un rire amer
En songeant au fini que sans cesse il dévore.

(*Le gouffre*).

I znów wraca Rollinat po tej ogranej zwrotce do: trupów zgnilizny, pogrzebów, do halucynacyj i różnych innych zjawisk newrozy. Słowa: *bière*, *cerceuil*, *pourriture*, *putréfaction*, *mort*, *fosse*, *tombeau*, *ulcères chanereux*, *décomposition*, *cadavre*, *suaire*, *poison*, *assasinat*, *horrible*, *affreux* i t. p. powtarzają się u niego ciągle. Jest w „Les Tènèbres" kilka utworów, które działają, jak emetyk („La putréfaction", „La bière").

Skrajny pesymista powinienby się odwrócić ze wstrętem od rozkoszy zmysłowych. Tymczasem nie ustępuje Rollinat pod względem lubieżności bynajmniej Verlaine'owi. Poświęcił on całą drugą część „Newrozy" („Les Luxures") miłości wyuzdanej. Nawet szelest sukni niewieściej drażni go i roznamiętnia („Les robes). Jego: („La belle fromagère", „La chair", „Vierge damnée", „Les seins", „La Bête" i in. należą do tej samej rodziny, co „Fille" i „Auburn" Verlaine'a.

Skąd się po tych wszystkich „dreszczach", trwogach, halucynacyach, widmach zbrodni, zachwytach nad gnijącemi trupami i t. d. wziął wiersz, zamykający książkę—na to odpowiedzą chyba tylko psychiatrowie. Bo oto, jak Rollinat kończy swoją „Newrozę":

Mon Dieu! dans ses rages infimes,
Dans ses tourments, dans ses repos,
Dans ses peurs, dans ses pantomimes,
L'âme vous hèle à tout propos
Du plus profond de ses abîmes!

*

Quant la souffrance avec ses limes
Corrode mon coeur et mes os,
Malgré moi, je crie a vos cimes:
Mon Dieu.

*

Aux coupables trainant leurs crimes.
Aux résignés pleurant leurs maux
Arrivent toujours ces deux mots,
Soupir parlé des deuils intimes,
Vieux refrain des vieiles victimes:
Mon Dieu!

De profundis! nazwał Rollinat ten niespodziewany epilog. Być może, iż i on pójdzie jeszcze kiedyś śladami Verlaine'a i nastroi lutnię do mistycznego hymnu. Wprawdzie modlił się raz w „Newrozie“ do szatana („La dame en cire“), ale tylko o... damę z wosku. Bluźnierstwo odziedziczył po Baudelairze inny śpiewak współczesnego parnasu. Jan Richepin to postanowił zadziwić świat bezwzględnym ateizmem, przeraziwszy ludzi brudem i podłością nędzy („Chanson des gueux“).

Głupcami są, podług Richepin'a („Les Blaphèmes“; przedmowa), wierni i niewierni, nabożni i oświeceni, wyznawcy istniejących religij, deiści, wolnomyśliciele, pozytywiści, materyaliści, sceptycy, szczerzy i obłudni, uczeni i ciemni.

Cóż skłoniło poetę do takiego pesymizmu? „Oto ma się znów jedno stulecie ku zachodowi i znów zstępuje stary ród ludzki w dolinę, nie widząc kresu swojej drogi... dni wydają się mu długie, chociaż istnienie jego jest krótkie... Bo te dni są puste... Wiemyż, dokąd idziemy?“ („Prologue“).

Powtórzywszy znane skargi na niemoc rozumu i nicość wiedzy, zabrał się Richepin bardzo systematycznie do czytelnika. Zanim mu zohydził bogów, obrzydził mu nasamprzód życie („La vie“). „Nie, nie mówicie mi o wiośnie, o życiu... mówicie mi raczej o zimie, o śmierci...“

Non, nè me parlez pas du printemps, de la vie
Qui sourd, jaillit, déborde, et vomit son orgueil!
Parlez-moi de l'hiver calme, qui vous convie
A rester immobile ainsi qu'en un cercueil.

Bo cóż to jest życie?„ Zawsze ten sam zachód i wschód słońca, te same pory roku, narodziny, śmierć i t. d. Jest ono pijaną ladacznicą, która wyje i toczy się w nieskończoność, nie wiedząc jak i dlaczego.“

La vie est une..... soûle
Qui dans l'infini hurle et roule
Sans savoir comment, ni pourquoi.

Bredzicie o świętości rodziny, ogniska domowego! Śliczna mi świętość! Posłuchajcie, co mówią o tych ideałach ludzkości („Les pères et méres“) [1]).

Chwalicie lata dziecinne, młodzieńcze! Ładna epoka w której zamęczają dziecko lekcyami i nudą („Le bon temps“).

Zachwycacie się łzą, nazywając ją najsłodszym z likierów, dyamentem serca i t. p. Drwijcie z tych obrazów poetyckich. Trochę wody, soli, fosfatu wapiennego... oto łza („Analyse).

Rozkoszujecie się t. zw. czystą miłością! Czysta miłość! Śmiejcie się z tego („Amours purs“).

Wskazujecie z dumą na wiedzę, spodziewając się od niej odpowiedzi na pytania, które was niepokoją. Kiedyż to nastąpi? Nie łudźcie się („Savoir“).

Pniecie się coraz wyżej w górę! Na co? Daremnie szturmujemy do nieba. W miarę, jak się do niego zbliżamy, ucieka ono przed nami, a my spadamy zawsze na dół, zmęczeni, pokonani („La tour de Babel“).

Przeszedłszy kolejno wszystkie rozkosze, złudzenia i ambicye człowieka w szeregu sonetów, które nazwał „gorzkimi“ („Sonnets amèrs“), Richepin zamknął swoją jeremiadę zapytaniem („Alors?“) i pocieszającą odpowiedzią („Reprise d'espoir“).

Si les doux souvenirs d'enfance, si les larmes
Exquises de l'amour, si l'orgueil du devoir,
Si le désir furtif de voler le savoir,
Si l'âpre volupté de la lutte et des armes i t. d.

jeżeli wszystko, a wszystko zawodzi, nuży, jeżeli nawet nicość nie potrafi nas pocieszyć, cóż w takim razie uczynić? Czy targnąć się na życie? („Alors?).

---

[1]) Richepin'a nie można zawsze powtórzyć. Nie przebiera on ani w wyrażeniach, ani w obrazach.

(*Przyp aut.*).

Non, non, cela n'est pas possible, je vous, dis!
Je ne me sens pas fait pour la plainte éternelle.
Car le soleil est bon réjouit ma prunelle,
Sourit dans le matin flambe dans les midis;

*

Car l'amour plane encor par les cieux attiédis;
Car la terre est joyeuse et douce et maternelle;
Car je suis son enfant, j'ai foi, j'espére en elle,
Je veux dans son giron trouver mon paradis.

Nie trzeba umierać, bo słońce, miłość, życie doczesne sprawiają przyjemność, są dobrem. To bogowie zatruli ludziom każdą rozkosz. Ich należy usunąć, zniszczyć raz na zawsze („Reprise d'éspoir“).

Po takim wstępie przystąpił Richepin do samego tematu, do bluźnierstwa i prześcignął w istocie wszystko, co rozpacz ludzka wydała dotąd w tym kierunku. Niema tej zbrodni, którejby autor nie zarzucił bogom. Oni sprawili nędzę człowieka, jego cierpienia i podłości, oni stworzyli na ziemi piekło. Richepin grzmi przeciwko niebu z zuchwalstwem szalonego, a gdy mu się słowo silne zbyt słabe wydaje, wówczas posługuje się plugawymi dowcipami, zaczerpniętymi z humoru pijanych włóczęgów (patrz: „La réponse du cyclope“, „Bréviaire d'histoire sainte“).

Rozumie się, że i jego ideałem jest szatan, bluźniercy bowiem wszystkich czasów zwracali się zawsze z modlitwą do jakiegoś wcielenia złości. Na cześć dyabła napisał Richepin bardzo długą apologię („L'apologie du diable“) [1]).

Zdawało się Richepin'owi, że oburzy przeciw sobie cały świat cywilizowany, że przerazi i zadziwi ludzkość swoją „odwagą“. Wierzył, iż zamordował religię raz na zawsze, uniemożliwiwszy wszelki powrót do Boga.

Richepin zadziwił rzeczywiście inteligencyę współczesną,

---

[1]) Jan Richepin, ur. w r. 1849 w Algeryi, Medeot, należy do płodniejszych autorów francuskich chwili obecnej. Oprócz „La chanson des gueux“ i „Les Blasphèmes“ wydał jeszcze dwa tomy poezyi: „Les caresses“ i „La mer“. Prozą napisał cały szereg powieści i nowel: „La Glu“; „Madame André“; „Les morts bizarres“: „Miarka la fille à l'ourse“; „Le pavé“; „Braves gens“; „Césarine“; „Le cadet“; „Truandailes“; „Cauchemars“; „La miseloque“; „L'aimée“ i in. I dla teatru napisał kilka dramatów i komedyj: „Par le glaive“: „La Glu“; „Nana-Sahib“; „Le flibustier“; „Le mâge.“

ale nie w takiem rozumieniu, jak się spodziewał. Nie reformę w pojęciach wywołał, lecz tylko niesmak. Od jego grubych, ordynaryjnych bluźnierstw, przypominających wybryki studenta, chełpiącego się wczoraj zdobytym ateizmem, odwrócili się nawet dekadenci. Paweł Verlaine nazwał jego dowcipy *de grosses cochonneries ou des inepties rancies* [1]).

I Baudelaire bluźnił, ale na dnie jego wybuchów ateistycznych drżała łza rozbitka umysłowo-moralnego, którego świadomość niecnoty ludzkiej doprowadziła do rozpaczy. Nie dlatego bluźnił, aby bluźnić, lecz dlatego, że mu życie, na które patrzał, obrzydło. Gdyby się był urodził w innej, jaśniejszej epoce, nie byłby się walał w brudzie i pisał hymnów na cześć szatana.

Jest znaczna różnica między Baudelair'em a jego potomkami po duchu. Autor „Kwiatów zła“ miał umysł szeroki, talent pierwszorzędny, ogarniał wszystkie stosunki ludzkie, zaglądał do wszystkich przepaści i ścieków życia. Materyalista i sceptyk w dużym stylu, widział całą nędzę tej ziemi.

Znienawidziwszy człowieka, cisnął mu w twarz pełną garść obelg i brudów, z których sączy się głęboki żal rozczarowania. Aureola poezyi błyszczy nad jego tworami. Błyszczy fosforycznie, błękitnym blaskiem rozkładu, zgnilizny, ale świeci.

Inaczej u następców Baudelaire'a. Rozszarpali oni pesymizm mistrza na strzępy, podzielili się jego skrawkami i postanowili nimi ludzi straszyć. Ani w plugawych obrazach Rollinat'a, ani w bluźnierczych deklamacyach Richepin'a, nie czuć szczerości. Dziwactwa te robią wrażenie wypracowań, napisanych rozmyślnie na temat zadany. Nie wytrysnęły one z duszy autorów siłą żywiołu, druzgoczącego wszelkie zapory; nie kipiące natchnienie poety je wydało, lecz chłodny rozum rzemieślnika.

W pierwszej chwili przerażają wistocie potworności Rollinat'a i Richepina. Gdy się jednak myśl otrząśnie ze zdumienia, wówczas wywołują owe halucynacye neurastenika i bluźnierstwa brawującgo auteusza skutek wręcz przeciwny temu, jaki twórcy ich zamierzali. Rollinat i Richepin nie oburzają, lecz bawią, wprawiają w usposobienie wesołe. Tylko komizmem należy nazwać to usiłowanie zwrócenia na siebie uwagi, „narobienia

[1]) Paweł Verlaine, „Les hommes d'aujourd'hui“; sylwetka Richepin'a.

wrzawy“, bez względu na środki. Richepin, grożący pięścią bogom, przypomina obłąkanego Kaligulę, który kazał swojej służbie „robić grzmot“, aby przekonać niewiernych, że i on potrafi to samo, co Jowisz.

Jak wszyscy epigoni Baudelaire'a, jest i Richepin lubieżnikiem. Poświęcił on rozkoszom zwysłowym osobną wiązankę poezyi p. t. „Les caresses“. W tomiku tym czytamy między innemi, następujące określenie miłości:

L'amour que je sens, l'amour qui me cuit,
Ce n'est pas l'amour chaste et platonique,
Sorbet à la neige avec un biscuit;
C'est l'amour de chair c'est un plat tonique.

Albo:

Vos amour, ô bourgeois, sont des fromages mous;
Le nôtre, un océan d'alcool plein de romous.

I w tym kierunku usiłował Richepin... przerazić „ludzi poczciwych“.

V.

Dekadenci — symboliści francuscy.

Około r. 1880 pojawiła się na bruku paryskim gromadka młodych ludzi, która postanowiła pchnąć literaturę francuską na nowe tory. Przyszli mistrzowie schodzili się w kawiarniach dzielnicy łacińskiej i przepędzali tam całe dnie i połowę nocy przy piwie i absyncie rozprawiając *de omnibus rebus et quibusdam aliis*. Edmund Haraucourt, Emil Gondeau, Wawrzyniec Tailhade, Karol Morice, Maurycy du Plessys, Jan Moréas, Anatol Baju, Gustaw Kahn, Juliusz Laforgue, Karol Figuier, Paweł Adam i inni, czuli potrzebę jakiejś zmiany, ale nie zdawali sobie z początku sprawy z kierunku, który chcieli wskazać dorastającemu pokoleniu. Przybierali oni różne nazwy (hydropaci, dekadenci, symboliści, instrumentyści, delikwescenci, inkoheranci—*déliquecent*, *incohérents*), wydawali różne pisemka („Lutêce", „Decadent", „Scapin", „Chat Noir", „Revue", „Indépendante Revue contemporaine" i in.), które wiodły żywot motyli, konając często po kilku, kilkunastu numerach, z tego jednak, co mówili i drukowali o sobie, nie można się było domyślić, dokąd właściwie zmierzają.

Powoli milkła wrzawa chaotycza. Bezładne dysputy kawiarniane ustąpiły miejsca programowym artykułom i broszurom; nadeszły w końcu i dzieła, najwiarogodniejsze zawsze dokumenty szkół literackich.

Anatol Baju, jeden z głównych redaktorów czasopisma „Décadent", wydał w r. 1887 rodzaj manifestu p. t. „Szkoła de-

kadentów", z którego dowiadujemy się, że współczesny dekadentyzm ma być reakcyą przeciw naturalizmowi. „Było to w sierpniu 1885 r. — mówi Baju [1]) — kiedy ja i kilku moich przyjaciół, zrażeni do przedajnej, bezpłodnej i poziomej literatury Zoli, sprawiającej rozkosz tylko bezdusznemu filistrowi (*bourgeois sans âme*), narobiliśmy w imieniu wszystkich przyjaciół sztuki straszliwej wrzawy, którą pochwyciły i podawały dalej echa dwóch światów". — „Schyłek naszego wieku patrzył na rozkwit najniemoralniejszej z literatur. Naturalizm, rodzaj encyklopedyi nieosobistej, której cała zasługa polega na drobiazgowej analizie, prawdziwe zwierciadło zdemokratyzowanego społeczeństwa, nie posiadał nigdy idei podniosłych. Dla naturalistów jest świat olbrzymią maszyną automatyczną, ludzie zaś głupimi manekinami, poddającymi się bez oporu niezwalczonym, fatalnym wpływom fizyologicznym". — „Skazany na monografię rzeczy (*codamné à la monographie des choses*), naturalizm był rozkoszą dla tych, którzy umieją patrzeć i czuć jedynie za pomocą zmysłów". — „Naturalizm mógł być tylko efemerydą; nie przedstawiał on cywilizacyi. Jego wybryki i tendencye pornograficzne sprowadziły reakcyę obecną. Dekadentom to przypadł zaszczyt utłuczenia (*broyer*) naturalizmu na miazgę, wytworzenia smaku lepszego, któryby się nie kłócił z nowoczesnym postępem". — „Naturalizm jest literaturą epoki żerowania, której ludzie wszystkich warstw, torturowani przez żołądek, odają się bez wyboru instynktom bydląt, jak to czynili cezarowie rzymscy po jakiejś potwornej i ohydnej orgii" — „Ale ludzie poznali się nareszcie na rzeczy. Ciężka senność niemocy i niesmaku unosi się nad ziemią. Człowiek uczciwy, zrozpaczony tryumfem grzechu i pokonany przez wszechpotęgę wrogiego przeznaczenia, upada znużony i odrętwiały".

Po takiej odprawie, danej naturalizmowi, należało się spodziewać, że Baju postawi jakiś programat idealny, że wskaże na epoki, w których „żołądek nie torturował człowieka", zmysły nie były jedynym przewodnikiem i doradcą, w których, słowem, dusza panowała nad ciałem. Ale teoretyk dekadentów paryskich potępił materyalizm artystyczny nie dla jego pesymizmu. W rozdziale p. t. „Spleen moderne" skarży się on na nik-

---

[1]) Anatole Baju; „L'école décadente"; wydanie II; 1887; str. 24, 5, 6 i 7.

czemność chwili obecnej. Na nic zdały się — twierdzi — próby podniesienia moralnego poziomu motłochu. Wobec tego czuje człowiek oświecony głęboki niesmak, „nieuleczony spleen“, straszniejszy od nudy cezarów rzymskich, bo przeklinający istnienie i wzywający na pomoc śmierć, nicość. Zdeptany świadomością niemocy, widząc się wplecionym w koło głupiego przeznaczenia, umysł wytworny obrzydza sobie życie i czuje potrzebę wypowiedzenia, wypłakania żalów sprawiedliwych. Te lamentacye i medytacye, smutne albo ironiczne, co zależy od usposobienia danego autora, są właśnie, podług Anatola Baju, literaturą dekadentów.

— Literatura dekadentów[1]) „syntetyzuje“ ducha“ kwiatu inteligencyi społeczeństwa współczesnego. Mówiąc o sztuce, nie można uwzględniać wielkich mas, gdyż te nie myślą samodzielnie i przedstawiają jedynie cyfrę. Wysoka publiczność (*le haut public intellectuel*), czyli ta, o której warto pamiętać, której uznanie bywa uświęceniem, ma dosyć sztucznych wzruszeń, grubych wrażeń i banalnych umów wyobraźni ostatnich form literackich. Ta publiczność chce obecnie życia, prawdy.

Tak samo uczył Zola, ale dla niego, dla materyalisty, były „życiem“, „prawdą“ uciechy i szały pospolitego zwierzęcia. „Subtelniejszy“ Baju żąda, aby literatura odtwarzała obraz świata „chorego na spleen“ (*monde splenetique*).

Nic więc nowego, świeżego pod względem treści nie wniósł współczesny dekadentyzm francuski do literatury pięknej, wszystko bowiem, co nazywa swoją własnością, zaczerpnął z doktryny Baudelaire'a i jego bezpośrednich następców. Nie on, lecz Baudelaire wymyślił arystokratów inteligencyi, którym nie wystarczają „naiwne“ wrażenia wyobraźni romantycznej i „grube“ wzruszenia „uczoności naturalistycznej“. Już autor „Kwiatów zła“ śpiewał dla „wytwornych smakoszów“, nie trawiących bez asafetydy, dla zblazowanych rozkoszników, tak stępionych, że odczuwają tylko działanie narkotyków i cuchnących zapachów. „Literatura spleenu“ jest jego wynalazkiem.

Wiedzą o tem dekadenci współcześni, powołują się bowiem wszyscy nie na klasyków, encyklopedystów, lub romantyków, lecz na Baudelaire'a i jego uczniów. Oddawszy na wstępie broszurki głęboki ukłon autorowi „Kwiatów zła“, jako mistrzowi

---

[1]) Anatole Baju; jak wyżej; str. 9.

mistrzów, Baju stawia na czele nowoczesnych dekadentów. Juliusza Barbey d'Aurevilly i Pawła Verlaine'a, znacznie latami starszych od młodzieży, która wystąpiła po r. 1880. „Nikt nie odtworzył z takim wdziękiem, jak Verlaine, owych złożonych i delikatnych wzruszeń duszy, niedostępnych dla niewykształconej części ludzkości"—mówi Baju. A Barbey d'Aurevilly „jest jedynym pisarzem stulecia, olbrzymem w porównaniu z Wiktorem Hugo" [1]).

Oprócz osobnego poglądu na świat, posiadają dekadenci tak że własną estetykę.

Anatol Baju uczy: „Żadnych opisów; należy się domyślać rzeczy znanych. Wystarcza najzupełniej odręczna (*rapide*) sytuacya, odtwarzająca wrażenie przedmiotów. Nie potrzeba malować; dość, gdy się daje sercu wrażenie rzeczy (*la sensation des choses*) bądź za pomocą nowych konstrukcyj, bądź też przez symbole, wywołujące idee z większą wyrazistością, niż porównanie. Człowiek współczesny, który widział, wie wszystko i doświadczył wszystkiego, domaga się wrażeń nowych. Przywykły do pośpiechu, sprawiającego zawrót głowy, pragnie użyć dużo w czasie krótkim. Niema on już cierpliwości do odczytywania długich powieści wypadków (*romans d'aventures*) i nie kończących się nigdy opisów" [2]).

Rzeczą sztuki nie jest, podług René Ghil'a, odtwarzanie natury, lecz wywoływanie wrażeń i stanów duszy za pomocą symbolów.

Maurycy Maeterlinck, wielbiony mistrz symbolistów, twierdzi, że „Autor szczery, czyli ten, który czerpie bezpośrednio z istoty rzeczy, zamiast żyć wyłącznie nowemi tylko kombinacyami pozorów, nie jest nigdy ciemny, bo sam siebie zawsze rozumie, a nawet powiada więcej, aniżeli mówi. Musi się jednak wydawać ciemnym, bo istnieje tylko o tyle, o ile daje coś niespodziewanego [3]).

Gustaw Kahn domaga się od sztuki symbolicznej (*l'art symbolique*), aby „wcieliła w szeregu dzieł jak najdokładniej wszystkie zmiany i odcienia duchowe poety, natchnionego ce-

---

[1]) Anatol Baju, jak wyżej, str. 19.

[2]) Anatol Baju, jak wyżej, str. 10.

[3]) Maurycy Maeterlinck, „Ruysbroeck l'Admirable" w „Revue générale", październik i listopad 1889 r.

lem, jaki sobie sam wyznaczył. W pierwszych dziełach swoich winien twórca w formie już symbolicznej odtworzyć poszukiwanie prawdy artystycznej (*la vêrité de l'art*). Jego książki z epoki dojrzałej mają zawierać świadomość prawdy, ostatnie zaś hipotezę prawdy następującego pokolenia [1]).

Karol Morice wreszcie filozof i teoretyk symbolistów, dopełnia chaosu gadaniny dekadenckiej: „Pomiędzy nauką a sztuką zachodzi ta różnica — uczy [2]) — że pierwsza jest postępującą (*succesive*), druga zaś intuicyjną, natychmiastową (jako skutek) i współczesną. Dzieło sztuki powinno być wyrazem chwili, poetą zaś jest tylko ten, dla którego istnieje czas teraźniejszy. Wiem dobrze, że powieść nie może się obyć bez psychologii, ale czemże właściwie jest powieść? Rozkładem ona epopei, niczem więcej, epopeja zaś jest znów tylko literaturą narodów niemowlęcych. Psychologia tworzy most między naturalizmem a symbolizmem, ale na moście nie mieszka nikt. Przez mosty się przechodzi. Co do symbolizmu, jest on połączeniem przedmiotów, które wywołały w nas uczucia i naszej duszy w fikcyi i t. d.

I tam dalej, czytelnik bowiem nieobeznany z żargonem dekadentów, z ich „symbolami", nie dowie się niczego z definicyi doktrynerów i autorów szkoły. Języka ich trzeba się uczyć, jak volapücku, lub chińszczyzny, znaczenia ich zawiłej frazeologii trzeba się domyślać—podkładać trzeba treść pod słowa, przeznaczone dla „arystokratów ducha". Nowych proroków nie obchodzi nic „staroświecka" składnia, dobra dla „plebejuszów", nieporządny szyk słów i logika języka. Im się kto ciemniej, zagmatwaniej wyraża, tem szczerszy podziw budzi między „wtajemniczonymi". Za najgenialniejszego symbolistę, za wyższego od Szekspira, uchodzi obecnie Maeterlinck, „mówiący więcej, aniżeli powiada".

Odrzuciwszy niezrozumiałą gadaninę, zwroty pozornie uczone, „głębokie", „symboliczne" dostrzeżemy na dnie estetyki poetów dekadenckich karykaturę doktryny parnaseizmu. Jak Gauthier, Baudelaire, de Banville, Mendès i in., nie uznają i dekadenci jakiejkolwiek celowości sztuki, oddzielając ją stanowczo

---

[1]) Juliusz Huret, „Enquéte sur l'Evolution littéraire", 1891, str. 394.

[2]) Juliusz Huret, jak wyżej, 84 i 85.

od życia. Nie prawda, lub moralność są duszą dzieła artystycznego, lecz jedynie piękno, bez względu na jego treść.

Przedmiot taki, lub inny nie powinien krępować artysty. Czy to będzie but, sprzęt, krajobraz, człowiek, ścierwo, trup, wrażenie chwilowe, lub też historya bohatera, morze, burza, rozpacz, senne przywidzenie i t. d. — rzeczą obojętną, byle się temat nadawał do wywołania efektu, byle zadziwił słuchacza czemś niespodziewanem.

Z tego samego założenia wychodzą zwolennicy formułki „sztuka dla sztuki“ wszystkich czasów i narodów, ale w epokach zdrowych, posiadających właściwe pojęcie piękna, równoważy wszechstronność talentów, jednostronność teoryi. Artysta szerokiej głowy i dużego serca nie zamknie się nigdy w ciasnych granicach pewnej doktryny, choćby w nią jak najgoręcej wierzył, ogarnia on bowiem zawsze całokształt zjawisk zewnętrznych i wewnętrznych.

Nie tak dekadenci. Dla nich, dla dzieci niewiary i ostatecznego zwątpienia, ginie cała dodatnia, jasna strona piękna, jego wonie i blaski. Chorzy fizycznie i moralnie, patrzą na świat i ludzi przez szkła starganych nerwów i zużytych zmysłów. Ich piękno różni się tak od piękna istotnego, jak niespokojne drganie dogorywającej lampy od światła słonecznego, jak majaki histeryka od zapałów duszy natchnionej. Już Baudelaire szukał pobudek do wywoływania efektów artystycznych głównie w brudzie i nikczemności, a jeżeli zatęsknił czasem za ideałem, to były to zawsze tylko wyrzuty sumienia (*l'idéal rongeur*) i wściekłe wybuchy lubieżnika, rozgniewanego na brak ustosunkowania między pożądaniami a siłami człowieka-zwierzęcia (*la disproportion de son désir et de sa puissance*). Gdyby dekadent mógł, bez narażenia się na choroby i na przesyt, używać rozkoszy zmysłowych od świtu do nocy, przez długi szereg lat, gdyby nie potrzebował nastrajać porwanych nerwów narkotykami, byłby optymistą, wielbicielem „najlepszego ze światów“, rzadko bowiem odzywają się w bluźnierstwach zrozpaczonych chwili obecnej skargi na ograniczoną świadomość, na zakryte cele rodu ludzkiego.

Z lutni Baudelaire'a płynęły same zgrzyty. Zgrzyty też jedynie rozbrzmiewają w literaturze jego następców. Piękno dekadentów, zgorszonych pornografią i brutalnością naturalizmu,

jest, mimo tego oburzenia, albo pornografią, albo bluźnierstwem.

Jak parnaiści, nie raczą i dokadenci śpiewać dla „motłochu“, którym gardzą, co im wcale nie przeszkadza starać się o względy „filistrów“. Znają się oni na reklamie dziennikarskiej jeszcze lepiej od Zoli, najzdolniejszego kupca między współczesnemi znakomitościami literackiemi.

Co sami dekadenci mówią o sobie, jest tak zawiłe, zagmatwane, jak ich utwory. Teorye Baju, Ghil'a, Kahn'a, Moric'a, Mallarmé'go i in. nie rzucają wcale światła na misterye dekadentyzmu. Łatwiej rozwiązuje się zagadkę bez ich pomocy.

Wsłuchawszy się dobrze w poezyę dekadentów, w brzmienie wyrazów, składanych przez nich bez troski o spoistość logiczną, o sens, wyrażających się trywialnie, dostrzega się w tej bezładnej mieszaninie określeń i obrazów jakiś plan, jakąś robotę rozmyślną. Ci ludzie chcą czegoś, ale czego? Nie bez celu zestawiają oni obok siebie zdania, które nie tworzą jednolitej całości. Trzeba ich czytać u c h e m, a wówczas rozumie się ich doskonale.

Kto chciałby szukać rozumnej treści w wierszach Kahn'a:

Vers l'ondoyance des futurs
A travers des sveltes mâtures,
Souffle levent des avantures
Vers de trés brefs delèaturs.
O vieux coeur souffrant tordu de tortures —

wysilałby się niepostrzebnie. Ale komu wystarcza muzykalność słowa, przyjemne łaskotanie słuchu, ten będzie autorowi wdzięcznym za jego monotonne rymy (*ures*) i miękkie dźwięki (*svelte s, vent, vieux*).

Już Baudelaire, wyznawca doktryny „sztuka dla sztuki“, poświęcił tu i owdzie treść dla melodyjności wiersza. Tego samego grzechu dopuszcza się czasami i Verlaine, ale ani dziad, ani ojciec dekadentyzmu nie wynieśli kaprysu do stanowiska zasady. Wprawdzie powtarza Verlaine w swojem „Art poétique“ po kilka razy *de la musique encore et toujours* i ma na sumieniu tak nieudolną „muzykę“ jak owe „Chevaux de bois“ („Tournez, tournez...“), „Pierrot gamin“ („Ce n'est pas Pierrot en herbe“...), jednakże nawet tam, gdzie bawi się „wywoływaniem wrażenia“, nie zapomina o warunkach podstawowych dzie-

ła myśli ludzkiej. Zwroty i zdania łączą się u niego prawie zawsze w całość zaokrągloną, zrozumiałą bez komentarza.

Co dla mistrzów miało wartość eksperymentu artystycznego, co było dla nich igraszką, stało się dla epigonów, jak zwykle, prawem najwyższem. Mali potomkowie „wielkiego przodka", zbyt niedołężni, aby się mogli wznieść do siły duchowej Baudelaire'a, pochwycili z jego spuścizny drugorzędną wskazówkę techniczną i ukuli z niej doktrynę, teoryę. Muzykalność słowa jest dla wielu z nich jedynym celem poezyi. Dla niej to zestawiają obok siebie wyrazy, niedopełniające się nawzajem, dla niej grzebią się w słownikach zapominanych dyalektów, polując na równobrzmiące zgłoski i rymy. Czy utworzony w ten sposób wiersz coś oznacza, lub też nie, czy następnik znosi wręcz poprzednik — nie wiele ich obchodzi. Nie o treść im idzie, lecz jedynie o dźwięczność. Wynika z tego, że utwory ich, przełożone na obcy język (na inne dźwięki), tracą wszelką wartość, co bowiem w oryginale jęczało, szumiało, płakało i t. d., może w tłumaczeniu syczeć, piszczeć, huczeć.

Dla dźwięczności powtarzają dekadenci te same słowa i te same wiersze kilka razy w jednej zwrotce. Dzieje się to głównie tam, gdzie chcą wywołać wrażenie jednostajności tęsknoty, smutku, zachodzącego słońca.

Należy przyznać, iż owa muzykalność słowa wytwarza czasami wistocie wiersze tak melodyjne, że wydają się jakby utkane z tonów powiewnych. Ale i pieśni romatyków grają, chociaż liczą się ze składnią i zdrowym rozsądkiem.

Idąc dalej w kierunku dźwięczności wiersza, doszli dekadenci do t. zw. instrumentacyi słowa („L'instrumentation verbale"), której teoryę wymyślił Rhené Ghil.

Rhené Ghil wydał w r. 1886 rozprawkę p. t. „Traité du Verbe". Najnowsze wydanie tej dziwnej broszury wyszło w r. 1891 pod zmienionym tytułem [1]).

W dziełku Ghil'a jest wszystko „nadzwyczajne", począwszy od dedykacyi, a skończywszy na stronie typograficznej książki. Autor przemawia do żony swojej w sposób następujący:

„Attestant que ton nom de souffle, ô d'Epouse à laurer de tes mains de repos mes songes l'instrument est! per-

---

[1]) Rhené Ghil; „Oeuvre"; „En méthode à l'oeuvre; 1891 r.

pétuel d'être mon souffle: comme porteuse au plus futur d'heur et d'amour et de serment, va vers Demain l'Oeuvre d'espoir."

Przetłumaczona dosłownie znaczy ta dedykacya mniej więcej: [1]) „Poświadczając, że twoje imię tchnienia, o małżonki do wieńczenia swemi rękami moich snów wypoczynku, tam nieustannie jest! Nieskończenie bytujące moje tchnienie: jako roznosicielka do najdalszych przyszłości szczęścia, miłości i przysięgi, idź w jutro „dzieło" nadziei."

I osobną interpunkcyę, jak poświadcza dedykacya Ghil'a, wymyślili sobie dekadenci. Służy ona do jeszcze większego zaciemnienia ciemnej treści.

Już sama inwokacya, wystosowana do pani Ghil, może zniechęcić czytelnika do rozprawki jej małżonka. Kogo ona nie zraziła, ten straci niewątpliwie ochotę do badania doktryny, „instrumentacyi słowa" zaraz po dwóch pierwszych stronicach traktatu.

Pomijając filozofię Ghil'a („En méthode à l'oeuvre"), nad którą trzeba ślęczeć, jak nad majakami mistyka średniowiecznego, dowiadujemy się z części trzeciej jego „Oeuvre" („Manière d'art") nasamprzód tej nowiny, że brzmienia samogłosek i spółgłosek odpowiadają tonom pewnych instrumentów. I tak grają *f. l. s.*, jak długie, pierwotne, flety: — *p. r. s.*, jak niższy rejestr saksofonu; *r*, *s*, jak wyższy rejestr saksofonu; — *l*, *r*, *s*, *z*, jak rogi, fagoty, oboje; *f*, *l*, *r*, *s*, *z*, jak trąbki, klarynety, piszczałki i małe flety; — *d*, *g*, *h*, *l*, *p*, *q*, *r*, *t*, *x*, jak skrzypce, gitary i harfy: — *ll*, *r*, *s*, *v*, *z*, jak basy i wiole. Każda spółgłoska może brzmieć rozmaicie, co zależy od połączonej z nią samogłoski. Długie piewotne flety naśladują *f. l. s.* przyczepione do: *oû*, *ou*, *iou oui* (*fou*, *liou*, *sou*, *fous*); *l*, *r*, *s*, *z*, dodane do *eû*, *eu*, *ieu*, *eui* przypominają róg, fagot, lub oboje (*leu*, *lieu*, *sieu*, *reui*) i t. d.

A nietylko osobne dźwięki wydają z siebie samogłoski i spółgłoski. Można za ich pomocą wyrazić pewne uczucia i pojęcia *A*, *o*, *m* uzmysławiają wielkość, pełnię czegoś — *é*, *i* wytworność, żałobę, — *o*, *r*, *s*, *x* potężne namiętności, gwałtowność,

---

[1]) Tłumacząc dekadentów-symbolistów nie można twierdzić nigdy na pewno, że się powiedziało to, co oni w danym wypadku myśleli, podkładają oni bowiem często wyrazom znaczenie dowolne.

szorskość, — *u*, *n* wątpliwość, rzeczy zakryte. Najgiętszem, nadającem się do najbogatszych odcieniów jest *e*.

Niedość tego. Spółgłoski i samogłoski posiadają, oprócz dźwięczności i znaczenia symbolicznego, także barwę. *Oû*, *ou*, *iou*, *oui* są czarne z odcieniem rudawym; *ô*, *o*, *io*, *oi* — czerwone; *â*, *a*, *ai* — purpurowe, *eû*, *eu*, *ieu*, *eui* - różowe z odcieniem złotawym.

Ghil umieścił w swojem „Oeuvre“ (str. 25—29) kilka tablic dźwięków, uczuć, pojęć i barw, wyrażonych przez spółgłoski i samogłoski.

Tego ukrytego znaczenia głosek nie zna oczywiście przeciętny śmiertelnik, „posługujący się mową bezmyśnie“. Odczuwają je i rozumieją tylko „natury wybrane“.

Takiego wniosku nie spodziewał się zapewne „naiwny, grubouchy czytelnik,“ który, żąda, aby się słowa składały w zdania, zbudowane prawidłowo i wyrażały jakąś treść rozumną. To nie oni, dekadenci bredzą, jak obłąkani, lub dzicy, to nie oni stracili poczucie jednolitości i całości, lecz on — „motłoch“ nie potrafi się wznieść do wyżyn ich wytwornej sztuki. Bo dopiero subtelna instrumentacya słowa — jak uczy Ghil — jest prawdziwym artyzmem. Obejmuje ona sobą język, muzykę i malarstwo, jako ostatni wyraz sztuki...

Więc to, co się na pierwsze spojrzenie wydawało przypadkowem zestawieniem niedopełniających się nawzajem wyrazów, jest kombinacyą obmyślaną, wytworzoną rozmyślnie. W pocie czoła pracują nieraz dekadenci, aby zbudować poemat, z którego „niemądry motłoch“ drwi... ciemny i niewtajemniczony.

Ileż to np. „artyzmu“ włożył Ghil w utwór, z którego żartują wszyscy krytycy, należący pojęciami i gustami do „plebejuszów“.

Ouïs! ouïs aux nues haut e nuets ou
Trient-ils d'aile immense qui vire...
et quand vide
et vers les grands pétales dans l'air plus aride—
(Et en le lourd venir grandi lent stridule, et
Titille qui n'alentisse d'air qui dure et!
Grandie, erratile et multiple d'éveils, stride
Mixte, plainte et splendeur! la pléuitude aride),
et vers les grands pêtales d'agitations
Lors évanouissait un vol ardent qui stride...
(des saltigrades doux n'irons plus vers les mers).

„Plebs umysłowy“ chce się doszukać trywialnego sensu w powyższym utworze, chce, aby on coś znaczył w rozumieniu pospolitem, aby przemawiał do rozumu... Rozum!? Któż zważa na upodobania tego ordynaryjnego mieszczucha, któremu trzeba wszystko łopatą do głowy włożyć... Nie o sens chodziło Ghil'owi... wytwornemu artyście... lecz o instrumentacyę słowa, o wrażenie. Rozum nazwie ten rodzaj sztuki zjawiskiem patologicznem, chorobą, ciemny bowiem episier nie wie, że co było dawniej patologią, jest obecnie normą, prawem powszechnem (*que le cas dit pathologique se multiple normal*; Ghil; j. w. str. 27).

Co Ghil zamknął w ramach doktryny, to zastosował już przed nim praktycznie Artur Rimbaud, autor rozgłośnego sonetu p. t. „Voyelles“. Wprawdzie zadrwił sobie podobno Rimbaud z ludzi, jak twierdzi Morice, ale jego „Samogłoski“ obiegły mimo to cały świat cywilizowany i pobudziły do naśladownictwa wielu młodych dekadentów.

Więc Moréas, Kahn, Vignier, Ghil, Rimbaud i in. nie bredzą, gdy składają wiersze bez sensu, lecz pracują z pełną świadomością, trzeźwi i przytomni. Wytwarzają oni za pomocą „bardzo głęboko pomyślanej istrumentacyi słowa“... wrażenia, nastroje, o czem powinien wiedzić filister, biorący ich dzieła do ręki...

Zresztą treść i sens odnajdzie w ich utworach każdy, kto nie żąda, aby autor ciągle za niego myślał. Trzeba tylko chcieć i umieć wniknąć w symbole. Tak zapewniają dekadenci.

Symbol?!... Symbolem można nazwać każdy typ artystyczny, wciela on bowiem całą grupę ludzi, cały szereg rysów zebranych z różnych osobników. I porównanie, obraz, przenośnia są symbolami.

Ale nie w takiem — pospolitem — rozumieniu pojmują dekadenci symbol. Nie jest on dla nich środkiem pomocniczym, drugorzędnym, lecz główną, prawie jedyną formą wcielonej myśli.

Pomiędzy „Kwiatami zła“ Baudelaire'a znajduje się poemat następujący:

Rubens — ogród lenistwa, rzeka zapomnienia,
Puch ciał świeżych, od których miłość stroni zdala,
Lecz gdzie życie wciąż kipi pełne ruchu, wrzenia,
Jak powietrze pod niebem, jako w morzu fala.

*

Da Vinci — duch jak głębia ciemnego zwierciadła,
W którem blade Anioły, z uśmiechy słodkimi,
Tajemnicą okryte wstają jak widziadła
W kraju zamkniętym lody i jodły smukłemi.

*

Rembrandt — pełen stłumionych gwarów szpital smutny,
Gdzie tylko krzyż wyciąga ramiona olbrzymie,
Gdzie się z brudów modlitwa i płacz rwie pokutny,
I czarem znagła przemknie błysk słaby, jak w zimie.

*

Buonarotti — otchłań, gdzie jawią się oku
Herkule i Chrystusy i sztywne jak struny,
Potężnych widm postacie powstające w mroku;
Które prostując palce, drą swoje całuny;

*

Wściekłości zapaśników, faunowe bezwstydy
Tyś oddał z dumnem sercem, wyżółkły szkielecie,
Wielki odkrywco piękna śród nędz i ohydy,
Mocarzu galerników, tęskliwy Puget'cie!

*

Watteau — karnawał, kędy krocie serc szlachetnych
Płomieniąc się, unoszą motylemi loty,
Tłum ozdób lekkich, świeżych, co przy ogniach świetnych
Pająków — tchną w balowych wir szału zawroty.

*

Gdy — zmora, — świat ciemny, gdzie wiedźmy trup dziecka
Warzą podczas sabatów, gdzie u luster baby,
A pończoszki dziew rzesza naga i zdradziecka
Tak wdziewa, by szatanów skusiły powaby.

*

Delacroix — przez piekieł opętany mary,
Staw krwi pośród zielonych wiecznie sosen cienia,
Kędy pod niebem chmurnem dziwaczne fanfary
Płyną jakby Webera tłumione westchnienia.

*

Te przekleństwa, bluźnierstwa, te skargi, zachwyty,
Te krzyki i łzy rzewne i hymny weselne
To przez sto labiryntów głos echem odbity,
Opium boskie, co serca upaja śmiertelne.

*

To hasło, przekazane przez legiony straży,
To rozkaz przez tysiączne tuby powtarzany,
Majak, co się ze szczytu wież tysiąca żarzy.
Sygnał w puszczy zbłąkanym myśliwcom podany.

*

Bo, zaprawdę, najlepsze godności swej, Panie,
Świadectwo, jakie ludzkość, składa Tobie Bogu.
Jest to wrzące przeciągłe z wieków w wieki łkanie,
Co aż tam u wieczności Twej zamiera progu! [1])

Poemat ten, eksperyment niepospolitego majstra mowy wiązanej, jest źródłem symboliki współczesnych symbolistów. Baudelaire nadużył w „Latarniach“ porównań, niemi się tylko rozmyślnie posługując. Ale mimo nagromadzenia samych symbolów, nie zapomniał o prawidłowej budowie wiersza i zwrotki i o rozumnej treści. Kto widział płótna: Rubensa, da Vinci'ego, Rembrandt'a, Bounarotti'ego, Puget'a, Watteau'a, Goy'a i Delacroix'a, ten poznaje je nietylko odrazu, lecz podziwia nawet głębokość obserwacyi Baudelaire'a i dar określania kilku rysami subtelnych indywidualności artystycznych. To samo odnosi się prawie zawsze do utworów symbolicznych Verlaine'a (*Il Bacio* i in.).

Aby się przekonać, co epigoni zrobili z kaprysu mistrza, wystarcza przypomnieć którykolwiek z utworów młodszych dekadentów.

Kiedy w r. 1891 wyszła wiązanka wierszyków Jana Moréas'a p. t. „Le Pèlerin Passioné“, wyprawili mu koledzy bankiet, na którym ogłosili go twórcą nowej szkoły literackiej, nowej sztuki pionierem. Publiczność zdziwiła się nasamprzód, a następnie uwierzyła prawdopodobnie w posłannictwo Moréas'a, poezye jego bowiem doczekały się w krótkim czasie drugiego wydania.

Zaraz pierwszy „poemat“ zbiorku p. t. „Le Pèlerin Passioné“ [2]), zaraz owa „Enona o jasnej twarzy“ (*Enone au clair visage*) zdumiewa... głębią bez dna.

— Skończyła już na noc bieżącą swoją drogę — Gwiazda, co radzi kochać. Niestety, słuchaj — nie mów do mnie: na co

---

[1]) Les Phares; „Latarnie“; przekład M-skiego.

[2]) Posługiwałem się ostatniem wydaniem Leona Vanier'a p. t. „Le Pèlerin Passioné“ édition réfondue, 1893. (*Przyp. aut.*).

ta miłość szalona? — Nigdy — Rozgrzewając mi powtórnie krew grzeszną żądzą — Łuk nie będzie naciągnięty, ani strzały wypuszczone.

— Gdy zgasło, widzisz światło gwiazdy — Zaiste, znaczy to, że trzecia część czasu przeminęła. — Nie, nie mów do mnie: dlaczego ta miłość szalona? — Młoda łodyga, podobna do owego szlachetnego palmowca — Który widział Ulysses pewnego razu w ponurem Delos.

— Pozwól, pozwól Cyprydzie zejść z horyzontu — Powietrze jest całe przesiąkłe pyłkami czułych kwiatów — Zamknij twe oczy kochane. — Ponieważ cień, który się wzmaga, ukrył je przedemną. — Apollo mnie kocha a syn Merkurego — Dobry Pan kozłorogi, miał staranie o moich latach młodych. — W świętem Cylene, gdzie nimfy wód — Mnie karmiły, własną ręką ściąłem dużo trzcin — Za pomocą sztuki przemyślnej umiem znakomicie udawać — Szczyt lasów, gdy go poranek budzi.

Powie kto może, iż przekład nie oddał myśli autora. Dla kontroli niech służy tekst oryginału:

Elle a fini déjà, pour cette nuit, sa route.
L'étoile qui d'aimer conseille. Hélas! écoute,
Ne me dis pas: Pourquoi ce fol amour? Jamais,
Me renflammant le sang d'une coupable envie.
L'arc ne sera tendu, ni encochés les traits.
Si la lumière, vois, de l'étoile a baissé,
Certes, c'est que le tiers des heures a passé.
Non, non, ne me dis pas: Pourquoi ce fol amour?
Jeune tige, pareille à ce noble palmier
Que dans l'âpre Délos Ulysse vit un jour.

*

Laisse, laisse Cipris à l'hoizon descendre,
L'air est tour imprégné du pollen des fleurs tendres;
Ferme tes yeux aimés,
Puisque l'ombre qui croît me les a dérobés,
Apollon ma chérit, et le fils de Mercure,
Le bon Pan corne-bouc, de mon jeune âge eut cure.
Dans le sacré Cyllène ou les Nymphes des eaux
M'ont nourri, de ma main j'ai coupé maints roseaux:
D'un art industrieux je sais feindre à merveille
La cime des forêts, quand le matin l'éveille.

W takim razie zadrwił sobie prawdopodobnie Moréas z na-

iwnych, trudno bowiem uwierzyć, aby człowiek przy zdrowych zmysłach mógł powyższą mieszaninę słów i obrazów, nie łączących się ze sobą w całość rozumną, nazwać dziełem sztuki. Jego „pieśń“ do Enony jest sztuczką, zabawką... Dalsze poezye mają niezawodnie jakiś sens...

Przewracamy kilka kartek i czytamy znów (str. 17).

— Zboża dojrzeją pod Rakiem płomiennym — I Bachus odrodzi się z grona wyciśniętego — Hyady przyjdą i przyjdą swoją drogą — Złowrogie przymrozki, które sieje Boerasz. — Woda skrapla się z łagodnym szelestem, łąki olśniewają — Teraz są dni, zwiastujące wiosnę — Dyana nie prowadzi jeszcze dzikiej sfory — Filomela wzdycha na wierzchołku lasów — Łuk giętki z Cypru wstrząsa swemi strzałami—Eter, źłódło życia...

Les blés auront mûri sous le Cancer ardent
Et Bacchus renaîtra de la grappe foulée,
Les Hyades viendont, et viendront à leur tour
Les funestes frimas qui sème le Borée.
L'eau s'égoutte à doux bruit, les prés sont éclatants,
A présent sont les jours messagers du printemps,
Diane encor'ne guide une meute hardie
Philomèle soupire au plus haut des forêts,
L'arc flexible de Cypre ébranle des ses traits
L'Ether, source de vie.

Przewracamy jeszcze kilka kartek i znajdujemy (str. 25):

— Dumna wiosno zdobywco, coś mnie nadużyła—I jakim fałszywym pozorem serce mi złamałaś — Jaskółka obecnie uciekła na morze—Krzyk ptaka błotnego przyprowadza nam deszcz — Przezorny rolnik, który myśli o swoich domkach — Siekierą ścina w smutnych lasach—Dąb, który rozpościera na ziemi swoje liście — Nieszczęśliwa jesieni, ja kocham twoje oblicze!

Fier printemps ravisseur, que tu m'as abusé,
Et de quel faux semblant tu as mon coeur brisé!
L'hirondellea à présent sur la mer s'est enfuie,
Le cri de l'échassier nous ramène la pluie;
Le prudent laboureur qui songe à ses guérets
De la cognée abat dans les tristes forêts
L'yeuse qui répand à terre son feuillage.
Automne malheureux, que j'aime ton visage.

Miłość do jakiejś Enony odebrała Morćas'owi niewątpliwie

rozum. Rozkochawszy się do szału, stracił zdolność logicznej myśli i jasnego obrazu. Szukajmy więc dalej. Może na inny przeszedłszy temat, opamiętał się, oprzytomniał.

— Wdzięczne stado młodych kurtyzan — Igra i śmieje się w lesie mojej duszy — Milczący drwal i albo uderza swoją siekierą w lesie mojej duszy. — Czyliż nie kazałem śpiewać pod mojemi palcami — (drwalu, uderzaj!) skręconej lutni trzy razy? — (drwalu, uderzaj!) Nie jestże moja dusza — Jak ktoś, co przynagla szybkie bieguny? (str. 96).

Un troupeau gracieux de jeunes courtisanes
S'ébat et rit dans la forêt de mon âme.

*

Un bûcheron taciturne et ou frappe
De sa cognée dans la forêt de mon âme.

*

Mais n'ai-je pas fait chanter sous mes doigts
Bûcheron, frappe!) la lyre torse trois fois!

*

(Bûcheron, frappe!) N'est-elle pas, mon âme,
Comme un qui presse de rapides coursiers!

I tak ciągle przez cały tomik, przez 150 stronic. Cudzoziemiec, nie przypuszczający, aby coś podobnego można drukować pod banderą poezyi, nie ufa zrazu swojej francuszczyźnie. Może nie znam dostatecznie języka — tłumaczy autora przed sobą — może nie odczuwam subtelności wytwornego słowa. I czyta po raz drugi, trzeci. Ale nie, to wyrazy francuskie, tu i owdzie zaczerpnięte ze słownika romańskiego schyłku wieków średnich, tu i owdzie jakieś nowe, nieznane autorom klasycznym, lecz zawsze francuskie. Trzeba je więc złączyć ze sobą i dotrzeć do ich treści. Ani sposób... Jedno zdanie odcina się od drugiego, jakby do niego nie należało, jeden wyraz znosi znaczenie poprzedniego. Chaotyczna to gadanina, przypominająca gawędy obłąkanych.

Może inny dekadent będzie zrozumialszy. Gustawa Kahn'a zaliczają koledzy do teoretyków szkoły, do szampionów. Był on naczelnym redaktorem czasopisma p. t. „La Vouge". Jako polemista i doktryner powinien się był nauczyć jasnego wykładu.

Wydał on książkę tak dużą, tak poważną pod względem typograficznym, iż wypełnił chyba jej wspaniałe ramy poezyami, obliczonemi na długie lata. „Les Palais Nomades“ nazwał to dzieło [1]).

Owieramy owe „Palais „Nomades“ gdziekolwiekbądź, np. na stronie dwunastej i czytamy:

— Ku falowaniu przyszłych po przez wysmukłe wyniosłości masztów — dmie wicher przygód — Ku nader szybkim zniweczeniom — O, stare serca cierpiące, skręcone torturami! — W gęstości nocy, bez pieszczoty i księżyca — Pieśń majtka wysoko usadowionego w koszu — Kołysze długie smutki, które idą płakać do jednej. — Atlantydy, Tuleje — Het tam fale niebieskie — Wy je chowacie dla stad — Mew. Piękni jubilaci, oczekujący czystych obok mauzoleów. — Kołysze długi smutek, który krzyczy swojemu wyglądowi — Komecie z rozwianym łagodnie włosem — Do jej stóp, na fali, w zielonawych odcieniach. Wygrzewać się jak dobra jaszczurka w rafinowanych rytmach sztuk; — Na miękkich kanapkach przypadków — Panować nad swojem marzeniem jak Cezar; — Skończyć daleko od portów w dziwnej łódeczce.

Vers l'ondoyance des futurs
A travers des sveltes mâtures,
Souffle le vent des aventures
Vers de très brefs déléaturs.
O vieux coeur souffrant tordu de tortures!

*

Dans l'épaisseur de nuit, sans caresse et sans lune,
Chanson du matelot haut perché dans la hune
Berce les longs regrets qui vont pleurer vers une

*

Les Atlantides, les Thulés,
Par là-bas vague cérulées,
Vous les gardez aux envolées
Des goëlands. Les beaux jubilés
Attendant les purs près des mausolées.

*

[1]) Gustaw Kahn, „Les Palais“, Paryż 1887.

Berce le long regret qui crie à son allure
A la comète éparse en lente chevelure,
A ses pieds, sur la vague, en verdâtres moulures.

*

Se chauffer comme un bon lézard
Aux rythmes raffinés des arts;
Sur les doux divans des hasards,
Dominer son rêve en César;
Finir loin des ports en jongue bizarre,

Jeszcze jeden „poemat“ (str. 65):

— Park milczenia, nieprzejrzystość — Śmiertelna ślepota mojego ja — Ku buduarom wybitym jedwabiem — Podąża jego (czy jej?) szczerość. — W tej chwili był bal rozbrzmiewający — Potem szeroka przestrzeń liliowych fal—I przytłumienie omdleń synowskich — I dyskretne szalone wołania tryumfu — Parku milczenia, w którym wszystko jest zamknięte — Łagodny tryl wznosi się ku niebu — Zakochują się czyste substancye duszy: srebrne, dyskretne dzwoneczki rozbrzmiewają — Bieg somnambuliczny ku przepaściom.

Parc du silence, opacité
Mortelle cécité du soi,
Vers les boudoirs, tendus de soie
Volète sa sincérité

*

Tout à l'heure c'était sonoraut le bal
Puis, legra, la vague aux nappes filiales,
Et l'assourdissement de langeurs filiales,
Et les discrets appels du triomphal.

*

Parc du silence ou tout est clos,
Une trille lent volète aux cimes,
S'enamourent les purs azymes
De l'âme: argentins, discrets tintent des grelots.
Course somnambulique aux abymes.

I tak dalej przez stron 171. Wszędzie ten sam szum niezrozumiałych dla przeciętnego śmiertelnika określeń i obrazów, wszędzie dziwaczne, dawno zapomniane słowa, których znaczenia trzeba szukać w specyalnych encyklopedyach. Tu i owdzie

mignie czasem słaby odblask jakiegoś sensu — można się czegoś domyślić, złączyć kilka zdań w całość logiczną — ale dzieje się to bardzo rzadko.

Dekadenci, przekonani o swojej niezbadanej głębi, nie domyślają się nawet, jak łatwo sięgnąć za ich wskazówką po laury wielkiego poety.

Potrzeba np. artyście obrazu symbolicznego wsi podczas żniw. Oto on:

I poczwórne fornalki śpieszyły na pole — Trzy prosięta kąpały się w kałuży — Jastrząb krąży nad skrajem lasu — We dworze zamknięto drzwi i okna szczelnie przed muchami — Kaśka palnęła przy snopkach Wojtka w kark — Ekonom ocierając pot z czoła, kopnął psa — O, jak niecierpię gorąca lipca!...

Albo zima na wsi:

— Stangret klnie na koźle i dmucha w ręce — Dziedzic gra z gośćmi w winta — Chłop rąbie drzewo, tupiąc nogami — Dziewka leci przez podwórze jak opętana — Kuropatwy, sieroty zagrzebały się na polu w śniegu — Jastrząb siedzi osowiały na sośnie — W kuchni gotuje się bigos... O, jak zimno na dworze!...

Gdzie „głębia“ w tych drwinach? zapytają dekadenci, przepaścistość“ Kahn'a, Ghil'a i in...? Zaraz będzie i... głębia tak głęboka, iż nawet symbolista nie dojrzy jej dna.

— Ku dalekim błękitom biegnie jego łza, w której — przegląda się wieków i milionów pragnienie — Słowik siedzi na gałązce bzu i kwili — Dusza rozpływa się, jak woń róży stulistnej — Leżeć na miękkiej kanapie i patrzeć — Przez okno księżyc, wyszedłszy z siebie — O, co za rozkosz nad rozkosze!

Cóż to takiego?! To marzenie, tęsknota, niedomyślny czytelniku.

Skoro tak łatwo o symbole, to zapewne trudniej o instrumentacyę słowa, o muzykę. Zastosowując receptę Ghil'a, można się bawić następującemi kombinacyami:

— Anno, oddano was Bogu, byście Panu Panów służyli, cna dziewo! Dość marzenia niemego, dość spazmowania, lamentu...

Nie tak... źle. Zachodzi zbyt często *u* i *n* (wątpliwość), *i* żałoba, boleść), *s* (gwałtowność), a miała być instrumentacya symbolu wspaniałości, przeto należało użyć częściej *a*, *o*, *m*, Więc:

— Anno, oddam wam Boga, mama domaga... plama duchowa — o, moja dziewo, modlitwa to rozkosz, cnota...

Gdy jakie słowo zawadza — opuszcza się je; gdy się zdanie nie klei — urywa się myśl i robi się jakiś dowolny znak pisarski; w razie potrzeby nie zważa się nawet na takie błahostki, jak przypadki, liczby. Byle słowa grały — zadanie poety spełnione.

E i *i* uzmysławiają boleść, żałobę, a w połączeniu z *f*, *l*, *s*, wydają tony przeciągłe, tęsknę. Naprzykład:

— Leniwie wlecze się wieczór jesienny; wtorują mu spojrzenia, mdlejące za welonem znudzenia; flety kwilą omdlałem kwileniem, ciche powiewne, senne, faliste...

Tak mniej więcej wygląda w karykaturze instrumentacya słowa.

Nie wszyscy dekadenci współcześni wiedzą prawdopodobnie, iż tajemnicę ich znali już Grecy i Rzymianie. „Bo instrumentował“ stary mistrz łaciński, gdy pisał: *Quadrupedante putrem sonitu quattit ungula campum.* Głównie czasy Antoninów, epoka dojrzałego rozkładu moralno-umysłowego, obfituje w podobne sztuczki techniczne.

A filozofia dekadentów, ich doktryna, tendencye?...

Paweł Burget, w pierwszej połowie swojej działalności autorskiej, przyjaciel fosforescencyi zgnilizny,“ określa dekadentyzm w sposób następujący:

— Przez dekadentyzm rozumiemy taki stan społeczny, który wytwarza zbyt wielką ilość jednostek, niezdolnych do pracy gromadnej. Społeczeństwo jest podobne do organizmu. Jak on, składa się i ono z mnóstwa części drobniejszych, a te znów rozpadają się na mnóstwo komórek. Jednostka jest komórką społeczeństwa. Aby się cały organizm rozwijał prawidłowo, potrzeba karnego współdziałania wszystkich organizmów drugorzędnych, rozwój zaś organizmów drugorzędnych zależy znów od karnego (*subordonnée*) współdziałania komórek. Jeżeli się komórki wyzwalają z pod prawa ogólnego, wówczas przestają i organizmy podrzędne służyć całości, z tą zaś chwilą rozpoczyna się anarchia, czyli dekadencya. Jednostka psuje się pod wpływem dobrobytu i dziedziczności [1]).

---

[1]) Paweł Burtet „Essais de psychologie contemporaine“, 1887, str. 24 i 25.

Dekadencya zaczyna więc to samo, co rozprzężenie jakiejś całości... jej rozkład. Ale...

— Jeżeli obywatele dekadencyi tracą znaczenie jako robotnicy przy budowie wielkości kraju, przewyższają natomiast ludzi epok zdrowych, jako artyści wewnętrzni ducha (*comme artistes de l'intérieur de leur âme*). Niezręczni pracownicy prywatni i publiczni są majstrami samotnej myśli (*trop habiles à la pensée solitaire*). Niezdolni na ojców przyszłych pokoleń, stają się wirtuozami, wprawdzie bezpłodnymi, ale za to rafinowanymi — wytwornych wrażeń i rzadkich uczuć, cierpień i rozkoszy smakoszami. Jeżeli nie potrafią wierzyć głęboko, to tylko dlatego, że przecywilizowana ich inteligencya (*trop cultivée*), obiegłszy wszystkie idee wokoło i pozbywszy się przesądów, dotarła do tej najwyższej równowagi, która uznaje wszelkie doktryny, a wyklucza wszelkie fanatyzmy. Nie ulega wątpliwości, iż wódz germański II stulecia umiał lepiej zdobywać *imperium*, aniżeli patrycyusz rzymski bronić jego całości, lecz rzymianin, wykształcony i wytworny, ciekawy i zużyty, taki np. jak cesarz Adryan, wielbiciel Tibura, był za to doskonalszym typem człowieka. Wielkim argumentem przeciw dekadencyi ma być ta okoliczność, że epoki upadku nie posiadają jutra, zgniatane zawsze przez barbarzyństwo. Ale nie jestże ostateczna klęska fatalnym losem wszystkiego, co rzadkie i wytworne [1]).

Wytwornym więc i rzadkim okazem rodu ludzkiego ma być dekadent, podług Bourget'a. Chociaż nie służy nikomu, nie zdolny do żadnej pracy, jednostkowej, czy gromadnej, mimo to należy się mu wywyższone wpośród „motłochu" stanowisko.

To samo zdanie podzielają wszyscy dekadenci we współczesnej literaturze europejskiej. Wszystkim zdaje się, że wyrośli ponad „tłum", którym mają prawo gardzić. Arystokracyą się zowią, inteligencyą inteligencyi, ostatnim wyrazem cywilizacyi bieżącego stulecia. Wierzą, iż są najdoskonalszym typem człowieka cywilizowanego i patrzą z bezbrzeżną pogardą z wyżyn swoich „wybrednych" upodobań na przeciętnego śmiertelnika. Obce im są cele i obowiązki gromad ludzkich, zwanych społeczeństwem. „Artyści wewnętrzni ducha", wirtuozowie „wytwornych wrażeń, rzadkich uczuć, cierpień i rozkoszy," drwią z przymiotów tak grubych, jak cnoty domowe i obywatelskie. Życie

---

[1]) Paweł Burget, jak wyżej str. 27 i 28.

polityczne i społeczne nie obchodzi ich nic. Najwyższą radością „najdoskonalszego typu“ jest pokonanie literackich trudności technicznych, a jedynym celem wnikanie w pragnienia duszy rafinowanej. „Wygrzewać się jak dobra jaszczurka w rafinowanych rytmach sztuk“ — radzi Kahn. Morice skarży się na politykę, prasę, handel, przemysł, które „zagłuszyły piękno“ i gniewa się na służbę wojskową, odrywającą arystokratę ducha od wykończenia dwuwiersza. Podług Mallarmé'go istnieje świat tylko na to, aby mógł posłużyć do napisania ładnej książki.

Chore samolubstwo jest pierwszym rysem znamiennym psychologii dekadenckiej. Niech ludzkość przepadnie, byleby jej program nie przeszkodził moim upodobaniom. Obojętne mi są cierpienia i rozkosze milionów...

Z tego egotyzmu wypływa podkreślana ciągle w dziełach dekadenckich pogarda dla „tłumu“, dla motłochu“. Plebejuszem nazywa się każdy, kogo nie zajmują: symbole, instrumentacya słowa, rytmy rafinowane.

Laissons le rustre, l'immonde
Ignorant dénier à notre Appolon le prix
Des larmes, pour ce qu'il est si bien appris
A couvrir de beauté la misère du monde.
Rions nous d'eux, mon Raymond, qu'un noble jeu
Couronne de rameaux légers
(Comme des garçons bécagers)
Nos coeurs pareils aux Cyclopes amis du feu—

pociesza Moréas Rajmonda de la Tailhède („Le Pèlerin Passioné“ str. 87). Nie zważaj na ordynaryjnego brudasa, który nie umie ocenić sztuki Apollina. „Mówiąc o sztuce nie można uwzględnić wielkich mas, one bowiem nie myślą samodzielnie i przedstawiają jedynie cyfrę“—uczy Anatol Baju („L'école décadente, wyd. II, str. 9).

Z pogardy dla „motłochu“ wynika niejasność dzieł dekadenckich. Kto nie pisze dla ludzi przeciętnych, ten nie potrzebuje się troszczyć o jasny wykład. Wtajemniczeni zrozumieją się i bez kropki nad *i*, a nietylko rozumieją się, lecz wolą nawet, gdy artysta potrąca zaledwo o symbol, zamiast go całkowicie odsłonić, „nazwać bowiem przedmiot — oświadcza Mallarmé — znaczy to samo, co stłumić trzy czwarte przyjemności poematu,

polegającej na szczęściu stopniowego domyślania się. Poddać przedmiot, oto marzenie."

Dekadenci „poddają" obrazy, idee, typy. Nic ich to nie obchodzi, że owo poddawanie naprowadza głowę zdrową rzadko na przedmiot właściwy.

Receptę tę wcielają nie sami tylko poeci. I ci z pomiędzy dekadentów, którzy posługują się także prozą (Kahn, Morice, Ghill) wyrażają się w taki sposób, że trzeba ich dopiero tłumaczyć na język zrozumiały. Rhené Ghil np. rozpoczyna swoje „dzieło" („Oeuvre") w sposób następujący: „Ale poezyom obcy, medytacya poety o Poecie, zakochanym w racyonalnym i milczącym marzycielu, jakim mi się być podobało: od pierwszego zdarzenia w życiu umysłowem, moja nienawiść przypadku mówi tak. — W epokach naszej historyi rymotwórczej, z wrażliwości i uczucia jedynie, była, za przykładem innych metod sztuki, była metaforycznem notowaniem z wszechpotężnem uwzględnieniem chwili rozkoszy, albo boleści intuicyjnych i egoistycznych osobistości poprostu genialnych. Poezya: a więcej, możnaż powiedzieć myśl, i nie sąż naiwne, niezwykłe i niebezpieczne wyobraźnie rozmyślne, które w daremnej napuszoności rozszerzały i troskę i pragnienie szczęścia kłamliwego i nieświadomego, zwyczajne widziadła nocy i rajów, w których nicości miały miejsce i przechodziły świetność i zło teogonii, miłości, przestrachu! i t. d.

Chyba to żarty! Bynajmniej, bo oto oryginał: „Mais aux Poésies étrange, méditation de poète du Poète épris de rationnel et du silent méditateur, qu'il me plut être: dès la prime aventure en la vie d'ésprit ma haine du hasard dit ainsi. — Aux Ages de notre histoire versifiante, de sensation et de sentiment uniquement, a été, á l'instar d'autres manierès d'art, à été métaphoriques notations au gré omnipotent de l'heure de volupté ou de douleur d'intuitives et égoïstes personalités nûment géniales! La Poésie: et plus haut, peut-on dire pensée, et ne sont-elles ingénues et extravagantes et dangereuses imaginations à propos, qui en l'emphase vaine propageaient et regret et dèsir d'un heur mensonger et ignorant, les ordinaires vision de nuits et de paradis en le néant desquels avaient lieu et passaient le lustre et le mal de théogonies d'amour et d'effroi!...

Niktby nie uwierzył, że ten barbarzyński żargon, ta gadanina obłąkanego, zachwyca umysły „wytworne", „typy dosko-

nałe“ głębią i gienialną suggestyą, która sprawia im rozkosz niepospolitą. Bo na dnie tych szumnych słów, zestawionych bez łączników, złożonych dowolnie z rozmyślnem lekceważeniem składni, popstrzonych dziwaczną interpunkcyą, majaczy wistocie jakiś sens, jakaś teorya, ale tak zawiła i chora, iż nie warto jej nawet objaśniać. Niech „arystokraci ducha“ ślęczą nad takiemi łamigłówkami. „Plebejusze“ obędą się doskonale bez mądrości dekadenckiej.

Nic zresztą ciekawego w tej filozofii „doskonałego typu“. Odgrzewa ona stare, odwieczne halucynacye epok chorych—jest mistykiem w najgorszym gatunku.

Za przykładem Verlaine'a roztapiają się najmłodsi dekadenci w nabożności tak rozkochanej w kadzidłach, jarzących się świecach, w płaczu organów, w jęku dzwonów, iż czuć od niej zdaleka sztuczność. Ta robiona religijność (wiadomo, że i Baudelaire był wyznawcą katolicyzmu) nie chroni potomków „wielkiego przodka“ bynajmniej przed lubieżnością. Moréas „śpiewa“ między innemi: [1])

N'ai-je pas promené ma main
Avec des luxures d'artiste
Sous des chemises de batiste
Embaumant l'ambre et le jasmin?

Sui generis nabożność dekadentów, powołująca się na zdanie Verlaine'a, który twierdzi, że „człowiek mistyczny i zmysłowy zostaje zawsze człowiekiem intellektualnym w różnych przejawach tej samej myśli, która ma swoje wyżyny i niziny“ (zrozum, kto może!), występuje najplastyczniej w powieści Huysmans'a „Là Bas.“

Kończąc charakterystykę współczesnego dekadentyzmu francuskiego, należy połączyć jego dziwactwa z Baudelaire'em, którego potomkiem się mianuje. Dopiero w takiem oświetleniu nabierają jego „reformy“ znaczenia literackiego. Rozpatrywane jako szkoła sama w sobie, jako „wskazówki dla przyszłości,“ robią one wrażenie wybryku studenckiego.

Teofil Gauthier, jeden z pierwszych, który rzozumiał bardzo dobrze, dokąd zmierza zmęczony kilkowiekowym krytycyz-

[1]) Jan Moréas; „Les Syrtes“; wydanie nowe; 1892 r. str. 18.

niem duch cywilizowanej ludzkości, broniąc Baudelaire'a, mówił: „Literatura jest jak doba: ma ona swoje rano i południe, swój wieczór i swoją noc. Zamiast rozprawiać podaremnie o tem, co lepsze, czy jutrzenka, czy zmrok — trzeba malować tak, jak się tego domaga chwila obecna i posługiwać się paletą, zaopatrzoną barwami, tej chwili potrzebnemi. Czyż zachód nie może być równie pięknym, jak wschód? Nie przedstawiają-ż owe blaski miedzianoróżowe i zielonozłotawe, owe tony turkusów, zlewające się z szafirami — wszystkie te odcienia, palące się i rozkładające w ostatecznym wielkim pożarze, te obłoki dziwacznych i potwornych kształtów, przeniknięte błyskami świetlanymi, robiące wrażenie olbrzymiego zapadania się Babelu powietrznego — nie przedstawiają-ż one tyleż poezyi, ile różowopalca Aurora?“ [1]).

Zmrokiem wieczornym, zachodem słońca, nazwał Gauthier chwilę, która wydała „Kwiaty zła“ Baudelaire'a. Blaski młodej cywilizacyi nie rzucały już na nią swoich łun różowych — poczynający się dzień nie owiewał jej wonnem tchnieniem swieżości. Jęki i przekleństwa długiego szeregu zawiedzionych pokoleń unosiły się nad nią, spoczynku wzywając.

Spadkobierca kilkuwiekowego krytycyzmu, wielkiej rewolucyi, łez romantyków i rozczarowań materyalistów, pozbawiony pociechy religii i szlachetnych wskazówek idealnego na świat poglądu, Karol Baudelaire nie wierzył w dobroć ludzkości. Cnota i miłość, obowiązek i honor, rodzina i uczciwość, poczucie łączności ze społeczeństwem i służba obywatelska... nie mówiły już do niego nic, były dźwiękami pustymi. Gdy się urodzony sceptyk rozejrzał wokoło i porównał swoje marzenia z rzeczywistością, wówczas odwrócił się od niej ze wstrętem. Bo dokądkolwiek spojrzał, wszędzie dostrzegał tylko kłamstwo, niezgodę między zalecanemi hasłami a ich wcieleniem. Słyszał pospolitych samolubów, rozprawiających o ofierze, widział łotrów, strojących się w maskę prawości, zbrodniarzów, oburzających się na drobne przewinienia. Lubieżnicy udawali idealnych kochanków, wiarołomni mężowie kapłanów ogniska domowego, rozwiązłe żony czyste westalki. Kupiec oszukiwał odbiorcę, chlebodawca wyzyskiwał robotnika, mocny słabego, bogatszy uboższego. A ca-

[1]) Karol Baudelaire; „Oeuvres Complètes“; ostatnie wydanie Lemerre'a; str. 19.

ła ta gromada, mająca ciągle na ustach wielkie słowa i szlachetne cele, dążyła, spychając się, raniąc, mordując po drodze, do jednej mety... do pieniędzy i używania zmysłowego.

Rzucił się i Baudelaire w objęcia rozkoszy tej ziemi, ale i tu doznał zawodu. Brud i błoto znalazł sceptyk, szyderca, gdzie inni widzieli kwiaty, blaski i poezyę. Człowiek zresztą nie może użyć tyle, ileby chciał, siły bowiem jego określają ściśle granice żądzy. Kto przekroczy miarę dozwoloną, ten płaci za zuchwalstwo utratą zdrowia, ten cierpi.

Więc cóż warto życie, cóż człowiek? Nic! Cóż cywilizacya, która nie ulepszyła ani życia, ani człowieka? Również nic! Co Fatum, któremu się podobało stworzyć ludzkość? Znów nic!

Przeto należy oplwać człowieka, jego rozkosze, złudzenia i cele, — życie, jego nikczemność, — cywilizacyę, jej kłamstwo, Fatum — jego okrucieństwo.

Oto „Kwiaty zła“ Baudelaire'a.

„Zgrozą przepełnia mnie ta cała hałastra nowoczesna — pisał Baudelaire do Ancelle'a [1]) — zgrozą wasi akademicy i liberałowie, — zgrozą cnota — zgrozą wasz styl i postęp...“ Podli jesteście wszyscy, głupi i obłudni wszyscy kłamiecie, odurzając się hasłami, w które nie wierzycie.

Całą szlachetność i poezyę życia oplwał ponury geniusz Baudelaire'a i zdarł z człowieka płaszcz purpurowy złudzeń, utkany przez pracę wieków. Nawet rozkosz zmysłową zohydził, gdy się przekonał, że i ona zawodzi.

Baudelaire wyśpiewał, wykrzyczał wszystko, co czuje oszalały z bólu krytycyzm i zrozpaczone samolubstwo zmysłów rozpętanych z więzów religii i obowiązku. Pesymizm na tle materyalizmu nie mógł już do „Kwiatów zła“ dorzucić ani jednego listka. Rozległy geniusz Baudelaire'a ogarnął całą nędzę życia ludzkiego.

Ale wielcy mistrzowie nie przechodzą bezpotomnie.

Z posiewu ich wykwita zawsze pokolenie epigonów, rozbierających pomiędzy siebie spuściznę początkodawcy kierunku. Verlaine wziął po Baudelairze sceptyczną zmysłowość i chorobliwy mistycyzm, Rollinat patologiczne upodobania i strachy neurastenika, Richepin — bluźnierstwo. Żaden z nich nie do-

[1]) E. Crépet; j. w str. LXXXV.

sięgnął siłą i szczerością miary mistrza. Rozwałkowali oni tylko, rozwodnili poszczególne rysy jego indywidualności.

Gdy po Verlainie, Rolinacie i Richepinie przyszło nowe pokolenie poetów, wywodzące się z ducha Baudelaire'a, nie zostało już dla niego nic, oprócz właściwości technicznych „wielkiego przodka", i rzucili się najmłodsi dekadenci na „nastrojowość" i „symbolizm", robiąc z nich to, co uczynili Verlaine z mistycyzmem, Rollinat z newrozą, a Richepin z bluźnierstwem — karykaturę. Jeżeli Baudelaire widzi z innych światów owoce sztuczek artystycznych, to zaciska prawdopodobnie pięści z gniewu i mruczy: zgrozą przepełnia mnie ta śmieszna hałastra, która się do mnie przyznaje.

VI.

Maurycy Maeterlinck.

Czytelnicy paryskiego „Figara“ dowiedzieli się któregoś wieczoru (w r. 1890) z artykułu znanego beletrysty i krytyka, Oktawiusza Mirbeau, że w Belgii narodził się i kwitnie geniusz, któremu należy się cześć całego świata cywilizowanego.

— Nie wiem nic o p. Maurycym Maeterlincku—pisał Mirbeau. — Nie wiem skąd on jest i jak się nazywa. Młody czy stary, bogaty czy ubogi, nie wiem. Wiem tylko to, że nie ma człowieka więcej odeń nieznanego. Wiem także, iż stworzył arcydzieło, — nie arcydzieło z góry jako takie etykietowane, podobne do tych, jakie codziennie wydają nasi młodzi mistrzowie, wygrywający je na wszystkich tonach skomlącej liry, lub raczej skomlącego fleciku spółczesnego— lecz arcydzieło cudowne, czyste, wiekuiste... arcydzieło, wystarczające do uśmiertelnienia twórcy i ubłogosławienia jego nazwiska przez wszystkich spragnionych piękna i wielkości; arcydzieło, o którego napisaniu wielu artystów sumiennych i udręczonych marzyło niekiedy w chwilach entuzyazmu, a jakiego żaden dotąd nie napisał. Jednem słowem p. Maurycy Maeterlinck dał nam najgenialniejsze dzieło zarazem najniezwyklejsze i najnaiwniejsze, dające się porównać, a nawet — znajdźmy śmiałość to wyznać —

co do piękności od wszystkich najpiękniejszych rzeczy w Szekspirze [1]).

Tem „arcydziełem cudownem, czystem, wiekuistem“, tem „najgenialniejszem dziełem epoki“ ma być Księżniczka Malena“ Maurycego Maeterlinck'a.

Rozumie się, że po tak bezprzykładnym w rocznikach krytyki hymnie pochwalnym, nieznany wczoraj autor stał się dziś rozgłośnym. Zaczęto się dopytywać o dzieła wielkiego belga, o jego przeszłość literacką i o życie prywatne.

Bogatej przeszłości literackiej nie miał za sobą twórca „Księżniczki Maleny.“ Znawcy współczesnej poezyi francuskiej objaśnili publiczność, że Maurycy Maeterlinck pomieścił w „Parnasie młodej Belgii“ (Parnasse de la Jeune Belgique), wydanym w Paryżu w r. 1887, dwanaście drobnych poematów (Tentations, Oraison, Offrande obscure, Oraison nocturne, Reflets, Fauves las, Feuillage du coeur, Serre d'ennui, Visions, Lassitude, Ronde d'ennui, Desirs d'hiver,) do których dodał w dwa lata później dwadzieścia jeden innych, połączywszy je pod wspólnym tytułem „Serres chaudes“ (1889 r.).

Zaraz pierwszy poemat owego cyklu, od którego reszta wzięła tytuł, zdumiewa przeciętnego śmiertelnika do tego stopnia, iż nie umie on sobie zdać sprawy z doznanego wrażenia. Mowa to człowieka zdrowego, alboli też majaczenie biedaka, któremu gorączka odebrała przytomność? A może to kaprys, żart poety?... Bo oto, jak Maeterlinck „śpiewa“ w „Cieplarni“ (Serre chaude):

O, cieplarni pośród lasów!
I te drzwi twoje na zawsze zaparte!
I wszystko to, co się znajduje pod twoją kopułą!
I pod mą duszą w twoich analogiach!

*

Myśli głodnej królewnej,
Nuda żeglarza w pustyni,
Muzyka istrumentów miedzianych pod oknami nieuleczalnych.

*

[1]) Nie mając pod ręką oryginału, powtórzyłem ustęp z artykułu Mirbeau'a za Zenonem Przesmyckim, który dołączył do „Wyboru pism dramatycznych“ Maeterlincka (Warszawa, 1894 r.) obszerne studyum o poezyi belgijskiej. (*Przyp. aut.*)

Idźcie ku kątom najbardziej wystygłym!
Rzekłbyś kobieta zemdlona w dzień żniwa,
Pocztylioni są na dziedzińcu gospody,
W dali przechodzi łowca łosiów, który został dozorcą chorych.

*

Przypatrzcie się przy świetle księżyca!
(Och, nic tam nie jest na swojem miejscu!)
Rzekłbyś kobieta szalona przed sądem.
Statek wojenny z rozwiniętymi żaglami na kanale,
Ptaki nocne na liliach.
Dzwon pogrzebowy w południowej porze,
(Tam pod tymi dzwonami szklannymi!)
Postój chorych na łące,
Zapach eteru w dzień słoneczny.
Mój Boże, mój Boże, kiedyż będziemy mieli deszcz,
I śnieg i wiatr w cieplarni.

No niezawodnie żart autora, pomyśli czytelnik, przywykły do poezyi Sofoklesów, Horacyuszów, Tassów, Szekspirów, Goetych, Szyllerów, Byronów, Mussetów, Mickiewiczów, Słowackich i innych rymotwórców przeszłości. Maeterlinck chciał się zabawić kosztem naiwnych, uwielbiających wszystko, co drukowane, jak Rimbaud, gdy pisał swój sonet p. t. „Voyelles“. Ale nie żart to, żartu bowiem udanego nie powtarza się, „genialny“ zaś belg obrazuje w ten sposób jeszcze w kilku innych poematach („Cloches de verre“; „Ame“; „Hôpital“, „Cloche a plongeur“; „Regards“; „Attouchements“).

„Szpital! szpital na brzegu kanału! — skarży się, płacze, śmieje (bo nie wiadomo co) Maeterlinck w „poemacie“ p. t. „Szpital“ (Hôpital).

Szpital w miesiącu lipcu!
Zapalają ogień w sali!
Podczas kiedy Transatlantyki gwiżdżą na kanale!
(O! nie zbliżajcie się do okien!)
Emigranci przechodzą przez pałac!
Widzę jacht podczas burzy!
Widzę gromady na wszystkich okrętach!
(Lepiej, aby okna były zamknięte,
Jest się prawie ochronionym przed tem, co jest na zewnątrz).
Ma się pojęcie cieplarni na śniegu,
Zdaje się, że się obchodzi wywód w dzień burzy.
Spostrzega się rośliny, rozrzucone na kołdrze wełnianej.
Jest pożar w dniu słonecznym,

A ja przechodzę przez las pełen rannych.
O! oto nareszcie noc księżycowa!
Strumień wody wznosi się pośrodku sali!
Gromada małych dziewczątek odchyla drzwi!
Dostrzegam jagniątka na wyspie z łąk!
I piękne rośliny na lodowcu!
I lilie w przedsionku marmurowym!
Jest festyn w lesie dziewiczym!
I wschodnia roślinność w grocie lodowej!
Słuchajcie! Otwierają szluzy!
A Transatlantyki poruszają wodę kanału!
O! Ale siostra miłosierdzia, rozniecająca ogień!
Wszystkie piękne zielone trzciny stromych brzegów płoną!
Statek z rannymi kołysze się w świetle księżyca.
Wszystkie królewne są w łódce wśród burzy!
I księżniczki umrą na polu cykuty!
O! nie odmykajcie okien!
Słuchajcie! Transatlantyki gwiżdżą jeszcze na horyzoncie!
Otruwają kogoś w ogrodzie!
Obchodzą wielką uroczystość u przyjaciół!
Są jelenie w mieście oblężonem!
I menażerya wpośród lilii!
Jest roślinność podzwrotnikowa w głębi kopalni węgla!
Gromada owiec przechodzi przez most żelazny!
I jagnięta z łąk wkraczają smutne do sali!
Teraz siostra miłosierdzia zapala lampy,
Przynosi posiłek chorych,
Zamknęła okna, wychodzące na kanał,
I wszystkie drzwi na światło księżyca.

Aby kto nie sądził, że przekład polski zaciera formę i fałszuje treść oryginału, należy jeszcze przytoczyć trzeci „poemat“, ale w języku francuskim. Np. „Cloche a plongeur“.

O, plongeur à jamais sous sa cloche!
Toute une mer de verre éternellement chaude!
Toute une vie immobile aux lents pendules verts!
Et tant d'êtres étranges à travers les parois!
Et tout attouchement à jamais interdit!
Lorsqu'il y a tant de vie en l'eau claire au dehors!
Attention! l'ombre des grands voiliers passe sur
les dahlias des forêts sousmarines;
Et je suis un moment à l'ombre des baleines
qui s'en vont vers le pôle!
En ce moment, les autres déchargent sans
doute, des vaisseaux pleins de neige dans le port!
Il y avait encore un glacier au milieu des prairies des juillet!

Ils entrent à midi en des grottes obscures!
Et les brises du large éventent les terrasses!
Attention! voici les langues en flamme du Gulf Stream!
Ecartez leurs baisers des parois de l'ennui!
On n'a plus mis de neige sur le front de fiévreux;
Les malades ont allumé un feu de joie
Et jettent à pleines mains les lys verts dans les flammes!

I tam dalej... jeszcze przez wierszy czternaście majaczy Maeterlinck w ten sam sposób.

Więc to nie żart, nie chwilowy kaprys, wybryk dobrego humoru, lecz metoda, składająca takie dziwactwa rozmyślnie i ze świadomością!...

Zenon Przesmycki, najlepszy u nas znawca dekadentów belgijskich i gorący wielbiciel Maeterlinck'a, zużył bardzo dużo mądrych słów, usiłując wmówić w naiwnych, ze „Cieplarnie“ są książką niezwykłą, zdumiewającą „głębiami zawrotnemi“. Bo „jak w puszczy dziewiczej, pod gęstymi splotami lian, głogów, cierni i pokrzyw, tak kryją się i w „Cieplarniach“ kwiaty olśniewającej piękności i przyjemnej woni, ale i w nich też, tak samo, jak w puszczy dziewiczej, tylko pioner, znający się dobrze z tą podzwrotnikową roślinnością symbolów, potrafi się obrócić. Zwykły czytelnik - wędrowiec cofnie się częstokroć z osłupieniem przed chaotyczną gęstwiną analogii, nie czując się na siłach do przebycia jej bez przewodnika, umiejącego według oznak charakterystycznych odszukać tropy myśli“ [1]).

Być może, iż oprócz Przesmyckiego, znajduje się i w naszym kraju jeszcze kilku, kilkunastu „arystokratów ducha“ wyjątkowo utalentowanych, którym rozwiązywanie takich niesmacznych łamigłówek, sprawia „rozkosz rafinowaną, niezwykłą“; znakomita jednak większość tak naszej, jak inteligencyi innych społeczeństw cywilizowanych, nie ma wcale ochoty i potrzeby doszukiwać się, wyczuwać w obłąkanej gadaninie pierwszego z brzegu histeryka owych „kwiatów olśniewającej piękności i przejmującej woni“, które mają się ukrywać pod „gęstymi splotami lian, głogów, cierni i pokrzyw“.

Ta znakomita większość, ci „zwykli czytelnicy-wędrowcy“, czyli „plebejusze“, „motłoch“, „tłum“, wyrażając się terminem

---

[1]) Maeterlinck, „Wybór pism dramatycznych“, Warszawa 1894. „Wstęp“ str. XI.

dekadentów, nie „cofają się bynajmniej z osłupieniem przed chaotyczną gęstwią analogii, nie czując się na siłach do przebycia jej bez przewodnika“, lecz bawią się zrazu doskonale „głębią“ Maeterlinck'a, jak czemś bardzo śmiesznem, a następnie odsuwają książkę, aby do niej więcej nie wrócić.

Co Przesmycki mówi o symbolistyce francusko-belgijskiej, warto powtórzyć, objaśnienia bowiem jego rzucają fosforyczne światło na chaos pojęć estetycznych chwili bieżącej.

— Dzięki długiej tradycyi i nawyknieniu do myślenia abstrakcyjnego — mówi Przesmycki — to ostatnie wydaje się nam pierwotnym, właściwym sposobem odbierania i oddawania wrażeń. Tak wszakże nie jest. Wrażenia nasze są natury konkretnej — w pierwszych stadyach rozwoju intelektualnego ludzie oddawali je również konkretnie, obrazowo. W miarę formowania się i rozwijania pojęć abstrakcyjnych, świeżość bezpośrednich, obrazowych wrażeń słabła, obumierała, odcienia ich zarówno zewnętrzne, jak wewnętrzne zacierały się, poczęto machinalnie każdą, za pośrednictwem któregokolwiek ze zmysłów mózgowi podaną żywą impresyę przetwarzać na martwe pojęcia abstrakcyjne, podciągać pod jedną z kategoryj oderwanego myślenia— i dziś przetworzenie myśli w obraz i zachowanie samego obrazu z odrzuceniem abstrakcyjnych wiązadełek wydaje się czemś nienaturalnem, niezwykłem, sztucznem, późniejszem, gdy tymczasem jest ono właściwie nawrotem do pierwotnego sposobu odbierania wrażeń, do — poprzedzającego oderwane — konkretnego, obrazowego myślenia. Nawrót ten jest rzeczą naturalną u każdego poety. — Poezya — jako wytwór wyobraźni przedewszystkiem — na obrazach wyłącznie się opiera i nie znosi abstrakcyi. Dlatego niema — rzecz można — poezyi bez symbolu; każdy poeta jest mniej lub więcej symbolistą (j. w., str. XLII).

Zdawało się prawdopodobnie Przesmyckiemu, iż wygłaszając spostrzeżenia powyższe, wypowiedział coś niezwykle nowego. Tymczasem o tem, że tworzenie konkretne poprzedziło abstrakcyjne i że wszelka poezya jest poniekąd symboliczną, wie oddawna każdy podręcznik estetyczny. Nikomu z ludzi przeciętnie wykształconych nie „wydaje się“ wcale, iż „myślenie abstrakcyjne jest pierwotnym, właściwym sposobem odbierania i oddawania wrażeń“, nauczono go bowiem już w szkołach prawdy wręcz przeciwnej. Człowiek zaczyna rozpoznawać otaczający go świat nie za pomocą abstrakcyj, lecz za pośrednictwem obrazu.

Ludzie nieucywilizowani, lub pozbawieni krytycyzmu, chłopi, dzicy, obłąkani — nie wychodzą nigdy z ciasnego kółka wrażeń konkretnych. Jeżeli Zulusi, Kafrowie i inni synowie dziewiczych lasów Afryki posiadają jaką poezyę, to jest to niezawodnie „sztuka symboliczna“ w rodzaju eksperymentów ostatnich mistrzów francusko-belgijskich.

— Wyobraźnia Maeterlinck'a — mówi dalej Przesmycki — jest szczególna, nie dzisiejsza, wolna — zda się zupełnie od tyle wrogiego poezyi, a tak rozpowszechnionego obecnie pasorzyta abstrakcyjności. Na podobieństwo natur pierwotnych, spostrzega ona nasamprzód obraz i — rzec można — wyłącznie obraz tylko. Malowidła, jakiemi są jego poematy, przedstawiają żywą notacyę odbieranych przezeń — w plastycznym, zmysłowym kształcie — wrażeń. Nawet pojęcia czysto oderwane przywdziewają u niego szaty malowniczych, podległych zmysłom wizyj. Po za temi ostatniemi dopiero — niekiedy jemu samemu, niekiedy może czytelnikowi zaledwie — otwierają się niezmierzone perspektywy myślowe, sięgające najdalszych, zmysłom niedostępnych, umysłowi niepojętych sfer bytu... Maeterlinck każe patrzeć i odczuwać... Maeterlinck jest malarzem-wizyonistą, obrazy jego nie wrażają nam żadnej wyraźnie zarysowującej się idei, lecz otwierają myślom naszym niezmierzone horyzonty; poematy jego, to wielka wizya świata i życia, która dopiero w duszy stających nagle przed nią czytelników wrzenie potężne wrażeń, uczuć, przeczuć i — wreszcie — myśli rozbudza (j. w. str. XLIV i XLV)... Wszystkie prawie nierymowane ustępy i wiele „Cieplarni“ rymowanych, są zdumiewającemi zawrotną głębią — o ile się w nie wczytać — notatami z olbrzymiego widowiska przejawów nieskończoności, jakie roztoczyło się przed bystrem i żądnem okiem poety (str. LIII). Wszystkie myśli poety grawitują wizonistycznie ku absolutowi, ku nieskończoności, ku wiekuistej, niezmiennej, lecz też najgłębiej ukrytej, na powierzchni dostrzedz się niedającej, zmysłom nieznanej i niedostępnej treści istnienia. Świat przedstawia się mu jako byt jeden całkowity nierozerwalny, powszechny, w którym wszystkie pozornie dywergujące i nieprzebytemi granicami od siebie oddzielone sfery, części i dziedziny są odwiecznie i na wieki powiązane ze sobą, w nieustannej znajdują się korespondencyi, nieustannie wpływają na się i w każdym najdrobniejszym wypadku wzajemnie się odczuwają. Związek ten i harmonię utrzymuje między niemi

wspólny wszystkim bez wyjątku, rzeczywistą wszystkich istotę stanowiący i wszystkie do jednej sprowadzający całości — pierwiastek Nieskończoności (str. XLVIII).

Słowa, słowa, słowa! możnaby zawołać z Hamletem, a słowa miejscami tak „zawrotne głębią zawrotną“, tak ociężałe i z takim wysiłkiem sklecone, iż zaciemniają jeszcze więcej zamiast rozjaśniać tajemnicę twórczości Maeterlinck'a. Zawodzi się w ogóle, kto się od samych dekadentów - symbolistów, lub ich wielbicielów chce dowiedzieć, dokąd panowie ci dążą, czego chcą, o czem marzą.

„Cieplarnie“ Maeterlinck'a mają być „książką niezwykłą, zdumiewającą głębiami zawrotnemi i nowością środków użytych do oddania tych głębin“... Czy tak?

Więc gdy ktoś mówi:

O, cieplarni pośród lasów!
I te drzwi twoje na zawsze zaparte!
I wszystko to, co się znajduje pod twoją kopułą!
I pod mą duszą w twoich analogiach!

*

Myśli głodnej królewnej,
Nuda żeglarza w pustyni,
Muzyka insrumentów miedzianych pod oknami nieuleczalnych.

*

Idźcie ku kątom najbardziej wystygłym!
Rzekłbyś, kobieta zemdlona w dzień żniwa,
Pocztylioni są na dziedzińcu gospody,
W dali przechodzi łowca łosiów, który został dozorcą chorych
[i t. d. —

wówczas „zdumiewa notatami z olbrzymiego widowiska przejawów nieskończoności“... „grawituje wizonistycznie ku absolutowi, ku nieskończoności, ku wiekuistej, niezmiennej, zmysłom nieznanej i niedostępnej treści istnienia“ i odrzuciwszy „abstrakcyjne wiązadełka“ wraca jako artysta do „pierwotnego sposobu odbierania i wyrażania swoich wrażeń?“

Pod względem formy przypominają „Cieplarnie“ Maeterlinck'a wistocie nietylko pierwotny, ale wprost najpierwotniejszy sposób odbierania i wyrażania wrażeń,— owe czasy, w których człowiek mieszkał w jaskini i różnił się bardzo mało od

otaczających go zwierząt. Tylko ludzie, znajdujący się na najniższym stopniu cywilizacyi, zestawiają wyraz obok wyrazu, następnie zdanie obok zdania, nie umiejąc ich połączyć żadnemi „wiązadełkami abstrakcyjnemi“ i przetkać nicią logiczną. Tylko dzicy, posługują się urywanymi obrazami i wykrzyknikami i wierzą, że tworzą poematy, gdy wprawiają szereg słów bez znaczenia w jakiś zaledwie pochwytny rytm muzykalny.

Ale treścią — o ile się w nią można wczytać, wmyślić — odbiegł Maeterlinck bez porównania dalej od poezyi pierwotnej, naiwnej, aniżeli najwięcej abstrakcyjni poeci narodów cywilizowanych. Bo nawet Dante, Wiktor Hugo, Krasiński nie sięgali po obrazy i analogię do mętnego źródła halucynacyi.

Maeterlinck wystawia sobie cieplarnię pośród lasów! — Dlaczego pośród lasów, kiedy cieplarnie bywają zwykle przy ogrodach... A w tej cieplarni są drzwi na zawsze zamknięte. – Dlaczego na zawsze zamknięte?... Widok cieplarni z zamkniętemi drzwiami budzi w nim: myśli głodnej królewnej, uczucia żeglarza, znajdującego się w pustyni, wrażenie muzyki dętych instrumentów pod oknami nieuleczalnych, — pokazuje mu kobietę, zemdloną w dzień żniwa, pocztylionów na dziedzińcu gospody, niewiastę szaloną przed sądem, ptaki nocne na liliach... i mnóstwo drobnych widziadeł.

Dlaczego Maeterlinck doznaje wrażeń, uczuć i dostrzega obrazy, których żaden człowiek zdrowy nie doznaje, nie dostrzega? Komużbo przyjdzie na widok cieplarni na myśl: kobieta szalona przed sądem, rozpacz głodnej królowej, muzyka dętych instrumentów pod oknami nieuleczalnych, ptaki nocne na liliach i t. d. Nawet wino nie działa w taki sposób na wyobraźnię.

Dlaczego, zkąd te wszystkie dziwactwa?... Bo Maeterlinck jest albo wistocie chorym, albo też sztucznie robionym histerykiem, — albo ulega znanym halucynacyom newrozy, lub też naśladuje rozmyślnie jej straszliwe nieraz, a zawsze dziwaczne majaki. Już Baudelaire odtwarzał strachy i przywidzenia neurasteników. To samo czynił Rollinat. Ale pierwszy umiał nawet tak niewdzięczny materyał przetopić na prawdziwą poezyę, na obrazy, wykończone artystycznie, drugi zaś, chociaż nie dorósł mistrzowi, jest zawsze zrozumiałym, wypukłym — daje wrażenie.

Maeterlinck ułatwił sobie robotę; wskazówki sztuki rymo-

twórczej pominął, z logiki zadrwił, zdrowym rozsądkiem wzgardził. Zestawił on poprostu szereg obrazów, uczuć i myśli, nie pozostających ze sobą w żadnym związku — tak, jak mu przyszły do głowy — nie trudząc się ich „powiązaniem abstrakcyjnem," czyli gramatyką i składnią.

Gramatyka, składnia, rytm, rym, sens, całość, zaokrąglona artystycznie — to rzeczy tak błahe, tak sztuczne, iż nie warto ich uwzględniać. „Pierwotny sposób odbierania i wyrażania wrażeń nie był abstrakcyjny", czyli dobrze obmyślany, staranny pod względem formy i treści.

Niezawodnie... Ale nawet „sposób" najpierwotniejszy nie wystawiał sobie „wschodniej roślinności w grocie lodowej," a „roślinności podzwrotnikowej w głębi kopalni węgla", — nie widział „pięknych roślin na lodowcu", „menażeryi pośród lilij," „błądzącego szału cielesnego na jadowitych błoniach zdarzeń," „księżyca, który był cały zielony od żmij", „żółtych psów grzechów," — nie odczuwał „pragnień chorych z głodu" — nie kazał „sercu wysiewać mydlanych baniek snów liliowych," a duszy „wątłemi, woskowemi rękami polewać znużonego światła księżyca" i t. d.

Do tak „zawrotnych głębią" obrazów nie wzniósł się „sposób pierwotny" ani razu, czego dowodem poezya ludowa wszystkich plemion.

Więc nie prostą, naiwną jest fantazya Maeterlick'a, lecz — przeciwnie — sztuczniejszą od najsztuczniejszej, nawybredniejszej wyobraźni poetów cywilizacyi. Lubuje się ona w przenośniach i porównaniach „niezwykłych", „dziwnych", „zdumiewających," grzebie się w mule mistycznym, zanurza się w fantastycznych mgłach ciemnej nocy, widząc rzeczy, których oko zdrowe w dzień jasny nie dostrzega.

Ta właśnie dziwaczność obrazowania Maeterlinck'a jest ową „zawrotną głębią", dostępna tylko dla „arystokratów ducha." Dlatego, że obłąkanej gadaniny autora „Cieplarni" nikt nie rozumie — ma ona być bezdennem morzem mądrości!

Nawet „wybrani", smakosze rafinowanych rozkoszy, nie umieją sobie zdać sprawy z zamiarów Maeterlinck'a.

— Symbolistyka w „Cieplarniach" — mówi Przesmycki (j. w., str. XLV) — jest jeszcze przeważnie n a d e r c h a o t y c z n a i c i e m n a. Analogie zbyt wązkie, zbyt szczegółowe, a skutkiem tego zbyt liczne, niekiedy utrudniają, niekiedy zaś

uniemożliwiają poprostu zoryentowanie się w obrazie ogólnym. Obrazu tego, właściwie mówiąc, nie ma tu nawet jeszcze, jest tylko moc szkiców i studyów do jakiejś wielkiej kompozycyi. Sama kompozycya daje się wprawdzie przewidywać; zbadawszy uważnie składające „Cieplarnie“ utwory, możemy z całą pewnością prawie wnioskować, jaką była idea, czy wizya, absorbująca ducha poety, ale konkretnego, ogarniającego całość odbicia tej wizyi jeszcze nie mamy; szczegóły tylko, partye oddzielne, oświetlenia rozmaite, plany pojedyncze, części najzwyklejsze, lub też najbardziej w cieniu pogrążone, materyały — jednem słowem — do przyszłej budowy. Niektórych jest zbyt wiele, niektórych zamało, ale ze sposobu ich zbierania wiedzieć można, iż jakkolwiek artysta nie jest jeszcze w stanie objąć w wykonanie całości, w wyobraźni wszakże rysują mu się już ogólne, choć jeszcze zamglone zarysy przyszłego dzieła.

Symbolika w „Cieplarniach“ jest przeważnie chaotyczna i ciemna; analogie uniemożliwiają zoryentowanie się w obrazie ogólnym; obrazów, właściwie mówiąc, niema w nich jeszcze, nie ma konkretnego, ogarniającego całość odbicia, autor nie jest jeszcze w stanie objąć w wykonaniu całości, bo rysują mu się dopiero zamglone zarysy przyszłego dzieła... Mimo tych wszystkich wad, których się najmłodszemu nie przebacza nowicyuszowi, mają „Cieplarnie“ być dziełem „zdumiewającem głębią zawrotną, pełnem kwiatów olśniewającej piękności i przejmującej woni“... Jakże pogodzić te dwa sądy, stojące tuż obok siebie? Chyba tylko za pomocą starego spostrzeżenia, które uczy, że gdy ktoś chce w kieliszku brudnej wody dostrzedz koniecznie morze fal błękitnych, to widzi ostatecznie, czego pragnie. Czasy dekadencyi grecko-rzymskiej znają sofistów i retorów jeszcze głębszych“ od Maeterlinck'a. Tak samo epoka mistycyzmu średniowiecznego.

Co wielbiciele „mistrza“ belgijskiego nazywają „zawiotn ścią“, jest poprostu przewrotnością i niedołęztwem głowy chorej, bałamutnej, albo też sztuczką kuglarza literackiego, który zmiarkowawszy, co się obecnie „wytwornisiom“ estetycznym podoba, doprowadził eksperymenty dekadentów francuskich do absurdum.

Zdaje się, że pierwsze przypuszczenie będzie prawdziwe,

oprócz bowiem „poematów“ w rodzaju „Cieplarnia“, „Dusza“, „Szpital“ i t. p. pomieścił Maeterlinck w swoich „Serres chaudes“ kilkanaście drobniejszych utworów, z których snują się gęstemi kłębami wyziewy niezdrowego mistycyzmu.

Oto, jak się Maeterlinck modli („Oraison nocturne“).

Śród modlitw, co zmilkają senne
W miękkiej widziadeł omdlałości,
Słyszę bijące namiętności
I wracającą żądz Gehennę.

*

Widzę miesiąca blask bolesny
Śród zniechęcenia nocnych marzeń;
Na jadowitych błoniach zdarzeń
Widzę błądzący szał cielesny,

*

Czuję, jak pełnią moje szpiki
Żądzą zielonych widnokręgów;
Śród widocznie chmurnych nieba kręgów,
Głód straszny cierpię, głód gwiazd dziki.

*

Czuję jak w duszy mej potoku
Źródło tkliwości grzesznych tryska;
Widzę zwodnicze trzęsawiska
Na widnokręgu w zaćmień mroku!

*

I mrę pod gniewu Twego mocą;
Litości, Panie! mąk zawiele.
Ukaż choremu leków ziele,
Widziane raz miesięczną nocą.

*

Czas, Panie, czas już dni nastały...
I wyciąć trzeba szalej, chwasty!
Widzę przez żądz mych gąszcz kolczasty,
Księżyc od żmij zielony cały.

*

Ból snów napływa wciąż surowiej
Z grzechami swymi w oczy moje;
Słucham, jak biją modre zdroje
Ku Absolutu księżycowi.

Albo („Feuillage du coeur"):

Pod kryształowym modrym dzwonem
Mej melancholii i znużenia,
Drzemią niejasne me cierpienia,
Śpią w sercu mem znieruchomionem.

*

Symbolów samych to roślinność,
Rozkoszy smętne nenufary,
Palmy, żądz moich blade mary,
Mchów chłód, omdlała lian bezczynność.

*

I tylko lilia wznosi w górę,
Blada, surowa, wątła, cicha,
Nieruchomego kształt kielicha
Ponad rośliny te ponure.

*

A w blaskach, które wokół sieje
Jak miesiąc pełny, — ku kryształom
Błękitnym, marą lekką, białą,
Mistyczna jej modlitwa wieje. [1])

I jeszcze jedna modlitwa w języku oryginalnym, przekład bowiem polski, chociażby tak dobry, jak Zenona Przesmyckiego, nie jest w stanie oddać kolorytu Maeterlinck'a. Np. drugi z rzędu utwór, pomieszczony w nowym wydaniu „Cieplarni", Oraison [2]).

Ayez pitié de mon absence
Au seuil de mes intentions!
Mon âme est pâle d'impuissance
Et de blanches inactions.

*

Mon âme aux oeuvres délaissées,
Mon âme pâle de sanglots
Regarde en vain ses mains lassées
Trembler à fleurs de l'inéclos.

---

[1]) Przekład Z. Przesmyckiego.

[2]) Maurycy Maeterlinck; „Serres chaudes"; nouvelle édition; Bruksella, 1890.

*

En tandis que mon coeur expire
Les bulles des songes lilas,
Mon âme, aux frêles mains de cire,
Arrose un clair de lune las;

*

Un clair de lune où transparaissent
Les lys jaunis des lendemains;
Un clair de lune où seules naissent
Les ombres tristes de ses mains

„Nieobecność na progu chęci“ — „dusza blada z białych bezczynności“ — blada od łkań i spoglądająca napróżno na swe dłonie znużone, drżące nad kwieciem nierozkwitłem“ — „polewająca wątłemi, woskowemi rękami znużone światło księżyca, w którem rodzą się jedynie smutne cienie rąk“— „serce wyziewające mydlane bańki snów liliowych“ i t. p. „głęboko pojęte“, „zawrotnie“ pomyślane, obrazy zachwycą może jakiego mistyka, lub zblazowanego dekadenta w rodzaju księcia des Esseintes Huysmans'a („A rebours“), przeciętnego jednak śmiertelnika pobudzą nie do kontemplacyi, lecz do pustego śmiechu.

Jeden z dekadentów, Remy de Gourmont, drwi gdzieś z tych, „co nie chcą rozumieć“. Możnaż rozumieć, albo nie rozumieć takie potworności, jak „duszę, polewającą wątłemi, woskowemi rękami znużone światło księżyca“, albo „serce, wyziewające mydlane bańki snów liliowych“?... Bawić się tylko można sztucznym mistycyzmem Maeterlinck'a, albo litować nad jego chorym mózgiem. Bo takie obrazy trzeba zrobić, gdy się niepostradało zmysłów doszczętnie. Najbujniejsza wyobraźnia, dopóki chce sobie zdawać krytycznie sprawę z doznanych wrażeń, nie zdobędzie się na podobne dziwactwa.

A wcale nie tak trudno wymyślić „głębię“ Maeterlinck'a, jak się jego przyjaciołom zdaje. Wystarcza przypiąć kwiat do kożucha, przyłożyć pięść do nosa, wsadzić but na głowę, kapelusz na nogi, pluć na biurko, kąpać się w rynsztoku, nazwać matkę ciotką, ojca pradziadkiem, gołębia kurą, słowem czynić i wyrażać się inaczej, jak wszyscy ludzie.

„Spojrz na żółtą duszę moją, o Panie — I na serce, które jęczy w splotach miedzianych żmij — I ulituj się nad czarnemi łzami, — Bo czarne łzy bolą, o Panie.

— Spojrz na ręce moje, o Panie, — na ręce krzyczące w niebogłosy, o Panie, — Na ręce, umierające z głodu znużonych gwiazd — O, Panie, płaczących jagniątek rozkoszy.

— Serce moje, zdeptane na progu niedołęztwa, — Dusza moja, stoczona przez mrówki żółtych grzechów, — Ciało moje, wyniszczone w boju ze słodkiemi kwiatami rozpusty — Wyciąga do ciebie schwacone nogi, o Panie.

— Dusza moja, niebieska od łkań, zielona od konwulsyj, — Zmęczona polewaniem znużonego światła księżyca, — dusza moja, pijana wyziewami grzesznych tkliwości, Rozpada się na cuchnące sprzęty, o Panie..."

— Cóż to takiego?... To bardzo „głęboka" modlitwa, ułożona podług recepty Maeterlick'a.

Wielbiciele Maeterlinck'a wysławiają jego reformatorskie idee na polu dramatycznem. Dramatów napisał głośny autor „Cieplarni" kilka, z których pierwszy p. t. „Księżniczka Malena" (La princesse Maleine), wydał w październiku 1889 r. tylko w 25 egzemplarzach. Po „Malenie" nastąpili „Intruz" (L'intruse) i „Ślepcy" (Les Aveugles), dalej wyszło z pod prasy „Siedem księżniczek" (Les sept Princesses), w końcu „Pelleas i Melisanda".

„Księżniczkę Malenę", aczkolwiek jej to zawdzięcza Maeterlinck sławę europejską, można pominąć, elukubracya ta bowiem, sklecona z różnych rysów, zabrana postaciom Szekspira (Lear, Makbet, Hamlet i in.), nie rzuca jeszcze pełnego światła na cele symbolizmu. Najplastyczniej występuje „reforma" w dwóch jednoaktówkach, w „Intruzie" i w „Ślepcach".

W sali „dość ciemnej" (informacya autora) starego zamku, zaopatrzonej w okna kolorowe, w których przeważa barwa zielona (także informacya autora), znajduje się kilka osób: ociemniały dziadek, ojciec, wuj i trzy córki. Towarzystwo zachowuje się spokojnie, gdyż obok, w sąsiedniej komnacie, spoczywa położnica, której życie wisiało przez dni kilka na włosku. Ale nie ma już obawy. Niebezpieczeństwo minęło, jak zawyrokował lekarz. Przy chorej czuwa siostra miłosierdzia, więc rodzina może wytchnąć po trwodze dłuższego czasu.

Rzecz dziwna... Mimo zapewnień lekarza i widocznego polepszenia chorej, dziadek nie czuje się uspokojonym. „Nie wiem, co mi jest — mówi — chciałbym, aby ten wieczór już minął." Daremnie starają się młodzi rozproszyć niczem nieuzasadnione

przeczucia starego. Ślepiec nie daje się przekonać. Słyszy on jakieś szczególne szmery, odgłosy, szepty...

Równocześnie z rosnącym niepokojem niewidomego dziadka, zaczyna się i przyroda, otaczająca zamek, czegoś trwożyć. W głównej ulicy podnosi się wiatr — drzewa chwieją się lekko — zdaje się, jakby ktoś wszedł do ogrodu — słowiki milkną nagle — łabędzie pływające na stawie, lękają się — wszystkie ryby zanurzyły się — pies schował się do budy — listki róż opadają — ktoś chodzi po ogrodzie — w końcu odzywa się brzęk kosy ostrzonej i nastaje cisza śmiertelna.

Teraz zaczyna się dziadek „nieproszonego gościa, intruza" domyślać. On jeden, chociaż, albo raczej dlatego, że nie widzi, słyszy doskonale najlżejsze szmery i czuje zbliżanie się straszliwego wykonawcy. To śmierć nadchodzi... Już weszła do sali, zasiadła wśród żywych, niedostrzeżona przez nich, słucha ich rozmowy, czeka widocznie na porę właściwą. Zegar wydzwania północ — słychać szelest szybkich kroków, biegnących w stronę pokoju chorej... Dziadek przeczuwał dobrze. Śmierć poszła zadusić nową ofiarę.

Ten sam przedmiot wypełnia drugi dramat Maeterlinck'a p. t. „Ślepcy" (Les Aveugles).

Na czele „Ślepców" umieścił autor następującą informacyę: „Prastary bór północy, wiekuistego wejrzenia, pod niebem głęboko ugwiaździonem. — W pośrodku i ku głębiom sceny, siedzi bardzo stary ksiądz, owinięty w obszerną czarną opończę. Popiersie i głowa lekko w tył pochylone i śmiertelnie nieruchome, opierają się o pień olbrzymiego, dziuplastego dębu. Twarz jego przerażająco blada, ma nieruchomą, trupią białość wosku, pośród której zieją wpółotwarte fioletowe wargi. Oczy nieme i słupem stojące nie patrzą już ku widzialnej stronie wieczności, wydają się zakrwawionymi od wielkiej liczby bólów niespamiętanych i łez. Włosy poważnej białości opadają sztywnymi, rzadkimi kosmykami na twarz, bardziej oświeconą i bardziej znużoną, niż wszystko, co ją otacza w bacznem milczeniu posępnego boru. Ręce nadzwyczaj chude spoczywają kurczowo splecione na udach" i t. d. [1]).

---

[1]) Przekład Zenona Przesmyckiego, który spolszczył dramaty Maeterlinck'a dla warszawskiej «Biblioteki Najcelniejszych Utworów»:

Już sama sytuacya informacyjna Maeterlicka „nastraja“ czytelnika odpowiednio, przygotowując go do czegoś strasznego. Umarłego, w pośród dziewiczego lasu porzuconego księdza, otacza dwunastu ślepców, sześciu mężczyzn i sześć kobiet. Wyszli z nieboszczykiem, który był ich nadzorcą, z zakładu ociemniałych na przechadzkę i czekają na niego. Nie wiedzą, że skonał, sądzą, iż odszedł gdzieś i wróci niebawem, aby ich do domu zaprowadzić. Podczas kiedy niewidomi opowiadają sobie wrażenia, jakich doznają, zaczyna przyroda swoją grę symboliczną. Obok ślepców odzywa się nasamprzód blizki i bardzo spokojny gwar morza (informacya autora) — stado nocnych ptaków spada nagle w gęstwinę liści — zegar, gdzieś bardzo daleko, wydzwania powoli godzinę dwunastą — ptaki nocne z radosną wrzawą zrywają się w ciemnościach — stado wielkich ptaków wędrownych przelatuje z krzykiem po nad sklepieniem liściastem — gwałtowny poryw wiatru wstrząsa lasem — liście sypią się ciemnemi chmurami — ślepcy, dotąd spokojni zaczynają się czegoś lękać — boimy się, boimy się oddawna! podają sobie z ust do ust — w lesie zrywa się wiatr, a morze zaczyna gwałtownie ryczeć — kobiety klękają, jęcząc — zdala słychać kroki — zbliżają się — już są blizko — zatrzymały się w pośród ślepych — kto jesteś? pyta młoda ślepa — milczenie — ślepi poznali teraz „nieproszonego gościa“, więc najstarsza z niewiast woła: miej litość nad nami!...

„Intruz“ i „Ślepcy“ Maeterlinck'a nie są dramatami w zwykłem rozumieniu. Nie ma w nich ani walki zewnętrznej człowieka z instynktami i pożądaniami, ani zewnętrznej z okolicznościami, z których wytwarza się „akcya“; nie ma charakterów, działających ze świadomością, ani prawidłowej budowy utworu scenicznego. Dotychczasowe pobudki czynności dramatycznej, zrozumiałe dla widzów, zastąpił Maeterlinck motywami mglistymi, wzmacniając je znakami przyrody, która bierze żywy udział w wypadkach, odnoszących się do człowieka. Tak w „Intruzie“, jak w „Ślepcach“ i w reszcie „dramatów“ autora belgijskiego odgrywa przeczucie rolę naczelną. Dziadek („Intruz“) „nie wie, co mu jest, i chciałby, aby się ten wieczór już skończył“ — niewidomi („Ślepcy“) „boją się oddawna czegoś“ — babka („Siedm księżniczek“) — powtarza ciągle, „że się coś w sali zmieniło“ — Melizanda („Pelleas i Melizanda“) chce uciekać z zamku, chociaż nie zdaje sobie sprawy dlaczego. To prze-

czucie, rodzaj greckiego *ananke*, lub romantycznego fatalizmu, przeciwko któremu byłby wszelki opór deremny, ilustrują zaburzenia w naturze (szum wiatru, upadające liście, trwoga zwierząt, tajemnicze głosy i szmery).

Nie dramatami są utwory dyalogowane Maeterlinck'a, lecz poprostu obrazkami, których celem: wywoływanie jakiegoś groźnego nastroju za pomocą środków sztucznych. *Stimmungsbilder* nazywają niemcy takie fantazye.

Na przekór pozytywistom, którzy usiłowali zrobić z człowieka zrozumiałą dla każdego maszynę, ulegającą tylko nakazom zmysłów i pospolitego rozumu, kładzie Maeterlinck nacisk na świat zjawisk tajemniczych, nieujętych dotąd przez naukę, a mimo to istniejących. Jak spirytystów i kabalistów współczesnych, pociąga i jego „niepoznawalna", wchodząca powoli, częściowo w zakres poznawalnych.

Co dawniej „strachami", „przywidzeniami", „zabobonami" zwano, zaczyna przybierać obecnie formy oczywistości. Zacząwszy od pomyślnych badań nad hypnotyzmem, który przestał być przesądem z chwilą, gdy się nim Charcot zajął, postępuje ciekawy duch ludzki bez wytchnienia naprzód, szukając odpowiedzi na otaczające go zagadki. Maeterlinck usiłuje uplastycznić artystycznie, co spirytyści i kabaliści probują na drodze eksperymentów naukowych wydrzeć z paszczy „niepoznawalnej."

Nie ulega wątpliwości, że sztuka przyszłego pokolenia powinna dopełnić charakterystyki natury ludzkiej, dołączając do rysów zewnętrznych, przystępnych dla zmysłów i pospolitego rozumu, przejawiających się w czynie dokonanym, ową sieć nieświadomych najczęściej przyczyn, które składają się na takie, lub inne postępowanie. Tysiące rzeczy, niemających nic wspólnego z urzędowym rozumem, bo przekraczających granice bezpośredniej obserwacyi (przeczucia, sny, wrażenia, jakieś znaki, niewytłumaczone niczem wstręty lub pociągi, przesądy, zabobony i t. d.). wpływają nieraz na postanowienia jednostek, znanych skądinąd z trzeźwości. Zwrócenie uwagi na tajemniczą, czyli niezbadaną dotąd stronę życia ludzkiego, zasługuje niezawodnie na poparcie, z czego jednak nie wynika, aby to dopełnienie miało stanowić główną treść i podstawę psychologii człowieka. Może ono mieć znaczenie tylko jako wycieniowanie charakteru lub wypadku, jako środek, potrzebny do wywołania „nastroju".

Wplecione do utworu artystycznego jako motyw zasadniczy, wytwarza dziwadła, eksperymenty w rodzaju „Intruzów“ i Ślepców“.

Wychodząc z zasady, że natura, która jest w poezyi epok materyalistycznych martwą dekoracyą, bierze czynny udział w losach rodu ludzkiego, Maeterlinck każe jej żyć, czuć, myśleć, towarzyszyć ciągle człowiekowi, odzywać się tajemniczymi głosami. Stąd w jego dramatach owe bogactwo: szumów, szelestów, stukań i t. d.

Doświadczenia belgijskiego symbolisty nie wywołały na scenie spodziewanego wrażenia; inaczej też być nie mogło, co bowiem przy czytaniu wyobraźnia dopełnia, ginie w wykonaniu scenicznem. Szumy drzew, dalekie poświsty wiatru, łopotanie skrzydeł ptasich, ostrzenie kosy i t. p. „akcye“, nie zwracają w teatrze nawet uwagi, gdy się nie wie z góry, że mają coś oznaczać. Człowieka zresztą przy zdrowych zmysłach zajmuje w teatrze głównie człowiek, ludzi zaś niema zupełnie w „dramatach“ Maeterlinck'a. Występuje za nich i działa wyłącznie przyroda, lub czynnik tajemniczy, niewidzialny (śmierć, przeczucie).

Teatr nie nadaje się do eksperymentów literackich. Najwięcej zmysłowy ze wszystkich rodzajów poezyi, najplastyczniejszy i najpełniejszy, skrępowany nadomiar warunkami sceny, niema ani czasu, ani miejsca do subtelnego malowidła psychologicznego. Drobiazgowe cieniowanie i wcielanie przeczuć, znaków, głosów... nie jest jego rzeczą. Wie o tem sam Maeterlinck, gdyż usiłuje wynaleźć jakąś inną dramaturgię.

W organie młodych poetów belgijskich (w „La Jeune Belgique“, w r. 1890), rozrzucił autor „Intruza“ garść uwag o teatrze, które ułatwiają zrozumienie jego techniki scenicznej. Zdaniem Maeterlinck'a, powinien być teatr „świątynią marzenia“ (*le temple du rêve*), wszelkie zaś marzenie nie znosi „obecności człowieka“. Znaczy to, przetłumaczone na język „niewtajemniczonych“, że nie istota żywa, nie aktor powinien odtwarzać dzieło dramatyczne, z chwilą bowiem, gdy aktor „wkracza w sferę symbolu“, przepada złudzenie.

Maeterlinck nie zdaje sobie jeszcze sprawy z tego, coby mogło zastąpić w teatrze człowieka (majaczy o znaczeniu rzeźby, bąka o maryonetkach, o figurach woskowych, o powrocie do prastarych, pierwotnych form sceny), tyle wszakże pewna, że chciałby usunąć wykonawcę żywego z dzieła dramatycznego

i powierzyć jego odtworzenie jakimś automatom, które, „nie posiadając przeznaczeń własnych, nie zacierałyby już identycznością swoją indentyczności bohaterów“.

Wyznanie powyższe tłumaczy cel dramatów Maeterlick'a (przeznaczył je dla teatru maryonetek), dziwnie chaotyczną budowę i śmiesznie prosty język. Jego cienie, czy karykatury ludzi przemawiają w sposób następujący („Siedem księżniczek“):

Król. To on, to on?...

Królowa. Gdzie on, gdzie on? Czy to on? Nie poznaję go już!.. Owszem, owszem, poznaję go jeszcze! Och, jakiż on wielki! jakiż on wielki! Stoi u stóp wschodów. Czyś to ty, czyś to ty? Chodź na górę, chodź na górę! My jesteśmy już tak starzy oboje! Nie możemy już zejść na dół. Chodź na górę, chodź na górę, chodź na górę!

Król. Strzeż się, abyś nie upadł. Strzeż się...

Królowa. Chodź na górę, chodź na górę, chodź na górę...

Królewicz. Moja biedna babko, mój biedny dziadku.

Królowa. Och, jakiś ty piękny! Jakeś urósł, moje dziecko. Jakiś ty wielki, mój mały Marcellusie.

Królewicz. Och, moja biedna babko, jak włosy ci zbielały! O, mój biedny dziadku, jak broda ci zbielała.

. . . . . .

Królewicz. Gdzie są moje siedem kuzynek?

Królowa. Tu, tu, uważaj, uważaj... nie mówmy o tem zbyt głośno; one śpią jeszcze; nie trzeba mówić o tych, którzy śpią...

Królewicz. Śpią?... Czy jeszcze żyją wszystkie siedem?

Królowa. Żyją, żyją, żyją; uważaj, uważaj; śpią tu, śpią ciągle.

Królewicz. Śpią ciągle? Co, co, co? Wszystkie siedem, wszystkie siedem?...

Królowa. Och, och, och! Coś ty pomyślał, coś ty śmiał pomyśleć, Marcellusie, Marcellusie? Prędko, prędko, pójdź prędko!... Czas je zobaczyć...

I tak ciągle. Słowa Maeterlinck'a płyną wolno, leniwo, szare, jednostajne, jak krople deszczu jesiennego, pospolite, bezbarwne, trywialniejsze nawet od gwary prostego ludu. Przepla-

tane ciągłemi powtarzaniami i wykrzyknikami, urywane i przerywane bez potrzeby, przypominają zdania Maeterlinck'a mowę dzieci, lub obłąkanych. Ma to być jakiś sztuczny język pierwotny, robiony rozmyślnie, jak twierdzą wielbiciele belgijskiego symbolisty. Tu i owdzie tylko błyśnie zwrot jaskrawy, lub zadudni wykrzyknik silniejszy, ale dzieje się to bardzo rzadko.

Jeżeli symbolizm francuski nie wyda oprócz Maeterlinck'a żadnej innej głowy twórczej, wówczas nie czeka go przyszłość rozgłośna. Jak brata się obecnie z dekadentyzmem, nie umiejąc się od niego odczepić, tak zginie w nim ostatecznie jako forma zwyrodniała [1]).

A przecież znaleźli się ludzie, którzy powitali w Maeterlinck'u mistrza mistrzów, proroka jutra. Paryski beletrysta i krytyk, Mirbeau, współpracownik „Figara", przeczytawszy „Księżniczkę Malenę", obwieścił światu, iż narodził się geniusz geniuszów... I znalazły się krocie ludzi „inteligentnych", którzy uwierzyli Mirbeau'owi na słowo...

O sugestyo! Wielką ty jesteś mocarką, o czem wie przemożna dziś pani Reklama. Z głupca potrafisz zrobić mędrca, z szaleńca filozofa, z kretyna talent, z szarlatana proroka... Pokłon tobie, rozdawczyni sławy i zaszczytów!...

Gdy się widzi i słyszy, co się ludziom „inteligentym" najczęściej podoba, można stracić raz na zawsze gust do kreatury, noszącej imię „człowiek". Czasami rozumie się i odczuwa takich dekadentów, jak Schopenhauer, Baudelaire i Nietzsche, potwornych w swojej pogardzie „motłochu", ale wielkich w tej pogardzie. A ten motłoch taki liczny...

---

[1]) U nas znalazł Maeterlinck gorącego wielbiciela w Zenonie Przesmyckim, którego studyum p. t. „Maurycy Maeterlinck i jego stanowisko we współczesnej poezyi belgijskiej" pomieścił „Swiat" krakowski (1891 r.). Bardzo dobre studyum o Maeterlinck'u napisał Weyssenhoff p. t. „Nowy fenomen literacki" („Biblioteka Warszawska z r. 1891, kwiecień).

VII.

Dekadentyzm w powieści francuskiej.

Nowa poezya francuska straciła do tego stopnia poczucie kompozycyi, że nie zdobyła się nawet na zupełny typ dekadenta. Dopiero powieść zebrała poszczególne rysy „wykwintnego arystokraty ducha“ i zlepiła z nich postać, która przetrwa w historyi literatury jako ciekawe świadectwo zwyrodniałego człowieka. Z fantazyi Huysmansa wylągł się ów dziwoląg, zachwycający przecywilizowanych autorów nadzwyczajnych wrażeń.

Karol Joris Huysmans należał przez pewien czas do najgorliwszych zwolenników Zoli, redagował nawet w r. 1880 tygodnik naturalistyczny p. t. „La comédie humaine, organe du naturalisme“. Pierwsze jego powieści („Le drageoir aux épîces“ 1874; „Marthe“ 1876; „Les Soeurs Vatard“ 1879 i in.) zdobyły mu zaszczytne miejsce między dworzanami „Mistrza z Medanu“.

Nagle, niespodziewanie, bez żadnych powodów sprzeniewierzył się Benjaminek naturalizmu programowi szkoły i upodobał sobie ponury geniusz Beaudelaire'a. Zwrotowi temu zawdzięcza literatura francuska wykończony, zaokrąglony typ dekadenta, który zapewni Huysmansowi trwałe miejsce w historyi obłędów drugiej połowy bieżącego stulecia.

Główna postać znanej powieści Huysmansa p. t. „Na wspak“ („A rebours“ 1884). Książę Jan de Esseintes, utraciwszy w młodości większą część fortuny na hulanki i zraziwszy się

do świata, który „składa się w znacznej części z łotrów i głupców“, kupił sobie za resztki majątku na prowincyi dom i zmienił go na „artystyczną Tebaidę“.

„Plebejusz duchowy,“ urządzając sobie *tusculum*, byłby się starał otoczyć pięknem naturalnem (parkiem, lasem, rzeką). Nie tak „arystokrata inteligentny“. Bo i cóż oryginalnego w grupie drzew, w bezmyślnej masie fal, w jednostajnych błękitach nieba? Na takie zbytki może sobie pozwolić każdy chłop, robotnik.

De Esseintes, wróg natury, jak Baudelaire, zamknął się przedewszystkiem wśród czterech ścian, wychodząc bardzo rzadko na słońce i powietrze. W salę jadalną, podobną do kajuty okrętowej, kazał wbudować, wsunąć drugi, mniejszy pokój, i wypełnić przestrzeń między ścianami wodą, zapełnioną rybami z blachy. Z blachy, bo ryby żywe może oglądać pierwszy lepszy.

Gdy się książę chciał zabawić, wówczas wpuszczał do owego sztucznego morza po kilka kropli różnobarwnych esencyj. Żółte, zielone, jasne i ciemne farby, zmieniając kolor wody, naśladowały prądy i falowanie. Dekadent wystawiał sobie wtedy że znajduje się na pokładzie okrętu i wdychał z rozkoszą zapach dziegciu, rozwianego za pomocą rozpylacza po „kajucie“. Każdy mniej „wytworny“, spragniony wrażeń żeglugi morskiej, udałby się poprostu na statek, ale tak gminnej przyjemności dostępnej dla lada majtka, nie mógł pożądać „uczony smakosz życia.“ Czemże bowiem różniłby się wówczas od pospolitego filistra?

Des Esseintes lubił także muzykę, oczywiście nie ową zwyczajną. Podczas, kiedy plebejusze słuchają uszami, on arystokrata, posługiwał się do tej czynności językiem. Smak działał u niego tak samo, jak u ludzi „grubych“ słuch, powonienie zaś pełniło funkcyę wzroku.

Dekadent Huysmansa ustawił sobie w pokoju beczułkę, napełnioną różnemi likworami. Gdy zatęsknił za muzyką, wówczas pił z każdej buteleczki po kilka kropel i doznawał takich samych wrażeń, jak *bourgeois*, słuchający koncertu. Miętówka i anyżówka łaskotały jego podniebienie, jak tony fletu; kirsz łomotał w jego głowie, do wrzaskliwej trąby podobny; wisky udawał piston, kimel oboje, kirasao klarynet, gorzka wódka kontrabas i t. d.

Ponieważ plebejusze sypiają w nocy, a pracują w dzień, przeto czuwał de Esseintes do rana, a kładł się dopiero wtedy, kiedy się innni budzą. Jeść nie lubił, gdy go jednak głód przemógł, wówczas starał się o pokarmy „nadzwyczajne". Używał tylko napojów wyszukanych, tłuszczów szczególnych; pieczeń maczał w herbacie, cukier posypywał pieprzem i t. d. Sprzykrzywszy sobie przyjęty powszechnie sposób odżywiania (przez usta), karmił się w końcu na wspak, za pomocą klysterów.

Widoku ludzi nie znosił, zrażony raz na zawsze do ich „podłości i głupoty". Nawet służbie nie wolno było stawać przed oczami pana. Ilekroć się des Esseintes wypadkiem z jakim człowiekiem spotkał, starał się zawsze bliźniemu dokuczyć. Przyjaciela swojego, pana d'Aigurande, który go się radził, czy ma się ożenić, zachęcał szczerze do zawarcia ślubów małżeńskich. Ponieważ ani d'Aigurande, ani jego narzeczona nie posiadają majątku — filozofował — przeto muszą z takiego z wiązku wyniknąć nieprzyjemności, zawody, rozczarowania. Innym razem prosił go na ulicy jakiś wyrostek o ogień do papierosa. Książę nietylko nie odmówił chłopcu grzeczności, lecz wziął go nawet z sobą do kawiarni, częstował gorącemi trunkami, następnie zaprowadził do domu publicznego, gdzie otworzył mu kredyt trzymiesięczny. Gdy go właścicielka lupanuru zapytała, dlaczego gorszy niewinne dziecko, odpowiedział: „Ten chłopiec, gdyby został w swojem otoczeniu, mógłby się nie zepsuć, a mnie idzie o to, aby było między ludźmi jak najwięcej łotrów, „wrogów ohydnego społeczeństwa, które nas depcze". Mój protegowany, zasmakowawszy w przyjemnościach, przechodzących możność jego środków finansowych, będzie niezawodnie później kradł, a może i mordował."

Żegnając się z chłopcem, dał mu książę następującą radę na drogę życia: „Jeżeli chcesz zajść daleko, czyń drugiemu zawsze to, czego sobie dla siebie nie życzysz..."

Oto ideał dekadenta. Gdy taki pan siedzi na tronie, jak Neron, wówczas pali Rzym, bawi się w aktora, zabija matkę i żonę, zaślubia rzezańca. Pozbawiony władzy, robi z siebie karykaturę zdrowego człowieka.

Po „A rebours" napisał Huysmans powieść p. t. „Là-Bas", która ilustruje zamęt pojęć estetycznych i moralnych dekadentyzmu.

Z pierwszych stronic dowiaduje się czytelnik od Huysmansa,

że hasła, które ożywiały literaturę piękną drugiej połowy XIX stulecia przebrzmiały, okazawszy swoją niemoc.

Dwóch przyjaciół, literat Durtal i lekarz des Hermies, rozmawiają o naturalizmie, a chociaż pierwszy broni „uczonych artystów", czyni to tylko dla podtrzymania dysputy i on bowiem wierzy w upadek doktryny naturalistycznej.

Nie jaskrawość tematów, nie jego zmysłowość zarzuca des Hermies naturalizmowi, lecz głównie pospolitość, brud idei.

Bo trzeba być bardzo ciasną i płaską głową — twierdzi des Hermies — aby zagrzęznąć w ciele, odrzuciwszy wszelki pierwiastek duchowy, i nierozumieć, że właściwa sztuka zaczyna się dopiero tam, gdzie się zmysły kończą. Naturalizm był ordynaryjnym mieszczuchem, który uwielbia amerykańskie, episierskie pojęcia i obyczaje naszych czasów, uznaje tylko prawa brutalnej siły i walki o byt i ubóstwia jedynie kasę ogniotrwałą. Sługa motłochu, niewolnik zwierzęcych instynktów człowieka, wykluczył on z literatury całą szlachetność i podniosłość życia, jego dumne cele i tęsknoty do ideału. Przedstawiciel idei mieszczańskich wyrażał się, czuł, marzył, pragnął, jak plebejusz. W jego dziełach nie ma ani jednej myśli, odnoszącej się do życia, do duszy, ani jednego słowa gorętszego. Nie mając ludziom nic do powiedzenia, zarzucał ich plugawemi powieściami, obrazami rozpusty, zbrodni, nikczemności, pobudzającymi zwierzęce apetyty człowieka.

Tego samego mniej więcej zdania jest główny bohater „Là-Bas", literat Durtal, i on bowiem czuje, że doktryny, które go dotąd prowadziły, przeżyły się i zwiędły. Marzy on o nowej formie literackiej, o „naturalizmie spirytualistycznym", któryby połączył obserwacyę z intuicyą i wyobraźnią.

Po takim wstępie należałoby się spodziewać dzieła, oczyszczonego z brudów naturalizmu, jakiejś mieszaniny Flaubert'a i Feuillet'a — zdrowych ludzi, jasnych obrazów, podniosłych i głębokich myśli.

Postacie, występujące w „Là-Bas", nie mają na sobie rzeczywiście ran, wrzodów, nie są kalekami, pijakami, zbrodniarzami z urodzenia, nie kradną, nie walają się w rynsztokach, nie zabijają, ale mimo to nie zaszkodziłaby im nic kuracya hydropatyczna. Albo zmęczeni ludźmi i życiem, jak Durtal i des Hermies, albo dziwacy, jak dzwonnik kościoła Sain-Sulpice, Car-

haix, lub w końcu chorzy nerwowo, histeryczni, jak pani Chantelouve, nie odznaczają się wcale zdrowiem duchowem.

Durtal, wychowaniec pozytywizmu w nauce i w literaturze, nie wierzy w świat nadprzyrodzony, a mimo to uznaje wpływy, istniejące po za granicami obserwacyj zmysłowych.

„Bo jakże przeczyć tajemniczości, — filozofuje za niego autor — która przejawia się wszędzie, wokoło nas, przy każdej sposobności?“

Nawet w sile tak na wskroś doczesnej, jak w pieniądzach dostrzega Durtal widoczną, choć dla śmiertelnika niezrozumiałą logikę postępowania. Pieniędze nie są bezwolnem, martwem narzędziem w ręku człowieka. Rozdziela je ktoś świadomie, przywiązawszy do nich prawidła niezmienne.

— Pieniądze — mówi Huysmans [1]). — przyciągają się nawzajem, gromadzą się zwykle w tych samych miejscach, idą najchętniej do zbrodniarzów, lub miernot. A gdy się zdarzy, że znajdą się wypadkiem w ręku bogacza, którego dusza nie jest ani występna, ani nikczemna, wówczas bywają bezpłodne, niezdolne do czynu rozumnego. Możnaby powiedzieć, że mszczą się w ten sposób za to, iż dostały się do rąk niewłaściwych, że obezwładniają się własnowolnie, gdy nie należą do przebiegłych, lub brutalnych,

— Jeszcze dziwniejsze stają się pieniądze, gdy zabłądzą do domu ubogiego. Wówczas plamią natychmiast uczciwego, budzą w najczystszym nędzarzu chucie zmysłowe, działając równocześnie na ciało i duszę, zaszczepiają we właścicielu nizkie samolubstwo i nikczemną pychę, uczą go wydawania pieniędzy tylko w celach osobistych, zamieniają najskromniejszego w bezczelnego fagasa, najwspaniałomyślniejszego w brudnego skąpca. W jednej sekundzie wywracają pieniądze na nic wszystkie nawyknienia, pojęcia, namiętności“.

„Potwornymi stają się pieniądze, gdy pokrywając blask swój czarnym welonem jednego słowa, nazwą się kapitałem. Wówczas nie ogranicza się ich działalność na podrażnieniach indywidualnych, na zachętach do kradzieży i zbrodni, lecz rozciąga się na całą ludzkość. Jednem słowem, kapitał narzuca monopole, buduje banki, gromadzi substancye, rozporządza ży-

---

[1]) J. K. Huysmans: „Là-Bas“; wydanie II; 1891 r.; str. 17—19.

ciem, może, jeśli taka jego wola, kazać umrzeć z głodu tysiącom istot. On sam karmi się tymczasem obficie, tyje, zapładnia się; a obie półkule ziemskie uwielbiają go, konają przed nim z pożądania, jak przed Bogiem".

„Albo są pieniądze — kończy Huysmans — które panują w ten sposób nad duszami, — dziełem szatana, albo trudno zrozumieć ich przeznaczenie."

Po takiej wycieczce przeciw pieniądzom, raczej materyalizmowi, co w tym razie na jedno wychodzi, wolno żądać od autora typów szlachetnych i bajki jasnej. Tymczasem zanurza się Durtal z rozkoszą w brudach histeryi średniowiecznej, które nie ustępują wcale plugastwom nowoczesnego naturalizmu.

Zraziwszy się do chwili obecnej, cofnął się Durtal o kilka wieków wstecz. I kogoż upodobał sobie w epoce zamków, żywej wiary i wojen za Grób Chrystusowy? Może Parsifala epopei rycerskiej, lub jakiego natchnionego kapłana?

Durtal ukochał słynnego w wieku XV opętańca, znanego z dziejów okultyzmu marszałka Gilles'a de Rais, przyjaciela Karola VII i towarzysza Joanny d'Arc.

Margrabia Gilles de Rais, jeden z najbogatszych panów Francyi, w 25-ym roku życia marszałek armii Karola VII, waleczny żołnierz, hojny magnat, mecenas literatury, sam wykształcony humanitarnie, oczytany w autorach klasycznych, należy do najciekawszych typów rozkładającego się średniowiecza.

Pozbawiony wiary żywej, niepokojony zagadką początku i końca wszechrzeczy, zawiązał on liczne stosunki z alchemikami i okultystami swojego czasu. Wszyscy zbuntowani, wyklęci, wiarołomni księża pierwszej połowy XV wieku, wszyscy, których wiedza urzędowa ścigała jako czarnoksiężników, ciągnęli na zamek Tiffauges, gdzie ich Gilles de Rais gościnnie podejmował i wpływami swoimi przeciw wyrokom władzy świeckiej i kościelnej zasłaniał.

Otoczywszy się alchemikami i okultystami, magnat francuski zasmakował w ich badaniach i sztukach i stał się sam „czarnoksiężnikiem". Szukał on razem z nimi kamienia filozoficznego", warzył złoto w tyglach, wywoływał duchy, szatana, — stukał do zagadki wszechrzeczy za pomocą środków owego czasu, chciał koniecznie wiedzieć i móc wszystko.

Światlejszy, wytworniejszy od swojego otoczenia, nie za-

dawalał się Gilles de Rais tem, co mu jego epoka dawała. Wówczas, kiedy inni parowie Francyi — mówi Huysmans — byli pospolitemi bydlętami, „on pragnął rafinowanych rozkoszy artystycznych, marzył o literaturze przyszłości, pisał traktat o wywoływaniu duchów, uwielbiał muzykę kościelną, otaczał się tylko sprzętami rzadkimi, trudnymi do nabycia".

To pragnienie „rafinowanych rozkoszy artystycznych" i „otaczanie się sprzętami rzadkimi, trudnymi do nabycia" zwróciło prawdopodobnie uwagę autora „A rebours" na Gilles'a de Rais. I jego książę des Esseintes („Là Bas") nie znosi wszelkiej „pospolitości". Huysmans nazywa też Gilles'a de Esseintes'em wieków średnich.

Gilles de Rais nietylko pożądał, szukał, ale stwarzał sobie w istocie „wrażenia i wzruszenia niezwykłe, wytworne." Ale wieki średnie nie były dla histeryków tak pobłażliwe, jak czasy nowsze, nie posiadały bowiem sądów przysięgłych, liczących się z wynikami antropologii kryminalnej. Coby mędrcy współcześni nazwali chorobą, w tem dopatrzyli się prawnicy XV stulecia po prostu zbrodni i posłali rafinowanego dekadenta na szafot.

Smutna biografia Gilles'a de Rais jest właściwą „intrygą" „Là-Bas". Durtal, wybrawszy ją sobie za przedmiot do dzieła literackiego, wraca do niej ciągle, powtarza ją ze wszystkimi szczegółami, znanymi z kronik owego czasu. Stanowi ona nić czerwoną powieści, przeładowanej mądrością okultystów.

Gdyby nie romans Durtal'a z panią Chantelouve, nie możnaby „Là-Bas" zaliczyć do beletrystyki. Bez erotyki byłaby ta powieść raczej studyum naukowem.

Jeszcze jawniej, aniżeli w lubowaniu się „rafinowanemi zachciankami" Gilles'a de Rais występują upodobania dekadentyzmu w romansie Durtal'a i pani Chantelouve.

Pani Chantelouve, histeryczka, a jak się później okazuje satanistka, odwiedzająca „czarne msze", narzuca się Durtal'owi sama za pośrednictwem listów, a gdy oświadczyny piśmienne nie poskutkowały, osobiście. Kocha ona w Durtal'u nie człowieka żywego, lecz jego obraz, który sobie utworzyła z jego dzieł i z którym od dłuższego czasu obcuje. Sztuki tej nauczyła się od okultystów i bluźnierców. Szukając towarzystwa wybrańca swojej chorej wyobraźni (nie serca), marzy o rozkoszach nadzwyczajnych, zrozumiałych tylko dla dekadentów.

Chociaż Huysmans oskarża przez usta dr. Hermies'a natu-

ralizm o brutalność i drażnienie zmysłów, nie oszczędza mimo to czytelnikowi całej strony fizyologicznej owej „miłości nadzwyczajnej“, cuchnącej zgnilizną rozkładu. Nawet nowelle Boccacia i „Pamiętniki“ Casanowy nie pobudzają tak silnie apetytów erotycznych, jak sceny miłosne „Là-Bas“. Bucha z nich zmysłowość, różniąca się tylko tem od pornografii, że szaleje w nich nie zdrowe, brutalne zwierzę, lecz chora hysteryczka.

Jak wszyscy histerycy, przerzucają się kochankowie Huysmans'a z jednej ostateczności w drugą. Przesyciwszy się zmysłowo, marzą o miłości przeidealnej, utkanej ze snów, przeczuć i daremnych pożądań.

„Dowiedzieć się we dwa trzy lata potem — majaczy Durtal — wówczas, kiedy kobieta stała się niedostępną, uczciwą lub zamężną, po za Paryżem, po za Francyą, daleko; wówczas, kiedy może już umarła; — dowiedzieć się, że kochała cię wtedy, kiedy nie byłbyś śmiał o tem pomyśleć, gdy się obok ciebie znajdowała... oto marzenie. Tylko miłości istotne a niedościgłe, miłości, splecione z oddalonych tęsknot i zgryzot, warte są zachodu. Bo niema w takich miłościach ciała, niema zarodku brudu“.

„Kochać się zdaleka i bez nadziei, nie należeć nigdy do siebie, marzyć czysto o bladych wdziękach, o niemożliwych pocałunkach, o pieszczotach, zgasłych na zapomnianych skroniach umarłych, ach! to coś jakby rozkoszne i bezpowrotne odurzenie. Wszystko inne jest brzydkie .. i puste“ [1]).

I w Baudelairze, gdy się dobrze w błocie wytarzał, po nocy bezsennej, spędzonej w towarzystwie nierządu, alkoholu i haszyszu, „budził się anioł“, tęskniący za ideałem. I Verlaine, nadrwiwszy się, jak stary satyr, składa ręce i modli się do Matki Bożej z sentymentalizmem mistyka średniowiecznego. Ze wszelkiego przesytu wypełza reakcya wręcz przeciwna, marząca przez czas krótki o czemś, czego rozpusta zmysłowa nie daje. Przez czas krótki, gdy bowiem wypoczynek wróci zmęczonym nerwom sprężystość, wówczas ustępują powiewne widziadła nowym pożądaniom.

I Durtal Huysmans'a, pozbywszy się wstrętu do histerycznego wyuzdania pani Chantelouve, zapomni niezawodnie o swo-

---

[1]) S. K. Huysmans, j. w. str. 273, 274.

jej miłości, utkanej z westchnień i pieszczot, „zgasłych na zapomnianych skroniach umarłych“. Te dziwne zresztą pieszczoty przypominają zanadto halucynacye Baudelaire'a i Rollinat'a i sztuczne, wytworne, rafinowane rozkosze wszystkich dekadentów, aby mogły być świadectwem zwrotu do zdrowego idealizmu.

Za pośrednictwem pani Chantelouve zbliżył się Durtal do satanistów paryskich i przypatrzył się zblizka „czarnej mszy,“ o której czytał tyle w księgach okultystów średniowiecznych. Huysmans odtworzył ten smutny obrząd z dokładnością naocznego świadka. Wiadomo, że w stolicy nad Sekwaną odżyły w czasach najnowszych wszystkie zabobony i bluźnierstwa ubiegłych wieków.

Późnym wieczorem zastukał Durtal z panią Chantelouve do furty opuszczonego klasztoru, a kiedy mu otworzono, wszedł do kaplicy, napełnionej tak odurzającymi wyziewami, że upłynął czas dłuższy, nim jego płuca przywykły do zaduchu.

W kaplicy zastał prawie same kobiety, stare i młode, a wszystkie ponure, milczące, nierobiące wcale wrażenia szczęśliwych.

W głębi dostrzegł zwyczajny ołtarz kościołów chrześcijańskich, z tą tylko różnicą, że płonęły na nim świece z czarnego wosku [1]).

Jeszcze rozglądał się uważnie wokoło, kiedy się do ołtarza zbliżył „kapłan“ szatana, były kanonik Docre, wykluczony przez Kościół za różne przestępstwa. Miał on na sobie zwykły ornat barwy ciemnoczerwonej, a na głowie szkarłatną czapkę, zaopatrzoną w dwa rogi. Na środku ornata czernił się kozioł.

„Kapłan“ szatana stanął na stopniach ołtarza, a oddawszy mu ukłon głęboki, rozpoczął mszę zwyczajną. Jak w kościołach zwykłych, odpowiadali i jemu ministranci.

W pierwszej chwili nie zauważył Durtal nic szczególnego w „czarnej mszy“. Ale w połowie obrzędu, przed ofiarą, odwrócił się „kapłan“ do „wiernych“ i rozpoczął odezwę do szatana, przypominającą znaną „Litanię“ Baudelaire'a. Braknie jej tylko siły i artyzmu poezyi, które zastępuje wysławianie dyabła za jego pobłażliwość dla występnych. Z odezwą tą łączy się blu-

---

[1]) Przy opisie „mszy czarnej“ opuszczam szczegóły, obrażające ucho chrześcijanina. (*Przyp. aut.*).

żnierstwo, zwrócone przeciw Bogu, wykrzyczane przez byłego kanonika z pianą złości na ustach.

Nawymyślawszy pierwiastkowi dobra, jak rozgniewany dorożkarz, zrobił kapłan nad wiernymi krzyż lewą ręką i rozpoczął ofiarę szatana.

Nastąpiła teraz scena, którą chyba tylko Francuzom wolno odtwarzać. Gdyby się autor polski ośmielił odmalować w dziele sztuki podobny brud, odwróciłoby się od niego całe społeczeństwo. Ale beletrystom francuskim przebacza się wszystko, jak gdyby obcy język łagodził jaskrawe tony plugawego obrazu.

Bezpośrednio po ohydnem świętokradztwie powiała nad zebraniem „aura wielkiej histeryi“ (Huysmans). Kobiety zaczęły się wić, krzyczeć, miotać, wyrzucając z siebie straszne bluźnierstwa. Z kadzielnic snuły się wyziewy jakichś ziół narkotycznych, działających jak opium i haszysz.

Durtal'owi zdawało się, że dostał się między pijanych, waryatów i epileptyków. Nikczemność, wyuzdanie zmysłowe, o jakiem nie miał wyobrażenia, wykręcone członki, twarze, widział naokoło siebie, a słyszał dzikie krzyki i charczenia.

Niedość było Huysmansowi „mszy czarnej“. Dołączył do niej pornografię, która zniechęciła Durtala do pani Chantelouve.

Tak wygląda powieść autora, który wyrzekł się publiczne naturalizmu i marzy o nowych drogach dla beletrystyki. Ordynaryjną brutalność Zoli zastępuje w niej chorobliwa brutalność histeryka.

W „Là-Bas“ Huysmans'a odnajdujemy wszystkie cechy znamienne dekadentyzmu. Odszczepieniec naturalizmu jest zmysłowy, jak mistrz jego młodości, kocha się w wypadkach i charakterach „nadzwyczajnych“, grzęźnie w mistycyzmie, poluje na wrażenie i wzruszenia niezwykłe, sztuczne, które zowie wytwornemi, rafinowanemi. I on nie ma ludzkości nic takiego do powiedzenia, coby podnosiło jej duszę i rozgrzewało serce, coby człowieka oczyszczało, uszlachetniało, chociaż zarzuca naturalizmowi mieszczańską płaskość myśli i zwierzęcość uczuć.

Pod względem technicznym nie zadawalają powieści Huysmansa najskromniejszych wymagań.

Nie ma u niego zupełnie czynności powieściowej w rozumieniu zwykłem. Nic się u niego nie dzieje; ubogie wypadki nie wynikają jedne z drugich; rozwijająca się prawidłowo akcya

nie łączy poszczególnych części w całość zaokrągloną. Autor („Là-Bas“) popisuje się erudycyą okultystyczną w dyalogach bez końca, lub zestawia okok siebie luźne sceny. Ludzie wchodzą u niego i wychodzą, jak w domu zajezdnym.

Przezroczysta, swobodna proza francuska zmieniła się w ręku Huysmansa w ociężały, zagmatwany żargon, popstrzony wyszukanymi zwrotami i wyrazami.

Zdawałoby się, że po „bohaterach“ Huysmans'a trudno wymyślić postać wstrętniejszą. A jednak dokazał tego cudu Maurycy Barrès, należący do najmłodszych beletrystów francuskich. W porównaniu z typami tego dekadenta zasługują lubieżnicy, bluźniercy i szaleńcy Baudelaire'ów, d'Aurevilly'ch, Verlaine'ów, Huysmansów jeszcze na współczucie.

Des Esseintes zdziwaczał głównie dlatego, że zraził się do „nikczemności życia, do głupoty i podłości człowieka“ Wykrzyknik: „Umrzyj, stary świecie!“ wyrywa z niego nienawiść do porządku, który uważa za zły, przewrotny. W innych czasach, w epoce wiary i nadziei, podniósłby się może do wyżyn bohatera, lub świętego ascety, o czem, między innymi, Verlaine w chwilach opamiętania marzy. Ale „wybrańcy“ Barrèsa pozostaliby zawsze brutalnymi egoistami bez zapałów i szerszych polotów. Przypominają oni wszyscy *mutatis mutandis* Juliana Sorel'a Stendhala („Rouge et noir“), ordynaryjnego dorobkiewicza, którego ideały i filozofia streszcza jedno słowo: używanie!

Stendhal należy do „zapoznanych“ swojego czasu. Pominęli go współcześni jako pisarza, lekceważyła go krytyka romantyczna, nie liczyli się z nim historycy w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Na światło dzienne z zapomnianego grobu wydobył go dopiero pozytywizm artystyczny, odnalazłszy w nim ducha poprzednika, mistrza.

I nie mylili się „uczeni artyści“, zaliczając Stendhala między swoich. Autor „Czerwonego i Czarnego“ i Klasztoru Kartuzów w Parmie“ („La chartreuse de Parme“) nie zbuntował się razem z rówieśnikami swoimi przeciw samowładztwu rozumu. W chwili, kiedy inni, znużeni jednostronnością doktryn XVIII wieku, odwrócili się od encyklopedystów, Stendhal został wiernym wyznawcą Condorcetów, Lamettrie'ch, Chamford'ów, prządł dalej nić przez nich zadzierżgniętą i od połowy splecioną. Nie wyprzedził on czasu, jak twierdzi Taine, Zola i naśladowcy ich, lecz nie ruszył się poprostu z miejsca, ulegając do śmierci wpły-

wom pierwszej młodości. Rewolucya monarchiczna przeszła po nim bez śladu.

Julian Sorel Stendhala („Rouge et noir“) syn chłopa, dyszy żądzą używania. Odurzony powodzeniem Napoleona I i jego marszałków, wyrzuconych przez wojnę z suterenów społecznych na najwyższe szczeble drabiny towarzyskiej, chciałby błyszczeć, rozkazywać i opływać w dostatki. Zmienione jednak warunki przestały sprzyjać otwartym ambicyom. Sorel, którego młodość przypadła na czas Restauracyi, nie mógł mieć nadziei wydobycia się na wierzch przez czyny dzielności osobistej. Chcąc dojść do wymarzonego celu, trzeba było zmienić metodę postępowania.

I zmienił ją bohater Stendhala bez długiego namysłu. Zamiast środków jawnych, używał skrytych, podstępnych. Odwagę zastąpił chytrością, śmiałość obłudą. Noga powinęła mu się w końcu — padł, skończył karyerę sromotnie, bo na szafocie, ale użył w krótkiem życiu miłości, dostatków i zaszczytów. Syn chłopski, bez szerszego wykształcenia i zasługi, bez trudów i ofiar lat wielu, pozyskał serce pani de Rênal, rękę margrabianki de la Mole i był na drodze do godności wojskowych i dyplomatycznych.

„Reuge et noir“ Stendhala nie jest krytyką samolubnego, bezwzględnego dorobkiewicza, lecz, przeciwnie, jego obroną.

„Silnym“, podziwu godnym wydaje się autorowi podstępny Sorel, filozofujący w więzieniu, jak nowoczesny rycerz używania. „Nie ma wcale praw przyrodzonych — mówi Julian do siebie w obliczu śmierci [1]) — słowo to jest starem głupstwem, którem się chętnie posługuje prokurator, oskarżający mnie onegdaj, a którego dziad wzbogacił się podczas konfiskaty za Ludwika XIV. Prawo powstaje pod groźbą kary, przedtem zaś naturalną jest tylko siła lwa, głód, chłód i wszelki niedostatek. Ludzie wysoce poważani są to oszuści, których nie zdołano złapać na gorącym uczynku. Ja popełniłem zbrodnię i jestem słusznie karany, lecz Valenod, który mnie skazał, jest stokroć szkodliwszy dla społeczeństwa“.

Echa moralności niezawisłej i antropologii kryminalnej, które są znów echami filozofii encyklopedystów, słyszymy w tem wyznaniu „lwa“ stendhalowskiego. Bo za lwa uważa się chy-

---

[1]) Stendhal; «Rouge et noir;» w przekładzie polskim Ostoi; 1889 str. 365.

try lis, nędzny parweniusz, pożerany przez „chłodną namiętność wydobycia się na wierzch (*de parvenir*“). Autor nie odtworzył tego typu dla odstraszenia nieuprawnionych pyszałków od naśladownictwa, dla zohydzenia karyerowiczowstwa. Przyznał się on nawet z cynizmem dekadenta do podobieństwa z Sorelem.

Nic dziwnego, że materyaliści artystyczni drugiej połowy bieżącego stulecia przypomnieli sobie starszego współwyznawcę, wzgardzonego przez entuzyastyczne pokolenie romantyczne, że oczyścili go z pleśni i kurzu i postawili na świeczniku. Wychowaniec encyklopetystów jest prawowitym przodkiem nietyle naturalistów, ile dekadentów. Maurycy Barrès może go ojcem swoim nazwać.

W głównych powieściach, czy studyach Barrèsa, bo nie wiadomo, jak nazwać jego utwory, lekceważące rozmyślnie zasady techniki artystycznej, w „Le jardin de Bérénice“ 1891 roku, „Un home libre“ 1892 i „L'ennemi des lois“ 1893 r. powraca ten sam typ. Jest nim człowiek „wolny“, „bez przesądów“, wróg przyjętych powszechnie zasad moralnych, zwyczajów i obyczajów, jak już same tytuły wskazują — kopia Juliana Sorela, z tą tylko różnicą, że występuje zuchwalej i świadomiej, udając uczonego, który wciela teorye mistrzów ostatniej epoki.

Nie syn chłopski marzy u Barrèsa o życiu i użyciu lecz zwykle, „młody, pyszny, zmysłowy *bourgeois*“, trawiony żądzą rozkoszy i niezależności. Staje on do walki o byt, uzbrojony w nienawiść do porządku obecnego i w zasady etyki materyalistycznej. Wierząc, że egoizm jest najwyższem prawem, regulującem postępowanie ludzkie, żąda, aby się społeczeństwo dostosowało do jednostki, za jedyną bowiem rzeczywistość uważa człowieka. Reszta, świat cały, zasługuje tylko na nazwę dekoracyi. Mędrzec bez przesądów, wolny, posiadający odwagę swoich przekonań, nie powinien gwałcić naturalnych, wewnętrznych popędów, którym należy zostawić pełną swobodę. Barbarzyńcą jest, kto staje na drodze słusznych apetytów jednostki.

Bohaterowie Barrèsa, wyznając takie zasady, urządzają się w życiu rzeczywiście jak najwygodniej. Jeden z jego ulubieńców, Andrzej Maltère („L'ennemi de lois“) rozpoczyna karyerę od artykułu anarchicznego, za który dostaje się przed kratki sądowe. Gdy mu prokurator wyrzuca zgorszenie publiczne i brutalny egoizm, oświadcza Maltère, między innemi, co następuje:

„Mógłżebym jako człowiek wolny spełnić moje zadanie, szanować i poprzeć wewnętrzne popędy, nie szukając rad na zewnątrz? Absolutna niezależność, życie wygodne, zupełna harmonia z żywiołami, z innymi ludźmi, z własnem marzeniem, oto cel mój, którego chcę dopiąć". — Nazywacie mnie egoistą? „Jeżeli egoizmem ma być chęć zadowolenia potrzeb, to jestem egoistą, ale w tem rozumieniu jest każda komórka natury także egoistą. Im człowiek silniejszy, tem większym bywa egoistą". Zapytany przez sędziów, coby postawił na miejscu porządku, który podkopuje, odpowiada Maltère: „Nie wiem, chociaż chciałbym wiedzieć... Należę do pokolenia, które warte jest tylko tyle, ile rozumie i burzy [1]).

Zdawałoby się, że taki pan poświęci życie dobru powszechnemu, że będzie walczył za swoje przekonania, aż nie padnie gdzie na jakiej barykadzie. Ale Maltère, trzeźwiejszy od fanatyków, wychowanych przez romantyzm, skończył działalność publiczną na artykuliku dziennikarskim. Na co miał się dalej trudzić, kiedy garść frazesów, rzuconych przed sędziów i ciekawą wszelkich skandalów gawiedź, dała mu z łaski autora to, czego od życia pragnął?

Między wielbicielami „śmiałego anarchisty" znalazły się dwie kobiety. Jedna z nich cudzoziemka, „mała księżniczka", jak ją Barrès nazywa, ofiarowała Maltère'owi miłość, druga, panna Klara Pichon-Picard, córka znanego profesora ze szkoły pozytywnej, oddała mu rękę i dość znaczny majątek... aby „reformator" mógł swobodnie nad przyszłemi losami ludzkości medytować. Maltère nie namyślał się ani przez chwilę: od „małej księżniczki" wziął miłość, od panny Picard zaś pieniądze, czyli niezależność.

Aby się godnie do stanu małżeńskiego przygotować, udał się przed ślubem z kochanką do Wenecyi, gdzie przepędził kilka szczęśliwych miesięcy. Narzeczona nie protestowała przeciw tej potrzebie serca „człowieka wolnego" i ona bowiem pozbyła się „przesądów". Córka uczonego pozytywisty, sama chciwa i „ciekawa" wiedzy, była panna Picard do tego stopnia wyższa po nad wszelkie „śmieszności i wstydliwości" zgasłych pokoleń, że nietylko nie zazdrościła „małej księżniczce" miłości Maltère'a, ale gdy mąż jej zatęsknił wkrótce za kochanką, poddała się bez

[1]) Maurycy Barrès, „L'ennemi des lois", wydanie III, 1893, str. 22—25.

„śmiesznych skarg“ konieczności. „Wracaj do przyjaciołki!“— wyrzekła, zrozumiawszy „oryginalność“ natury „wolnej“.

— Wykrzyknik szczytny (*cri sublime*!), przeczucie nowego świata! — woła w tem miejscu Barrès. — Pani Maltère zwyciężyła prawo![1]).

Żyli sobie tedy szczęśliwie w trójkę: mąż, żona i kochanka, wziąwszy do towarzystwa ukochanego przez wszystkich psa. Nie zastanawiali się już nad „nikczemnością obecnego porządku“, nie szukali dróg i środków do uszczęśliwienia ludzkości, nie skarżyli się na nędzę wędrówki doczesnej. Nauczywszy się od Tołstoja, że człowiek powinien żyć na wsi, opuścili Paryż i zamieszkali wśród drzew i kwiatów. Jak Stendhal Sorela, tak tłumaczy i uniewinnia i Barrès Maltère'a. Nietylko tłumaczy i uniewinnia, lecz stawia go na piedestale „typu dodatniego“, robi z niego przedstawiciela współczesnych ludzi „oświeconych“, „wytwornych“, „rzadkich“ (*rare et exquis*). Jak Stendhal do Sorela, przyznaje się i Barrès do swoich wojowników o byt, trawionych przez żądzę dostatku bez pracy i zasługi. Wszakże zaczął Barrès karyerę publicystyczną namiętną obroną Chambige'a, paryskiego studenta, który bawiąc na wakacyach w Algierze zamordował kobietę z dobrego towarzystwa, mężatkę i matkę drobnych dzieci, opierającą się jego żądaniom. Krusząc kopię w imię „zbrodni z namiętności“, zdobył sobie autor „Wolnego człowieka“ ostrogi dziennikarskie.

Jan Stendhal i Huysmans, niema i Barrès wyobrażenia o technice artystycznej i o stylu belletrysty.

---

[1]) Maurycy Barrès, jak wyżej, str. 251.

VIII.

Dekadentyzm w filozofii.

Charakterystyka dekadentyzmu francuskiego składa się na zupełny obraz obecnego rozkładu zasad estetycznych i moralnych w literaturze europejskiej. Co w tym kierunku wydają inne narody, jest tylko echem eksperymentów mistrzów paryskich i brukselskich.

Lecz nie z rasy romańskiej wyszedł filozof dekadentyzmu. Niemiec Fryderyk Nietzsche usiłował wtłoczyć nowinki rozkładowe w zwarte formy systemu filozoficznego.

Fryderyk Nietzsche (ur. 1844 um. 1900 r.), pochodzący, jak sam o sobie mówił, z rodziny polskiej Nieckich, był przez lat kilka profesorem uniwersytetu w Bazylei (od r. 1869 — 1878), gdzie wykładał filologię klasyczną. Działalność autorską rozpoczął w r. 1872, a skończył ją w r. 1889, zapadłszy w tym czasie na nieuleczalną chorobę umysłową. Napisał on szereg dzieł: (Die Geburt der Tragolie, Unzeitgemasse Betrachtungen, Menschliches, Allzumenschliches, Morgenröthe, Jenseits von Gut und Böse, Zur Genealogie der Moral, Götesdämmerung), które są rodzajem wstępu głównego, głośnego „Tak rzekł Zarathustra.“

Zanim się w umyśle Nietzschego ideał „nadczłowieka“, stanowiący treść jego doktryny, ostatecznie skrystalizował, kołatał filozof, jak wszyscy młodzi pisarze, do różnych istnieją-

cych już teoryj, szukając w nich nici, o którąby mógł własną przędzę zaczepić. Zrazu odpowiadał mu najwięcej Artur Schopenhauer; wkrótce jednak, przekonawszy się, iż żaden z dawniejszych myślicieli nie może mu służyć za przewodnika, zerwał z całą przeszłością i poszedł własną drogą. Tego zwrotu owocem jest jego słynny „Zarathustra“, w którego wcielił siebie samego, swoje sympatye i antypatye, swoje poglądy i proroctwa. Wszystkie inne dzieła są tylko przygotowaniem, komentarzem do tej „biblii dla ludzi wyjątkowych,“ jak wielbiciele Nietzschego „Zarathustrę“ nazywają.

„Tak rzekł Zarathustra“ (Also sprach Zarathustra), książka dla wszystkich i dla nikogo“ (ein Buch für Alle und Keinen), rozpada się na cztery części, z których każda obejmuje mnóstwo poszczególnych rozdziałów (pierwsza 23, druga 22 trzecia 16, czwarta 20); każdy z tych rozdziałów zawiera kilka lub kilkanaście podrozdziałów, każdy zaś podrozdział jest wiązanką luźnych aforyzmów, tworzących razem całość nie zawsze spoistą. Każdy rozdział zaopatrzył Nietzsche osobnym tytułem.

Zarathustra, młody mędrzec (jego narodowości nie podaje Nietzsche), obrzydziwszy sobie w 30-ym roku życia ludzi, porzucił miejsce rodzinne i udał się w góry, aby tylko ze sobą obcować. Całem jego towarzystwem w samotności był wąż, najmądrzejszy, i orzeł, najdumniejszy z pomiędzy zwierząt.

„Nasyciwszy się duchem swoim“ przez lat dziesięć, uczuł Zarathustra, że się jego „serce zmieniło“. Podniosłszy się pewnego dnia razem z jutrzenką, stanął przed słońcem i rzekł do niego:

— Ty wielka gwiazdo! Czem byłoby twoje szczęście, gdyby nie istnieli tacy, którym świecisz!... I mnie sprzykrzyła się moja mądrość, niesłużąca nikomu. Jestem jako pszczoła, która zebrała zawiele miodu. Potrzeba mi rąk, coby się po ten miód wyciągnęły.

To rzekłszy, pożegnał Zarathustra samotnię i udał się między ludzi, aby im mądrości swojej udzielić.

Zatrzymawszy się w najbliższem mieście, które spotkał na drodze, zastał właśnie na rynku mnóstwo ludzi, czekających na sztuki jakiegoś linoskoka. Więc stanął przed narodem i w te do niego przemówił słowa:

— Uczę was nadczłowieka (Uebermensch).

Człowiek jest czemś, co trzeba pokonać. Coście uczynili, aby go pokonać? — Wszelkie istoty stwarzały dotąd coś wyższego od siebie, a wy chcecie być odpływem owej fali i wolicie cofnąć się do zwierzęcia zamiast pokonać człowieka? — Czem jest małpa dla człowieka? Pośmiewiskiem, albo wstydem bolesnym. A tem samem ma być człowiek dla nadczłowieka: pośmiewiskiem, albo wstydem bolesnym. — Przebyliście drogę od robaka do człowieka, ale zostało w was jeszcze dużo robaka. Niegdyś byliście małpami, a dziś jeszcze jest człowiek większą małpą od każdej małpy. — Najmędrsi z pomiędzy was są mieszaniną rośliny i upiora. Ale każęż wam zostać upiorami lub roślinami? — Patrzcie, oto nauczam was nadczłowieka. — Nadczłowiek jest treścią ziemi. Niechajże wola wasza powie: nadczłowiek niech będzie treścią ziemi. — Zaklinam was, bracia moi, zostańcie wierni ziemi i nie wierzcie tym, którzy wam mówią o rzeczach nadziemskich. Są to truciciele, czy o tem wiedzą, lub też nie wiedzą. Są to potwarcy życia, dogorywający i sami zatruci, których sobie ziemia sprzykrzyła. Przeto niech odejdą! — Niegdyś był występek przeciw bogom występkiem największym, ale bogowie umarli, a z ich śmiercią umarły występki przeciw nim. Grzech przeciw ziemi jest obecnie grzechem najstraszliwszym i przywiązywanie większej wagi do badania wnętrzności Niezbadanego, aniżeli do treści ziemi.

Niegdyś spoglądała dusza z pogardą na ciało i wówczas była ta pogarda cnotą najwyższą. Chciała ona widzieć ciało chude, straszne, wynędzniałe z głodu, chcąc w ten sposób uciec przed niem i przed ziemią. — O, ta dusza była jeszcze sama chuda, straszna i wynędzniała, i okrucieństwo było tej duszy rozkoszą. — Ale i wy, bracia moi, mówicie do mnie: co mówi ciało o duszy? Nie jestże wasza dusza ubóstwem i brudem i nędzną przyjemnością? — Zaprawdę, brudnym strumieniem jest człowiek. Trzeba być morzem, aby móc wchłonąć w siebie brudny strumień i nie zbrudzić się. — Patrzcie, oto nauczam was nadczłowieka. On jest owem morzem, w którem wasza wzgarda może utonąć. — Co jest największego, czego doznać możecie? Jest to godzina wielkiej pogardy. Godzina, w której wam wasze szczęście, wasz rozum i wasza cnota obrzydną. — Godzina, w której powiecie: cóż zależy na moim rozu-

mie? Pożąda-ż on wiedzy, jak lew pokarmu? Wiedza jest ubóstwem i brudem i nędzną przyjemnością? — Godziną, w której powiecie: Cóż zależy na mojej cnocie? Jeszczem dla niej nie oszalał. Jakże zmęczyły mnie dobre i złe uczynki! Wszystko to jest ubóstwem, brudem i nędzną przyjemnością?— Godzina, w której powiecie: Cóż zależy na mojej sprawiedliwości? Nie widzę, abym był żarem i węglem. — Godzina, w której powiecie: Cóż zależy na mojem miłosierdziu? Nie jestże miłosierdzie krzyżem, do którego przybiją tego, który ludzi kocha? Ale moje miłosierdzie nie jest ukrzyżowaniem. — Czy mówiliście już, wołaliście już tak? Ach, żebym was tak wołających słyszał. — Nie wasz grzech — wasze umiarkowanie krzyczy w niebogłosy; wasze skąpstwo w waszym grzechu krzyczy w niebogłosy. — Gdzie jest błyskawica, któraby was językiem swoim polizała? Gdzie jest szaleństwo, które trzeba w was zaszczepić? — Patrzcie, oto nauczam was nadczłowieka: ten jest ową błyskawicą, owem szaleństwem [1]).

Przemówiwszy w ten sposób do motłochu, Zarathustra zamilkł i czekał na skutek swojej nauki. Naiwnemu mędrcowi, odwykłemu wśród gór i lasów od zwykłej mowy ludzkiej, zdawało się, że naród powita jego słowa „głębokie“ głosem podziwu i okrzykami radości. Ale naród śmiał się głupkowato, a jeden z tłumu zawołał: Słyszelimy już dosyć o owym linoskoku; teraz chcemy go oglądać...

Wiadomo, że Nietzsche szukał bardzo długo formy, odpowiadającej najlepiej rodzajowi jego umysłu. Wypełniwszy kilka tomów aforyzmami i wykrzyknikami, wybrał sobie w końcu obrazowy styl przypowieści, nadającej się do podniosłego tonu proroctwa. Zapomniał tylko, że główną siłę i wdzięk przypowieści stanowi prostota, niemająca nic wspólnego z napuszoną frazeologią „głębokiego“ filozofa.

Jakże chciał Zarathustra, aby lud, który przybył na rynek w celu zabawienia się sztukami linoskoka, zasmakował w jego zagmatwanej gadaninie? Nawet słuchacze, nienależacy do „motłochu“, muszą się dobrze namyślić, zanim zgłębią treść jego

---

[1]) Fryderyk Nietzsche: „Also sprach Zarathustra“; wydanie III, Lipsk, 1884 r., str. 9—11.

pierwszego kazania, nazwanego przez Nietzchego „przedmową“ („Zarathustra's Vorrede“).

W pierwszej chwili sprawia ono wstępne wrażenie szumu, spływa mnóstwo wyrazów głośnych, wysnuwających się bez ładu z mózgu chorego. Dopiero po powtórnem odczytaniu widzi się, że „przedmowa“ zawiera bardzo dużo treści, bo zasys całej nauki“ Nitzschego,

„Nadczłowiek jest treścią ziemi,“ — „Człowiek jest czemś, co trzeba pokonać,“ — „Zostańcie ziemi wierni i nie wierzcie tym, którzy wam o rzeczach nadziemskich mówią“ — „Bogowie umarli“, — „Cóż zależy na moim rozumie?“ — „Co na cnocie?“ — „Co na sprawiedliwości?“ — „Co na miłosierdziu?“ — „Są one ubóstwem, brudem i nędzną przyjemnością,“ — Nie wasz grzech, lecz wasze umiarkowanie krzyczy w niebogłosy...“

Zestawiwszy powyższe wykrzykniki obok siebie i przetłumaczywszy je na język zrozumiały, powstanie następujący łańcuch przesłanek i wniosków: Oto powiadam wam, że bogowie, przed którymi się dotąd korzyliście, umarli, a z nimi razem ich cnoty i grzechy. Nie gardźcie ziemią, ciałem, rozkoszami tego świata, cieszcie się życiem, albowiem kłamią, którzy mówią o jakichś światach nadziemskich. Zamiast się umartwiać, męczyć niepotrzebnie, majacząc o karze i nagrodzie pozagrobowej, starajcie się raczej wzmocnić w sobie, spotęgować środki używania doczesnego, abyście mogli wychylić do dna kielich szczęścia przeznaczonego człowiekowi przez naturę. Gdy mówię: człowieka należy pokonać! nie mam bynajmniej na myśli suchotniczych wskazówek nauki chrześcijańskiej. Nie człowieka, nie jego namiętności radzę zdeptać, zwyciężyć, lecz tylko tego człowieka, który obecnie istnieje, a którego straszą ciągle groźby napomnienia religii i etyki chrześcijańskiej. Ten człowiek, widzący w umiarkowaniu cnotę, musi ustąpić nadczłowiekowi, którego nie będą krępowały żadne przesądy.

Tak mniej więcej wygląda w zarysie doktryna Nietzschego, zrywająca stanowczo z całą tradycyą cywilizacyi aryjskiej. Zarathustra poszedł znacznie dalej od nowoczesnych materyalistów i pesymistów z Schopenhaurem na czele, jeszcze bowiem w lamentach „samotnika frankfurckiego“ skarży się dusza chrześcijańska, chociaż się on tego zapiera.

W dalszym ciągu rozwija Nietzche, pogłębia i uzasadnia wskazówki, zawarte w „Przedmowie Zarathustry.“

Do bogów umarłych wraca kilkakrotnie, drwiąc z tych, którzy w nich wierzą.

„Bóg jest przypuszczeniem — mówi w rozdziale p. t. „Na szczęśliwych wyspach“ (Auf den glückseligen Inseln), — a ja chcę, żeby wasza domyślność sięgała tylko tak daleko, jak wasza twórcza wola. Czy możecie stworzyć Boga? Nie mówcież mi o bogach. Bóg jest przypuszczeniem, a ja chcę, aby waszą domyślność ograniczała myśl. Czy możecie Boga wymyślić? O tem pamiętajcie, żebyście wszystko, co myślicie, widzicie, czujecie, myśleli, widzieli i czuli po ludzku. I co nazywacie światem, to powinniście sobie dopiero sami stworzyć... Gdyby bogowie istnieli, jakżebym wytrzymał, nie będąc sam bogiem? Więc niema bogów... Bóg jest przypuszczeniem, ale któż zdołałby wypić mękę tego przypuszczenia, nie pragnąc śmierci. Któż chciałby odebrać tworzącemu jego wiarę w siebie, a orłowi jego lot w przestrzeniach orlich? — Bóg jest myślą, która skrzywia wszystko proste i wprawia w ruch wszystko, co stoi. — Sama myśl o tem jest wirem i szumem dla człowieka, a dla jego żołądka wymiotami: zaprawdę, chorobą wirującą nazywam takie przypuszczenie“ (j. w. str. 119, 120).

Zarathustra, nieznoszący bogów głównie dla tego, że, „gdyby istnieli, nie wytrzymałby, nie będąc sam mieszkańcem niebios,“ nienawidzi oczywiście także wszelkiego duchowieństwa.

„Jak trupy postanowili żyć — mówi w rozdziale p. t. „O kapłanach“ (Von den Priestern) - - i czarno ubrali swojego trupa; nawet w ich mowach czuję jeszcze brzydki zapach trupiarni. — A kto w ich pobliżu żyje, ten żyje nad brzegiem czarnych stawów, w których żaby swoją słodkoponurą pieśń zawodzą“ (j. w. str. 129).

I uczonych nie cierpi Zarathustra.

„Wyprowadziłem się z domu uczonych, zatrzasnąwszy drzwi za sobą. — Zbyt długo siedziała moja dusza głodna przy ich stole, nie wytresowano jej bowiem do poznawania jak do łupania orzechów. — Lubię swobodę i powietrze nad świeżą ziemią. Wolę spać na skórze byczej, aniżeli na ich godnościach i zaszczytach“ (j. w. 179).

A nietylko uczonych z zawodu lekceważy Zarathustra, lecz w ogóle wszelkich ludzi oświeconych, wykształconych.

„Znalazłszy się w kraju oświeconych (Vom Lande der Bildung), roześmiałem się głośno, jeszcze bowiem nigdy nie wi-

działem tyle pstrokacizny. I śmiałem się i śmiałem, wołając: oto jestem na ziemi wszystkich garnków z farbami. — Z pięćdziesięciu, wymalowanemi na twarzy i ciele plamami, siedzieliście, o moi współcześni. — A na około was było pięćdziesiąt zwierciadeł, które schlebiały waszym malowankom i odbijały je. Zaprawdę, lepszej maski nie potrzebujecie, o moi współcześni. Najlepszą maską jest twarz wasza. Któżby was poznał? — Pokryci od góry do dołu znakami przeszłości, macie na tych znakach jeszcze inne, nowe: tak umalowani ukryliście się przed wszystkimi odgadywaczami. — Wszystkie czasy i narody wyzierają z waszych opon, wszystkie obyczaje i wiary przemawiają z waszych ruchów... Jesteście chodzącemi przeciwieństwami wiary samej i wszelkich myśli kołowacizną... Wszystkie czasy kłócą się w waszych umysłach, a nawet wszystkich czasów majaki i gadaniny były jeszcze prawdziwsze od waszej trzeźwości... Jesteście otwartemi bramami, przed któremi czekają grabarze i oto wasza jedyna rzeczywistość, o moi współcześni, oświeceni: wszystko, co jest, powinno przepaść...“ (j. w. str. 170—172).

Nietylko religie, zwyczaje, obyczaje i wiedza chwili obecnej przepełniają duszę Zarathustry wstrętem, lecz obrażają ją także urządzenia społeczne.

Więc niema nic w chwili obecnej, coby się ostało przed morderczą krytyką Zarathustry, nic, coby zasługiwało na jego uznanie. Religie, wiedza, zwyczaje i obyczaje, urządzenia społeczne, cały, słowem, człowiek współczesny powinien ustąpić innemu, nowemu. Z karty przeszłości starł Nietzsche wszystkie „znaki“, wszystkie „wartości“, nie zatrzymawszy dla przyszłych pokoleń ani jednej. *Tabula rasa*... „Jesteście otwartemi bramami, przed któremi czekają grabarze i oto wasza jedyna rzeczywistość, o moi współcześni. Wszystko, co jest, powinno przepaść“...

Ale Zarathustra nie jest tylko krytykiem. Zamiotłszy porządnie, do czysta, zaśmieconą posadzkę naszego czasu, wymalował na niej esy i floresy, nowe „wartości“.

Przedewszystkiem sączy się z jego wskazówek jad nienawiści do chrześcijaństwa, do jego poglądów na życie doczesne, do jego cnót i tęsknot pozagrobowych. „Niepraktyczność“ nauki Chrystusowej niepokoi go ciągle. Wraca on do niej przy każdej sposobności.

„Nowej dumy nauczyła mnie moja jaźń; tej dumy uczę ludzi. Nie zanurzajcie głowy w piasku rzeczy niebieskich, lecz

nieście ją wysoko, swobodnie, głowę ziemską nieście, która odtwarza treść ziemi. — I nowej woli uczę człowieka: chciejcie postępować tą drogą, którą szedł człowiek na oślep i nie zbaczajcie z niej, do chorych podobni i umierających. — Chorzy to i umierający wzgardzili ciałem i wynaleźli rzeczy niebieskie i zbawcze krople krwi... Uciec chcieli przed swoją nędzą, a gwiazdy były zbyt daleko od nich. Wówczas westchnęli: „O gdyby istniały drogi niebieskie, abyśmy się mogli zakraść do innego bytu i do innego szczęścia". I wtedy wynaleźli różne podstępy i krwawę napoje" (j. w. str. 39, 40, *Von dem Hinterwelteern*).

Obrzydliwością są dla Zarathustry wszyscy asceci, gardziciele ciała i jego rozkoszy, obrzydliwością wszyscy, którzy mówią o duszy i jej tęsknotach.

„Ale przebudzony, świadomy mówi: ciałem jestem na wskroś i niczem oprócz ciałem, dusza zaś jest tylko słowem, która oznacza coś w ciele. Ciało jest wielkim rozumem... Narzędziem twojego ciała jest także twój mały rozumek, który nazywasz duchem — małem narzędziem, zabawką twojego wielkiego rozumu" (j. w. str. 42, *Von den Verächtern des Leibes*).

Mówisz o duszy, o jej szlachetniejszem pochodzeniu, o jej przeczuciach i pragnieniach, śmieszny człowieku! Łudzisz się i okłamujesz... Jedynem źródłem i bodźcem twojego postępowania jest egoizm.

„Po za twemi myślami i uczuciami, bracie, stoi potężny rozkazodawca, ukryty, nieznany mędrzec. Imię jego „Ja". Mieszka on w twojem ciele, jest twojem ciałem. — Jest więcej rozumu w twojem ciele, aniżeli w twojej najlepszej mądrości... Twój egoizm drwi z twojego „ja" i z jego dumnych skoków. Czemże są owe skoki i wzloty myśli? — mówi — Manowcem, wiodącym ostatecznie do mojego celu" (j. w. str. 43).

Gdyby Zarathustra Nietzschego tylko bronił ciała i jego praw, byłby znanem echem materyalizmu wszystkich czasów. Cały szereg mędrców i poetów bieżącego stulecia wygłosił te same zasady, chociaż w innej formie. Nie pierwszy Zarathustra szturmuje do ideałów chrześcijaństwa.

Ale Nietzsche nietylko występuje w obronie ciała i jego instynktów, lecz zaleca wprost, bez ogródki, posłuszeństwo jego pożądaniom. Co ludzkość, wychowana przez cywilizacyę chrześcijańską, ukrywała starannie — swoje samolubne zachcianki i czyny — co nazywała nieszlachetnością, słabością, grzechem, co na-

wet krańcowi doktrynerowie materyalistyczni i pesymistyczni usiłowali złagodzić i przyozdobić za pomocą draperyi, utkanej z dowodów sofistycznych, to podnosi nowy prorok do godności cnoty. I na tem polega jego smutna oryginalność.

„Mówili wam dawniej—uczy Zarathustra — że namiętności należy trzymać na łańcuchu woli, jak złe, szkodliwe bestye. Nie wierzcie temu kłamstwu. Ono szkodzi życiu.

— Niegdyś miałeś namiętności i nazywałeś je złemi. Ale teraz masz tylko cnoty, które wyrosły z twoich namiętności. Najwyższe cele swoje połączyłeś z temi namiętnościami, a wówczas stały się one cnotami i przyjaciółkami“ (j. w. str. 46, *Von den Freuden-und Leidenschaften*).

Prawili ci o t. zw. miłości bliźniego, o pobłażliwości silnych dla słabych, możnych dla ubogich, zdrowych dla chorych, o poświęceniu, o ofierze i t. p. przesądach. Nie słuchaj tych fałszywych proroków, albowiem oni nie mają wyobrażenia o potrzebach życia.

„Radzęż wam miłość bliźniego. Raczej radzę wam ucieczkę przed bliźnim... Nie możecie z sobą wytrzymać i nie kochacie się dostatecznie i dlatego chcecie bliźniego zwieść miłością i siebie i jego złudzeniem ozłocić... Nie bliźniego was nauczam, lecz przyjaciela. Przyjaciel niech wam będzie świętem ziemi i przeczuciem nadczłowieka“ (j. w. str. 84, 85, *Von der Nächstenliebe*).

Uczyli was litości, miłosierdzia, obiecywali nagrodę niebieską tym, którzy ocierają łzy cierpiących... Uczyli was źle, bo człowieka silnego obraża i męczy widok niemocy. Nie szukać należy niedołężnych i chorych, lecz schodzić im z drogi, aby obraz ich nędzy nie zatruwał waszego szczęścia. I tak używa człowiek za mało szczęścia na ziemi.

„Od czasu, jak człowiek istnieje na ziemi, radował się za mało: to, bracia mili, jest naszym jedynym grzechem pierworodnym... Żebraków należy zupełnie znieść! Zaprawdę, gniewamy się, gdy im dajemy i gniewamy się, gdy im dać nie możemy“ (j. w. str. 124, *Von den Mitleidigen*).

Współczucie, miłosierdzie, litość i t. p. wytwory słabości ludzkiej, narobiły więcej złego, aniżeli dobrego. Rzeczy wielkich nie stworzyła nigdy łagodność i miękkość, lecz zawsze tylko siła.

„Natury twórcze są twarde, nieubłagane“ (j. w. str. 126).

Największą krzywdę wyrządzili ludzkości, podług Nietzszego moraliści cywilizacyi chrześcijańskiej, którzy sfałszowali pojęcia o dobrem i złem. Dobrem nie jest bynajmniej — uczy Zarathustra — dobroć w rozumieniu dziś powszechnie przyjętem. Dobroć dzisiejsza, to dobroć niewolników. którzy zbuntowali się przeciw dobroci panów.

Dobremi nazywano pierwotnie i jedynie słusznie tylko te przymioty, które służyły rasie rozkazującej, rządzącej czyli panom, więc: odwagę, męstwo, dumę, pogardę, kłamstwa, pochlebstwa, uniżoności, gwałtowność, bezwzględność, zdrowie, bogactwo, znaczenie i t. d.; złemi zaś były, nikczemnemi: pokora, cierpliwość, obłuda, przebiegłość, ubóstwo, choroba i t. p. wady i klęski służby, niewolników.

Przemiana wartości moralnych, zwycięstwo „moralności niewolników“ nad „moralnością panów“ jest dziełem chrześcijaństwa i dlatego nienawidzi go Zarathustra.

Bo ten Nietzsche-Zarathustra jest, czy chce być „panem“, materyałem na nadczłowieka.

Pierwotnie łudzi się, że jego naukę zrozumie i umiłuje cała ludzkość. Więc stanął na rynku i przemawiał do ludu. Zmiarkowawszy jednak rychło, że motłoch przenosi sztuki linoskoka nad jego „głębokie“ słowa, otrząsnął kurz ulicy z sandałów i przemawiał odtąd tylko do „wybranych“, nie szczędząc „hołocie“ przy każdej sposobności drwin i pogardy. Określenia, jak: mali ludzie, zbyteczni, niepotrzebni, małe myśli, małe uczucia, małe cele, głupcy, hałastra, bydło i t. d., powtarzają się co kilka stronnic w „Tak rzekł Zarathustra“.

„Życie jest źródłem rozkoszy—mówi Zarathustra—ale tam, gdzie hołota także pije, są wszystkie studnie zatrute.—Kocham wszelką czystość, ale patrzeć nie mogę na śmiejące się mordy (*Mäuler*) i na pragnienie nieczystych. — Rzucili oczy swoje do studni: i oto widzę w studni ich wstrętny uśmiech. Świętą wodę zatruli swoją lubieżnością; a gdy nazwali swoje brudne marzenia rozkoszą, zatruli nawet słowa. — Wspina się płomień z gniewu. gdy oni swoje wilgotne serce do ognia przykładają; sam nawet duch kipi i dymi, gdy hołota stanie przy ogniu. — Przesłodkim i podejrzanym staje się w ich rękach wszelki owoc; spojrzenie ich odbiera moc i soczystość każdemu drzewu.—I niejeden, który się od życia odwrócił, odwrócił się tylko od hołoty; nie chciał dzielić studni, ognia i owoców z hołotą. — I nie-

jeden, który udał się na pustynię i łaknął i pragnął i z dzikiemi zwierzętami, nie chciał tylko spoczywać z hołotą przy tej samej cysternie. — I niejeden, który przyszedł jako burzyciel i spadł na pola, jak grad, chciał tylko hołocie włożyć nogę w paszczę i w ten sposób ją zapchać“ (j. w. str. 136, 137; *Vom Gesindel*).

Cała nienawiść dekadentyzmu do pospolitości i powszedniości życia występuje z gwałtownością długo tamowanego potoku, ilekroć Zarathustra mówi o „hołocie“, o „motłochu.“ Nie ma dość silnych określeń w słowniku obelg i zniewag do wyrażenia jego gniewu.

I ta nienawiść do pospolitości i powszedniości życia jest właściwem źródłem „pańskiej doktryny“ Nietzsche'go. Z niej wytrysła jego nowa „moralność,“ która ma wrócić naturom niezwykłym, utalentowanym świadomość ich siły i posłannictwa.

Nie do ludzkości w ogóle przemawia ostatecznie Zarathustra, lecz tylko do „tworzących“ (*Die Schaffenden*), do tych, których życie wchodzi do historyi, jest historyą rodu człowieczego. Reszta, wielkie masy szarego tłumu, miliony, to „trzoda“, o której nie warto nawet myśleć, bo przeznaczeniem jej: byt niesławny, roślinny i śmierć listka, więdnącego na drzewie.

Nie człowiek jako taki, jego uszlachetnienie i uszczęśliwienie, jest celem życia, lecz tylko człowiek niezwykły, wyjątkowy, — „nadczłowiek.“ Praca całej ludzkości powinna się na to składać, aby wytworzyć jak najwięcej „nadludzi,“ „panów,“ „nadczłowiek bowiem jest treścią ziemi.“ Dla nadczłowieka nie ma grzechów i występków. Wszystko, co jemu służy, chociażby to motłoch złem nazywał, jest dobrem; zbrodnia nawet w zwykłem rozumieniu zamienia się w jego ręku na cnotę.

„Nadczłowiekowi“ wolno wszystko: kraść, zabijać, gwałcić, deptać hołotę, wyzyskiwać słabszych, gardzić głupszymi, być samolubnym, nielitościwym, okrutnym, motłoch bowiem istnieje tylko dla niego. Tłum powinien się kłaść bez oporu do jego stóp, szczęśliwy, że nadczłowiek raczy korzystać z jego trudu i cierpienia.

Człowiek niezwykły ma obowiązek być złym, samolubnym, albowiem jego „złość“ przyśpiesza wytworzenie „nadludzi“.

„Złość jest najlepszą siłą człowieka“ (j. w. str. 416; *Vom höheren Menschen*).

Zapomniał tylko Nietzsche o rzeczy najważniejszej: nie wska-

zał celu, przeznaczenia owych nadludzi. Cóż te postacie symboliczne, te wytwory całej siły ludzkości mają dać człowiekowi za jego ofiarę i służbę posłuszną? Dokąd prowadzą „panowie“ „trzodę,“ dokąd dążą, czego chcą? Trzoda ma prawo znać posłannictwo nadludzi.

Zarathustra nie mówi nic o celu istnienia człowieka. Brak tej wskazówki, która powinna była uwieńczyć dzieło Nietzschego, jest błędem zasadniczym jego doktryny.

Zapomniał także Nietzsche o połowiczności człowieka, o jego ograniczonych przez zmysły środkach i zdolnościach. I najwyższy nadczłowiek będzie zawsze tylko człowiekiem, czyli istotą, podlegającą głodowi, namiętnościom, chorobom i śmierci, i tracącą miarę w postępowaniu, gdy nie czuje nad sobą nadzoru bogów i prawa.

Ludzkość wydaje od czasu do czasu, w chwilach rozkładu pewnej formy cywilizacyi, nadludzi w rozumieniu Nietzsche'go, ale są to wówczas zawsze tylko oszalałe z pychy zwierzęta w rodzaju Kaligulów, Neronów, Domicyanów, Kommodów, Karakallów, Gilles'ów de Rais, margrabiów de Sade i t. p. dekadentów czynnych.

Doktryna Nietzschego jest wybrykiem chorobliwego indywidualizmu dekadentów, dziwaczną formą egotyzmu, który, doszedłszy do krańców samolubstwa ludzkiego, postradał zmysły... zwaryował. Pomieszały się w jego biednej, skołatanej głowie pojęcia logiczne, moralne i estetyczne, pomieszały się określenia, wartości słowa w końcu. Brutalnego perweniusza nazwał „panem,“ obłąkanego frazeologa mędrcem, niesmaczne ględzenie mową natchnioną, czarne białem, zielone czerwonem. Tu i owdzie — w chwilach jaśniejszych, w *lucid'*ach *intervalla'*ach — błyśnie jakieś dobre spostrzeżenie, jakaś wskazówka rozumna, śmiała, prawdziwa, ale nie wiele tych błysków. Całość jest zwaryowaną gadaniną, zasługującą na uwagę tylko, jako zjawisko patologiczne naszych czasów, starganych przez nadmierny egoizm.

Do charakterystyki stylu Nitzschego wystarczy przekład któregokolwiek rozdziału „Zarathustry.“ Oto, jak prorok przyszłości śpiewa (j. w. str. 149 i następne; *Das Nachtlied*):

„Nadeszła noc; teraz mówią głośniej wszystkie fontanny. I moja dusza jest także fontanną. — Nadeszła noc; teraz przebudzają się wszystkie pieśni rozkochanych. I moja dusza

jest także pieśnią rozkochanego. — Jest we mnie coś niezaspokojonego, coś, co się nie da zaspokoić; to coś chce mówić głośno. Jest we mnie pożądanie miłości, które przemawia samo mową miłości. — Jestem światłem. O, gdybym był nocą! Ale na tem polega moja samotność, że mnie światłość otacza.— Ach, gdybym był ciemnym i nocnym! Jak ssałbym wówczas u piersi światła! — I was małe, rozkoszne gwiazdki na górze i robaczki świętojańskie błogosławiłbym jeszcze! I byłbym szczęśliwy z powodu waszych darów świetlanych. — Ale żyję własnem światłem, ssię w siebie płomienie, które ze mnie tryskają.— Nie znam szczęścia biorących, i często śniło mi się, że kradzenie sprawia większą przyjemność od brania. — Jest mojem ubóstwem, iż ręka moja nie wypoczywa nigdy od dawania; jest moją zazdrością, że widzę czekające oczy i rozjaśnione noce tęsknoty. — O, nieszczęście wszystkich rozdawających! O, zaćmienie mojego słońca! O, pożądanie pożądliwości! O, głód w nasyceniu! — Oni biorą odemnie, a ja czy potrącam jeszcze o ich dusze? Jest przepaść między dawaniem i braniem, a przepaść najmniejszą można dopiero na końcu zakryć. Głód wyrasta z mojej piękności: źle czynić chciałbym tym, którym przyświecam, okraść chciałbym moich obdarowanych: — i oto łaknę złości"...

W tej dziwacznej gadaninie, wsłuchawszy się w nią dobrze, jest jakiś sen, ale i w majakach obłąkanych tkwi zawsze jakaś treść.

Pospolity śmiertelnik, mówiąc o rozkoszy i boleści, powie: byłoby dobrze, gdyby rozkosz mogła trwać jaknajdłużej, boleść zaś jak najkrócej. Nie tak Nietzsche. On potrzebuje do wyrażenia tej banalnej myśli całej góry pustych słów i dziwacznej interpunkcyi.

— Minęło, minęło!—woła. — O, miłości! O, południe, o południe! Oto nadszedł wieczór, noc nadeszła i północ! Ach, ach! jak ona jęczy! jak się śmieje, jak charczy i stęka owa północ! Jak właśnie trzeźwo przemawia owa pijana poetka! Przepiła zapewne swoje pijaństwo? wytrzeźwiała? przeżuwa znów?—boleść swoją przeżuwa we śnie, stara, głęboka północ, a więcej jeszcze swoją rozkosz.! Rozkosz bowiem, gdy boleść jest głęboka: rozkosz jest jeszcze głębsza od cierpienia serdecznego. Boleść mówi: przepadnij! Odejdź, boleści!... Ale rozkosz domaga się powrotu wieczności (*Alles-sich-ewig-gleich*). Boleść mówi: pękaj, krwaw się, serce

Poruszaj się, nogo, fruwaj, skrzydło! W górę, w górę! Boleści! W górę, w górę! O, moje stare serce: boleść mówi: przepadnij! Wy, wyżsi ludzie... gdy który z was pragnął czegoskolwiek dwa razy, mówił kiedykolwiek „podobasz mi się, szczęście! okamgnienie!“ wówczas pragnął, aby się wszystko wróciło. Wszystko na nowo, wszystko wiecznie, wszystko spojone, nanizane, zakochane; o, tak, kochaliście świat, wy wieczni; kochajcie go wiecznie i po wszystkie czasy: i także do boleści mówcie: przepadnij, ale wróć. Bo każda rozkosz pożąda — wieczności. Każda rozkosz pożąda wieczności wszystkich rzeczy, pożąda miodu, pożąda drożdży, pożąda upojonej północy, pożąda grobów, pożąda pociechy łez mogilnych (*Gräber - Thränen - Trost*), pożąda ozłoconego zachodu słońca...

Dość postawić obok powyższej halucynacyi „filozoficznej“ Nietzsche'go jakikolwiek „poemat liryczny“ Maeterlinck'a, aby zrozumieć blizkie pokrewieństwo między doktrynerem niemieckim, a belletrystami francuskimi doby ostatniej. Naprzykład jego „Dusza“.

— Moja dusza! O, moja rzeczywiście zanadto pod dachem strzeżona dusza! I te stada namiętności w cieplarni! Czekające na burzę na łące. Idźmy do najwięcej chorych: wydają one z siebie dziwne wyziewy. Idę z niemi z matką przez pobojowisko. Chowają właśnie towarzysza broni w samo południe, podczas kiedy widety obiadują. Idźmy także do najsłabszych: wydają one z siebie dziwne poty; oto chora narzeczona, zdrada w niedzielę i małe dzieci w więzieniu. (A dalej, po przez dym) czy to umierająca pod drzwiami kuchni? Albo zakonnica, płukająca jarzyny u stóp łoża nieuleczalnego biedaka? Idźmy także do najsmutniejszych: (na końcu, bo są w nich trucizny). O, moje usta przyjmują pocałunki rannego. Wszystkie niewiasty zamkowe skonały z głodu, tego lata, w wierszach mojej duszy i t. d.

Ludzie to o zdrowych zmysłach w ten sposób przemawiają, czy waryaci?

A jednak znalazł się między inteligencyą współczesną spory zastęp wielbicielów tej obłąkanej gadaniny. Właśnie szum słów Nietzsche'ych, Maeterlinck'ów i t. p. „geniuszów“, oczarował „wytwornych smakoszów“. Dr. Garfein mniema [1]), że „opo-

[1]) Dr. Garfein, Fryderyk Nietzsche, warszawskie „Ateneum“ zeszyt za kwiecień 1893, str. 124 i 132.

wiedzieć treść Zarathustry, znaczy opowiedzieć blask słońca, woń kwiatów, huk bałwanów". Słowa Nietzschego płyną, podług Garfeina, „już to niby fale morza, rozgrzanego przez życiodajne promienie słońca, już to niby srebrzyste światło zawieszone na obłoku księżyca, już to niby przecudna woń kwiecia po majowym deszczu, już to niby tony strun, poruszanych lekkiem tchnieniem powiewu. Słowa jego, to szum, blask, woń, śpiew: cała symfonia świateł i dźwięków, barw i odcieni".—Dr. Hugo Kaatz, jeden z głośniejszych niemieckich wyznawców Nietzsche'go, chociaż wie bardzo dobrze, że książki mistrza nie mogą być bez komentarza, mówi mimo to o „zwycięzkiej piękności jego stylu" (sieghafte Schönheit des Stils[1]). To samo mniej więcej głoszą: pani Lou Andreas Soleme, Robert Schellwien, dr. Marks Zerbst i in. Sam Nietzsche jest dumny z „aforystycznego" sposobu pisania i wierzy, że prześcignął wszystkich stylistów świata cywilizowanego, gdy ukuł jakiś śmieszny wyraz złożony. Nawet Niemcy przywykli do straszliwego żargonu swoich filozofów, nie mogą strawić takich kombinacyj, jak: „Allessich-ewig-gleich.—Gräber-Thränen Trost;—Kleiner Leute-Geruch; — ein Nieder-werfen-wollen—ein Herr-werden-wollen.—So undsosein—Nicht-wieder los-werden können — Nicht-wieder-los-werden-wollen—Zu-viel-Besuch— das Ansich-herankommen-lassen— das-Auf-dem-Bauch-Liegen—das allzeit sprungbereite Sichhinein-Setzen" — i t. p. W innych czasach nie zwracanoby uwagi na filozofię Nietzsche'go, dziś jednakże, kiedy zwaryowany z rozpaczy materyalizm czepia się, jak tonący, każdego listka zgniłego, ocalenia się od niego spodziewając, trzeba się nawet majakami obłąkanych zajmować, aby je we właściwem ustawić świetle. Bo na dnie tego bezmyślnego gadulstwa spoczywa mimo chaotycznej formy sens, a sens szkodliwy w zastosowaniu praktycznem. Poprzez „dzieła" Nietzsche'go wije się, wprawdzie bezładnie, koszlawo, poplątana i poprzerywana sto razy — ale wije się nić pojęć i wyobrażeń, składających się na pogląd świata jednolity. Głównie jego „moralność" znalazła gorących wielbicieli pomiędzy dekadentami chwili obecnej.

O systemie etycznym, o jakimś gmachu, wznoszonym stopniowo z fundamentów i wykończanym powoli, niema oczywiście

---

[1]) Hugo Kaatz, we wstępie do streszczenia dzieł Nietzsche'go p. t. „Die Weltanschauung Friedrich Nietzsche", 2 część, 1892. Część I, str. VII.

u Nietzsche'go mowy. To, co się jego moralnością nazywa, składa się z mnóstwa luźnych uwag, rozrzuconych bez ładu w kilku „tomach". Głównie z „Jutrzenki" (Morgenröthe, Gedanken über die moralischen Vorurtheile), z „Wesołej wiedzy" (Die fröhliche Wissenschaft), z „Po drugiej stronie dobra i zła". (Jenseits von Gut und Böse), z „Genealogii moralności" (Zur Genealogie der Moral) i z „Tak rzekł Zarathustra" (Also sprach Zarathustra) trzeba wyławiać stargane na szmaty strzępy doktryny Nietzsche'go [1]).

Mylili się wszyscy, — uczy Nietzsche — którzy stawiali na początku pierwotnego społeczeństwa jakąś umowę między rządzącymi i rządzonymi. Nie umowa złączyła pewną ilość jednostek w całość, tym samym podlegającą prawom, lecz najpospolitszy gwałt. Rasa silniejsza, obdarzona zdolnością organizowania i rozkazywania, narzuciła słabszej swoją wolę i w ten sposób powstało społeczeństwo.

Z pomiędzy ras ludzkich upodobał sobie Nietzsche głównie blondynów (ma to być prawdopodobnie: Germanów i Słowian). Oni to, owe „jasnowłose, wspaniałe, za zdobyczą i zwycięztwem chciwie ciągnące bestye" (prachtvolle, nach Beute und Sieg lüstern schweifende blonde Bestie), urodzeni panowie, podbili Europę, założyli państwa i narzucili poddanym swoje wyobrażenie o cnocie i występku. Cnotą było wszystko, co służyło do podtrzymania ich stanowiska, więc: odwaga wojenna, pogarda niebezpieczeństw, duma, lekceważenie słabych, pycha i okrucieństwo, występkiem zaś: tchórzostwo, miłość spokojnego życia, pokora, miłosierdzie, łagodność, pochlebstwo i t. d.

I było (Nietzsche) dobrze na świecie, dopóki ludźmi rządziła „moralność panów" (Herren Moral), stanowiąca przeciwieństwo „moralności niewolników" (Sklaven-Moral), istniała bowiem wówczas garść ludzi względnie szczęśliwych. Ale nagle stała się rzecz niespodziewana. Niewolnicy, znoszący przez długie wieki cierpliwie przewagę „panów", zbuntowali się, przewrócili dotychczasowy porządek, postawili s w o j ą moralność na piedestale ogólnie obowiązujących praw, „zemścili się", słowem, srodze na „panach", narzuciwszy im s w o j e poglądy. Co było

---

[1]) Główne dzieła Nietzsche'go, który zaczął pisać w 1872, wyszły między r. 1882 i 1889.

dotąd złem, stało się dobrem: poprzednia nikczemność przeobraziła się w cnotę.

W ten sposób tłumaczy Nietzsche chrześcijaństwo, wymyślone, podług niego, przez żydów, w celu ukarania i zgnębienia „panów".

Z chwilą zapanowania moralności chrześcijańskiej, rozpoczęła się nędza człowieka, kiedy bowiem dawniej korzystali „panowie" z darów ziemi i życia bez ograniczenia, teraz popadli w nieszczęście wszyscy, zarówno panowie, jak niewolnicy. Obłuda trawi od lat dwu tysięcy całą ludzkość. Bo nie prawdą jest, aby człowiek był z natury dobry, łagodny, skłonny do ustępstw na rzecz bliźniego i aby wyzysk miał być złem. Tak zw. podłość należy przeciwnie do „istoty życia, jest jego funkcyą organiczną". Kto żyje, ten wyzyskuje; wszelkiego życia podstawą bywa okrucieństwo. Człowiek potrzebuje do tego stopnia burzyć coś, niszczyć, że nie mogąc od czasów panowania „moralności niewolników" okazywać jawnie swoich upodobań, zwraca je na wewnątrz, przeciw sobie. To wewnętrzne szamotanie się, gryzienie, męczenie, ochrzczono, podług Nietzsch'ego, wyrzutami sumienia" (schlechtes Gevissen).

Ludzkość musi wrócić do „moralności panów" — mniema Nietzsche — bo celem jej nie jest szczęście wszystkich, jak chce chrześcijaństwo, lecz szczęście jednostek wybranych — panów, urodzonych do używania i rozkazywania — „nadludzi" (Ubermenschen), czyli najdoskonalszych typów gatunku. Miliony istnieją tylko na to, żeby tych „nadludzi" wydały. Aby się zaś owi „nadludzie" mogli swobodnie, bez żadnej przeszkody rozwijać, należy usunąć „moralność niewolników". Nie zasada: nie nie czyń drugiemu, co tobie nie miło — obowiązuje „nadludzi" ecz przeciwnie: czyń właśnie drugiemu, co nie chcesz, aby tobie uczynił, wyzyskuj, depcz słabszego, bądź twardym, nieubłaganym, złym w rozumieniu „niewolników", bo „złość jest najlepszą siłą człowieka" (das Böse ist des Menschen beste Kraft).

Wielbiciele Nietzschego podziwiają przedewszystkiem jego oryginalność i śmiałość. Drugi przymiot należy się w istocie twórcy „moralności panów", pierwszego jednak nie może mu nikt przyznać, kto zna historyę rozwoju myśli ludzkiej drugiej połowy bieżącego stulecia.

Nietzsche odwrócił dotychczasowe pojęcia o wartościach, moralnych, zaprzeczywszy wolnej woli, a dostrzegł w egoizmie

jedynie uprawnione źródło postępowania? Cóż innego uczynili pozytywiści i ewolucyoniści. I oni odrzucili podwaliny etyki metafizyków i wywiedli swoją moralność z egoizmu.

Nietzsche, nie uznając idei wrodzonych, postawił na ich miejscu instynkty i przyzwyczajenia. — To samo stanowisko zajął Spencer.

Ale Nietzsche, nie uznając idei wrodzonych, postawił na ich miejscu instynkty i przyzwyczajenia. — To samo stanowisko zajął Spancer.

Ale Nietzsche, wołają jego wyznawcy, podzielił ludzkość na panów i niewolników, potępił chrześcijaństwo za jego pogardę dla Złotego Cielca, za kult ubóstwa, za miłość dla słabych, za jego ascetyzm. — Wrogami moralności chrześcijańskiej byli przed nim Renan, Strauss i Heine; miłosierdzie, litość, dobroć potępił Malthus, Darwin, Spencer, (jeszcze dawniej Spinoza), praw bogactwa bronił Bucle, z „mowy społecznej“ Rousseau'a drwili wszyscy pozytywiści i ewolucyoniści, a urągają jej dotąd dekadenci francuscy i angielscy.

Nietszche stworzył „nadczłowieka“. Czegóż innego chciał Renan, gdy mówił w „Dyalogach filozoficznych“, że celem ludzkości jest wydawanie wielkich ludzi? (*La fin de l'humanité c'est poduire des grands hommes*). I Taine, Spencer, Darwin, Flaubert, Baudelaire nienawidzili „motłochu“, a współcześni dekadenci majaczą ciągle o jakiejś arystokracyi inteligencyi, o „smakoszach“, „artystach“, o „wykwintnych“ i „przecywilizowanych“, którzy mają posiadać prawo do „umiejętnego wyssania życia“ kosztem „barbarzyńców“. czyli głupców, ujarzmionych przez śmieszne fantazmy i przesądy. Owi „wytwornisie“ dekadentów to „nadludzie“ Nietzche'go, pasorzyci, próżniacy, zblazowani materyaliści, mieniący się kwiatem ludzkości.

Oryginalnym Nietzsche nie jest. Wchłonął on w siebie wszystkie negacye drugiej połowy bieżącego stulecia, zmieszał je, przetrawił do połowy i wypluł napowrót, ku podziwowi swoich mistrzów. „Niezawiśli,“ gdy ujrzeli swoje teorye bez maski obłudnej kazuistyki, która zasłania właściwie oblicze ich moralności, zdumieli się tak samo, jak antropologowie kryminalni, zbici z tropu przez paradoksy profesora Albrechta. Czego oni, wdychający w siebie jeszcze woń „pustego, ale wonnego naczynia“, nie śmieli wypowiedzieć; co oni, zdrowi na umyśle, rozumiejący ujemną doniosłość moralności, usiłowali złagodzić, po-

kryć sztuczną frazeologią, to wygłosił mędrzec, wykarmiony „cieniem cienia“, chory, dziedziczny waryat, wydający niesforne książki między jedną słabością mózgową a drugą [1]). Gdy Nietzsche odrzucił altruizm, wówczas ukazał się nagi, ordynaryjny egoizm nieszlachetnego dorobkiewicza, depcącego nędzarzów, do których jeszcze wczoraj należał.

Bo nie ma Nietzsche pospołu ze swoimi poprzednikami wyobrażenia o prawdziwej „pańskości“, gdy każe „panu“, być: pysznym, mściwym, okrutnym, bezwzględnym, samolubnym, wyzyskiwaczem, podłym, słowem, zwierzęciem, żyjącem tylko dla siebie. Z pojęciem „pana“ łączą się zwykle przymioty rycerskie, które polegają nietylko na: odwadze osobistej, na pogardzie śmierci i na wygórywanem poczuciu honoru, lecz także na: hojności, uprzejmości wobec ubogiego, pobłażliwości dla słabszego i lekceważeniu pieniędzy. „Pan“ jest karykaturą, gdy nie pracuje publicznie, wszelka zaś działalność szersza wyklucza z natury swojej ciasny egoizm dekadenta.

Nie dla „panów“ skleił Nietzsche z odpadków materyalizmu filozoficznego i artystycznego swoją „moralność pańską“, lecz dla brutalnych parweniuszów w rodzaju Juliana Sorela (Stendhal), Roberta Greslou (Bourget) i Andrzeja Maltère'a (Barrès), lub dla nędznych rozbitków przecywilizacyi, jak książę des Esseintes (Huysmans). „Blady, zmysłowy, przez żądzę używania trawiony bourgeois“ przyklaśnie oczywiście skwapliwie doktrynie, uprawniającej jego apetyty. Ucieszy się jej także każdy parweniusz bez dyplomu pracy i zasługi, przyjemnie bowiem dowiedzieć się, że można zostać „panem“ przez wyzysk i poniewierkę słabszego.

Cudowna doktryna, jeszcze lepsza od moralności niezawisłej! Burżoazya powinna Nietzsche'mu postawić szczerozłoty pomnik.

I żydzi — naturalnie. Bo Nietzsche, który korzy się przed wszelką siłą, nie wyłączając zewnętrznych oznak „pańskości“ (małych rąk, nóg, swobodnych ruchów, dumnego spojrzenia, profilów jastrzębich) uwielbia żydów za ich wytrwałość w zemście,

---

[1]) Wiadomo, że Nietzsche pochodził z rodziny, prześladowanej przez obłęd dziedziczny.

za ich wyzysk, bezwzględność i samolubstwo. Dobrem, cnotą przecież nazywa, co dotąd za złe, za występne uchodziło.

Wszakże-ż on to, „naród wybrany“, miał, podług Netzsche'go, ukarać „panów“, narzuciwszy im moralność niewolników. Żydom, paryasom nowszej historyi, musi pochlebiać rola, wymyślona dla nich przez Nietzsche'go. Wie Izrael o tem najlepiej, że rządził się nie moralnością niewolników, lecz przeciwnie... zasadami „panów“ autora „Zarathustry“. Jeżeli kto, to są właśnie żydzi pospołu z burżoazyą najdoskonalszymi typami „panów“ filozofii dekadenckiej. Przeto nic dziwnego, że oni to głównie roznoszą po świecie sławę Nietzsche'go (Brandes, Garfein i in.), usiłując go wynieść na stanowisko „największego myśliciela bieżącego stulecia“. Potomkom arendarzów, lichwiarzów, podstępnych bankrutów i wyzyskiwaczów różnego rodzaju podoba się doktryna, wywracająca na nic pojęcia o dobru i złem.

Oprócz burżoazyi i żydów gromadzi się pod sztandarem „Zarathustry“ niedojrzała młodzież, zachwycona „nadczłowiekiem“, który może być wybornym parawanem dla wybryków studenckich. Lata wiosenne czują w sobie zawsze siłę „tytanów“, gardzących „filisterstwem“ życia powszedniego.

Że burżoazya, żydzi, dekadenci i młodzież uznali w Nietzschem nieporównanego mistrza, może zrozumieć, dla nich bowiem myślał Zarathustra. Ale kobiety?...

— Szczęście mężczyzny nazywa się: ja chcę! Szczęście kobiety nazywa się: on chce! — uczy Nietzsche. Cóż kobietę obchodzi prawda? Nie ma dla niej nic wstrętniejszego nad prawdę. Wielką sztuką życia jest kłamstwo. Dwóch rzeczy pożąda prawdziwy mężczyzna: niebezpieczeństwa i zabawki. Ponieważ kobieta jest najniebezpieczniejszą zabawką, przeto ubiega się o nią każdy dzielny mężczyzna, potrzebujący wypoczynku po trudach, ponoszonych w walce o byt. Zbyt słodkich owoców nie pragnie żaden mężczyzna, a najsłodsza kobieta potrafi być gorzką. Zabawką mężczyzny niech będzie kobieta, zabawką czystą i wytworną; słuchać powinna kobieta, gdyż nie rozumie się na honorze i głębi — ciasna i płytka. Mężczyzna powinien z sobą zabierać bat, gdy udaje się do kobiety i t. d.

Po takiej charakterystyce niewiasty, należy się dziwić bez-

interesowności zwolenniczek Nietzsche'go. Chyba słyszały o jego teoryach tylko zdaleka. [1]).

W filozofii Nietzsche'go dotarł nowoczesny materyalizm do kresu swojej karyery. Dalej anarchia pojęć iść nie może; niezawisły rozum nie wymyśli już nic nowego.

---

[1]) Bardzo rozumnie oświetlił doktryny Nietzsche'go Maks Nordau; „Entartung", 1893 r.; tom II, str. 272 i następne — W naszej literaturze zasługuje na wyróżnienie dobre studyum W. M. Kozłowskiego, zamieszczone w „Bibliotece Warszawskiej" (sierpień 1893 r. p. t. „Dekadentyzm współczesny i jego filozofowie". — Apoteozyę Nietzsch'ego napisał oprócz żydów, Ola Hansson p. t. „Friedrich Nietzsche, Seine Perösnlichkeit und sein System". Lipsk. — Najlepiej streścił i zestawił teorye Nietzsche'go cytowany wyżej dr. Hugon Kaatz: „Die Weltanschauung i t. d."

IX.

Dekadentyzm polski.

Stanisław Przybyszewski.

I w nasze progi zawitał dekadentyzm. Nie ominęła nas ta najnowsza wysypka przecywilizowanego Zachodu. Będziemy przez pewien czas podziwiali „wykwintne upodobania arystokratów ducha,“ będziemy się rozkoszowali „barwą, muzyką słowa“, będziemy się zabawiali odgadywaniem różnych łamigłówek psychologicznych i t. d.

Butnie, z fantazyą junaka, podającego harde czoło na wichry i burze, stanął dekadentyzm przed nami. Jeszcze nie miał czasu wypierzyć się, wyząbkować, a już rzucił rękawicę całej przeszłości.

W Krakowie, w cichym, uczonym Krakowie urodziło się cudowne dziecko, z twarzą starca, z nerwami histeryka.

Wychodził tam przez lat kilka tygodnik ilustrowany literacko-artystyczny i społeczno naukowy p. t. „Życie,“ założony przez młodego poetę, Ludwika Szczepańskiego. Około tego pisma ugrupowało się grono młodzieży, które postanowiło zapoznać publiczność polską z najnowszymi prądami literatury Europy Zachodniej.

Mimo szeregu bardzo wojowniczych artykułów polemicznych p. t. „Sztuka narodowa“ i „Młoda Polska“ nie zdołało „Życie“ zwrócić na siebie na razie uwagi szerszych kół. Właściwy kierunek nadał „Młodej Polsce“ dopiero Stanisław Przybyszewski; autor, znany w Niemczech od lat kilku i ceniony wysoko przez gromadkę „Najmłodszych Niemców“.

Poprzedzony sławą zagraniczną, która bywa u nas zawsze dobrem poleceniem, doznał Przybyszewski w Krakowie bardzo życzliwego przyjęcia. Młodzież otoczyła go gromadnie i mianowała swoim naczelnikiem.

Przybyszewski nie zawiódł oczekiwań swoich zwolenników, przemówił bowiem odrazu do „narodu“ językiem wodza, któremu się posłuch należy.

Biorąc d. 15 października 1898 r. „Życie“ z rąk Sewera Maciejowskiego, ogłosił manifest następujący:

„Dziękuję panu Sewerowi za słowa, któremi mnie w kraju wita. Niestety, zupełnie na nie nie zasłużyłem. Pracowałem w szczęśliwych warunkach, ale są inni wyżsi o całe niebo, wyżsi od wszystkich, których Polska z zagranicy importuje, wyżsi od tych, przed którymi społeczeństwo z bałwochwalczą czcią się korzy i wyżsi i zdolniejsi od tych, którzy po za granicami muszą szukać sławy i chleba, by się dać poznać własnym ziomkom“.

Pokłoniwszy się uprzejmie jakimś tajemniczym „wyższym“, których odkrył bo „ich społeczeństwo nie zna“, co sam przyznaje, zmienił Przybyszewski skromny ton i ciągnął dalej:

„Postanowiłem objąć „Życie“, aby podtrzymać ognisko, przy którem przez rok skupiały się najwybitniejsze siły „Młodej Polski“, a wreszcie dlatego, bo mam wiarę w nasze społeczeństwo, silną wiarę, że to społeczeństwo zechce raz wreszcie zrozumieć, iż nasze prawdziwe odrodzenie tkwi w nauce i sztuce. Wtedy chyba damy dowód naszej najsilniejszej żywotności, jeżeli niespożyta nasza siła duchowa tak Europę opanuje i taki na nią wpływ wywrze, jak naprzykład duch skandynawski. Ale to wtedy tylko nastąpić może, jeżeli całe nasze społeczeństwo poprze „nasze“ wydawnictwa, nie pozwoli „nam“ najlepszych sił naszych niszczyć na reporterstwie przy biurkach dziennikarskich, albo je zużywać na przekłady z obcych literatur. I wtedy to tylko nastąpić może, jeżeli „miarodajne organy“ tego samego społeczeństwa nie będą „nas“ obrzucały błotem, ale całą siłą poprą nasze usiłowania, choćby i były zupełnie sprzeczne z ideałami ogółu. Trzebaż to wreszcie zrozumieć! Co kilkadziesiąt lat powraca ta sama smutna kwestya. Dziś pojąć nie możemy, że z taką zaciekłością rzucono się na romantyków, a to samo, pomimo tak świeżej tradycyi, teraz się powtarza.

„Czyż to tak trudno pojąć, że sztuka koniecznie potrzebuje

przeróżnych prądów, tysiącznych kierunków, aby wreszcie wydać Mesyasza, w którego duszy to wszystko się zespala, przetwarza i zlewa w jedno potężne ognisko? Czyż to tak trudne do pojęcia, że potrzeba chaosu, by gwiazda urodzić się mogła? A jeśli polskie społeczeństwo nie jest jeszcze dostatecznie zamerykanizowane, jeżeli jeszcze żyje w niem ta święta tradycya, jaką nam w spuściźnie nasi wielcy przekazali, że panowanie nasze to królestwo ducha, to niech nie niszczy sił. Niech pomni na to, że każda z nich jest konieczną składnią tej wielkiej przepotężnej i odwiecznej siły, jaka się, czy to w Szekspirze, czy w Byronie, czy w Słowackim, lub Krasińskim objawiała".

— „Nie chcę taić, że objąłem „Życie", chyląće się do upadku. Nie zobowiązuję się do niczego, nie robię żadnych przyrzeczeń, bo byt „Życia" nie zawisł odemnie, ale od poparcia społeczeństwa, poparcia, którego — ze wstydem dla społeczeństwa — „Życie" dotychczas zupełnie nie znalazło".

Po tak dyktatorskiem wezwaniu społeczeństwa do podtrzymania „Życia" i po bardzo naiwnem żądaniu, by prasa poparła „całą siłą" usiłowania „młodych Polaków" nawet wtedy, gdyby te usiłowania były „zupełnie sprzeczne z ideałami ogółu", należało się spodziewać, że Przybyszewski rzuci przed zdumione oczy „narodu" garść nowych, oryginalnych myśli, że olśni, zadziwi „starych Polaków" jakimś niezwykłym programem.

Tymczasem czytamy dalej:

— „Programu nie mam żadnego, bo sztuka go nie ma. Wolno każdemu wtłaczać jakieś programy w artystyczne cele artysty samego, nie można nikomu zakazać, że wyczytuje z dzieł autora rzeczy takie, o których autorowi się nie śniło, ale trudno narzucać sztuce jakiś program. Sztuka granic nie zna, bo życie ich nie zna. Wszelki objaw duszy, niezależnie od tego, czy jest w naszem pojęciu dobry lub zły, jest substratem sztuki; zależy jedynie od tego, w jaki sposób jest odtworzony. A więc wszystko, co silne, co twórcze, co wielkie, moralne, lub nie, znajdzie, jeżeli jest sztuką, w „Życiu" pomieszczenie. Trzeba nam powietrza, trzeba rozwalić mur chiński galicyjskich lub wielkopolskich pojęć o sztuce, jeżeli literatura nasza ma stanąć na wyżynie ogólno-europejskiej literatury".

Pomysł odrodzenia naszego społeczeństwa przez naukę, nie jest wynalazkiem Przybyszewskiego. Wszakże wypisał już

pozytywizm warszawski na sztandarze swoim przed laty trzydziestu kilku wiedzę, wyniósłszy ją na tron wszechwładnej królowej.

A sztuka? Jaka sztuka? „Wszystko, co wielkie, silne, twórcze?“ To samo mówi o sobie każda szkoła literacka, bez względu na to, jakimi środkami artystycznymi się posługuje. Tak ogólnikowe określenie nie określa nic.

Reformator, który postanowił „rozwalić mur chiński pojęć o sztuce“, powinien był swoje pojęcia określić ściślej, wyrazić jaśniej.

Zrozumiał to sam Przybyszewski, bo wygłosił wkrótce (w pierwszym numerze „Życia za rok 1899) drugi manifest pod znamiennym tytułem „Confiteor.“

W tym drugim manifeście nie mówi on już, że „nie ma programu“, lecz przeciwnie oświadcza, iż „stojąc na czele pisma, któremu się charakter nadaje, trzeba wytknąć zasadniczy kierunek, w jakim się pismo prowadzi“.

Dosłowne przytoczenie zbyt długiego rozwlekłego „Confiteor“ nie miałoby celu, Przybyszewski bowiem powtarza jedną i tę samą myśl po kilka razy. Wystarczy streści jego zasady.

Pominąwszy w drugim manifeście zupełnie naukę, o którą potrącił zlekka w pierwszym, położył Przybyszewski jedyny nacisk na sztukę, która nie jest w jego mniemaniu ani pięknem, ani cząstką świadomości (szopenchauerowskie *ein Theil der Erkenntnis*), lecz odtworzeniem tego, co jest wiecznem, niezależnem od wszelkich zmian, lub przypadkowości, niezawisłem ani od czasu, ani od przestrzeni — jest odtworzeniem istności, t j. duszy we wszystkich jej przejawach, niezależnie od tego, czy są dobre lub złe, brzydkie albo piękne.“

I takie określenie sztuki nie wnosi jeszcze do literatury nic nowego, o tem bowiem, że sztuka jest odtworzeniem tego, co jest „wiecznem, niezależnem od wszelkich zmian i przypadkowości, wie każdy podręcznik estetyczny, a złe, brzydkie przejawy duszy uwzględniali artyści wszystkich czasów, cienie bowiem są koniecznie potrzebne do uwydatnienia świateł.

Lecz Przybyszewski wierzy inaczej. Zdaniem jego: „Sztuka wczorajsza była na usługach tak zwanej moralności. Nawet najpotężniejsi artyści z małymi wyjątkami nie byli w stanie śledzić przejawów duszy, oderwanych od tak zmiennych pojęć, jak pojęcie moralne lub społeczne, zawsze potrzebowali dla dzieł

swych płaszczyka moralno-narodowego". Sztuka zaś nie powinna mieć żadnych zasad, czy to moralnych, czy społecznych, nie powinna zapatrywać się na wartość przypadkową przejawów duszy, lecz powinna odważać tę wartość jedynie wedle potęgi, z jaką się przejawia.

Podług Przybyszewskiego „sztuka nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie, jest absolutem, bo jest odbiciem absolutu, duszy. Stoi ona ponad życiem, wnika w istotę wszechrzeczy, czyta zwykłemu człowiekowi ukryte runa, nie zna ni granic, ni praw, kojarzy duszę człowieka z duszą wszechnatury, a duszę jednostki uważa za przejaw tamtej."

Sztuka nie powinna ani służyć celom moralnym, społecznym lub narodowym, ani pouczać, ani bawić. Kto działa na społeczeństwo moralnie albo pouczająco, ten poniża sztukę, spycha ją z wyżyn absolutu do nędznej przypadkowości życia.

Z powyższych zasad, rozebrawszy je z głośnobrzmiącej frazeologii, nie trudno odgadnąć, że Przybyszewski odgrzewa starą formułkę „sztuka dla sztuki", doprowadzając ją, jak niegdyś romantycy niemieccy, de granic najdalszych.

W jego mniemaniu jest sztuka „najwyższą religią, a kapłanem tej najwyższej religii jest artysta".

Nikt jeszcze nie podniósł artysty tak wysoko, jak Przybyszewski. Mówi on: „Artysta był pierwszym prorokiem, który przenikał najgłębsze tajemnice, obejmował tajne związki wszechświatów, przeczuwał i odkrywał ich wzajemne na siebie działanie; a z wiedzy jej tworzył sobie moc, co gwiazdy na niebie w ich biegu zastanawiała, był wielkim mędrcem, który wiedział najtajniejsze przyczyny i tworzył nowe, nigdy nie przeczuwane syntezy; artysta ten to „*ipse philosophus, daemon, deus et omnia*" Artysta nie jest ani sługą, ani kierownikiem, nie należy ani do narodu, ani do świata, nie służy żadnej idei, ani żadnemu społeczeństwu. Stoi on ponad życiem, ponad światem, jest Panem Panów, nieokiełznany żadnem prawem, nieograniczony żadną siłą ludzką". Artyście wolno wszystko. „Jest on zarówno święty i czysty, gdy odtwarza największe zbrodnie, najwstrętniejsze brudy, lub gdy oczy w niebo wbija i światłość Boga przenika.

Tak w pierwszym, jak w drugim manifeście Przybyszewskiego szukałoby się daremnie jego istotnego światopoglądu i jego pojęć o sztuce. Do tajników psychologii, tej najnowszej od-

miany starej formułki „sztuka dla sztuki“ wprowadzają ciekawego dopiero dwie rozprawki: 1) Przedmowa do fantazyi p. t. 1) „De Profundis“ i 2) Studyum o Edwardzie Munchu i Gustawie Vigelandzie p. t. „Na drogach duszy“. W tych dwóch istotnych „Confiteor“ zapoznajemy się z ową „duszą“, której „objawieniem we wszystkich jej stanach“ ma być tylko sztuka.

Dwojaka jest droga — mówi Przybyszewski („Na drogach duszy“) — by sztuką życie ogarnąć. Jedna szeroka, wydeptana, bezpieczna i wygodna, druga kręta, prowadząca przez przepaście, pełna śmiertelnych niebezpieczeństw. Wygodna droga, to droga mózgu, droga biednych pięciu zmysłów, które obejmują życie tylko w jego przypadkowościach, w jego smutnej a głupiej codzienności. Stroma, przepaścista droga, to droga duszy, dla której życie ciężkim snem, a bolesnem przeczuciem jakiegoś innego życia i zaświata, przeczucie innych związków i innych głębi, jak te, do których biedny, biedny nasz mózg dotrzeć może.

„Różne są te drogi, bo mózg to dzień powszedni, dzień pracy i znoju, to matematyka, to logika, a dusza to rzadki dzień świąteczny, coś, czego ani regułą, ani logiką objąć nie można, to chwała i wniebowstąpienie rodu ludzkiego. Dla mózgu dwa razy dwa jest cztery, dla duszy może być milion, ponieważ nie zna ona przedziałów, ani w czasie, ani w przestrzeni. Dla mózgu istnieje przedmiot tylko w czasie i przestrzeni, dla duszy istnieje bezprzedmiotowa, bezprzestrzenna i bezczasowa istota rzeczy. Niepojęte dla mózgu dokonywa się w duszy, która obnaża wszystko z przypadkowości formy, w jakiej się ono mózgowi przedstawia. Widzi ona tylko rzeczy niespożyte, to, co odwiecznym strumieniem płynie, niezależnie od wszystkich przetwarzań i zmian od jednego bieguna wieczności do drugiego, bez końca, bez brzegu. Widzi to, co się ciągnie przez wszystkie czasy i wszystkie rodzaje: *matrix* wszelkich zjawisk.

— „Mózg, to materyalizm w zakresie wiedzy, to nauka o najmniejszym odporze siły, to psychofizyka — to socyalizm i niezliczone systemy ekonomiczne, które rodzą się, aby uszczęśliwić... cha, cha... uszczęśliwić człowieka przez kolektywizm pracy, to sztuka bezmyślna, sztuka jednego łokcia ręki i dobrych oczu, sztuka, przed którą tłum się korzy. Artysta, cieszący się posiadaniem jednego łokcia ręki i pary dobrych oczu, odtwarza wszystko tak, jak jest. A więc typy ludzi z dobrze narysowa-

nymi nosami, praczki przy studni, centki światła, rozlewającego się na grzbiecie jakiejś starej szkapy, wilki na stepie, czasami step śnieżny, czasami bez śniegu i t. d.

Więc Przybyszewski rzuca rękawicę wszystkiemu, co z mózgu, z rozumu początek swój wywodzi: materyalizmowi w życiu, pozytywizmowi w nauce, praktyczności, liczącej się z warunkami ziemi, w usiłowaniach społecznych, realizmowi w sztuce.

Do tego mózgu, do rozumu, który był kierownikiem postępowania cywilizowanej ludzkości w drugiej połowie XIX stulecia czuje Przybyszewski wprost nienawiść. Oskarża on go przy każdej sposobności, gdzie się tylko da, w artykułach dziennikarskich, w przedmowach do swoich dzieł, w dyalogach swoich powieści. Wstręt do praktycznego, filisterskiego, mieszczańskiego rozsądku, jest czerwoną nicią, która wije się przez jego pisma szlakiem najwyraźniejszym.

— „Całem *facit* wszystkich naukowych i filozoficznych spekulacyj logicznego mózgu — woła on w przedmiowie do „De Profundis“ — jest *ignoramus et ingnorabimus*, czyli zupełne bankructwo wszystkich jego rozpaczliwych usiłowań. Artystycznem *facit — risum teneatis amici* — jest naturalizm, bezduszna, brutalna sztuka dla ludu, sztuka mieszczańska *par excellence*, *biblia pauperum* dla słabego, normalnego, leniwego, tchórzliwego plebejskiego mózgu, który wszystko objaśnia, chce wszystko rozumieć, drwi z wszelkiej głębi i tajemnicy, szaleństwem je nazywając, dla tego rozumu, który nienawidzi duszy, bo jej nie rozumie. O, tak! Ordynarny, głupi mózg mieszczański — słynny *vox populi* — nienawidzi wszystkiego, czego nie może pojąć“.

Przedstawicieli rozumu: Büchner'a, Vogt'a, Straussa, Spencer'a i t. d. nazywa Przybyszewski ograniczonemi, ciasnemi miernotami. Ze zdobyczy rewolucyj politycznych i społecznych, z konstytucyj parlamentaryzmu, swobody prasy drwi bez miłosierdzia; sztuką pozytywną, realistyczną gardzi.

Gdyby w jego manifestach i przedmowach nie było nic więcej oprócz wstrętu do przetrzeźwego, przepraktycznego rozumu drugiej połowy XIX stulecia, przyklasnęliby mu idealiści, jakich ostatnie lat dwadzieścia wydało. Bo nie wszyscy wychowańcy pozytywizmu padli w proch przed rozumem ludzkim i przed jego dążnościami. I dla warszawskich t. zw. „młodokonserwatystów“ nie był mózg jedynym wodzem człowieka; i oni nie uznawali nieomylności Vogt'ów i Spencer'ów, brzydzili się

naturalizmem w życiu. Tak samo francuzcy neokatolicy, symboliści i wszystkie zresztą prądy reakcyjne, mniej lub więcej idealne, jakie pycha pozytywizmu wywołała.

Lecz Przybyszewski idzie dalej. Odrzuca on całego człowieka cielesnego, skrępowanego zmysłami, przytroczonego do ziemi potrzebami życia, i każe artyście wnikać tylko w duszę, w nagą duszę, jak się wyraża. Każe mu oderwać się od tego „padołu łez“ i badać, odgadywać jedynie przejawy, pragnienia duszy.

Ponieważ każdego twórcę ilustrują najlepiej jego własne dzieła, wypuklejsze od wszelkich rozumowań, przeto zobaczmy, jak też owa „naga dusza“ wygląda w pismach Przybyszewskiego

W powieści swojej w „De Profundis“ (wydanie niemieckie, Berlin, 1895 r.), przedstawił Przybyszewski halucynacye, wizye i chorobliwe pożądania lubieżnika, dręczonego przez *succubat*. Ten sam motyw opracował już Huysmans, lecz nieco „bojaźliwiej“, nie odważył się bowiem na artystyczne odtworzenie *succubatu* kazirodczego. A u Przybyszewskiego kocha brat siostrę, siostra brata.

Jego najobszerniejszą, najwięcej znaną powieścią jest „Homo Sapiens“ (wydanie niemieckie, Berlin 3 tomy).

Owym *homo sapiens* jest Eryk Falk, utalentowany literat, czy agitator społeczny, bo niewiadomo właściwie, czem się ten jegomość naprawdę zajmuje.

Jego przyjaciele mają go za głowę niepospolitą, genialną, za męża przyszłości, za reformatera. On sam wierzy, że jest czemś nadzwyczajnem, „nadczłowiekiem.“

Jakże się „naga dusza“ tego „nadczłowieka“ przejawia, w jakich myślach, w jakich czynach?

W pierwszym tomie wraca z Paryża do Berlina młody malarz Mikita, przywożąc ze sobą ukochaną narzeczoną, Izę. Falk ucieszył się serdecznie z przybycia Mikity, bo byli kolegami-przyjaciołmi od lat najmłodszych. Razem uczyli się i przymierali głodem w szkołach, razem marzyli, bawili się, cierpieli. Takie przyjaźnie spajają ludzi mocniej od węzłów krwi.

Mikita chciał się przed Falkiem pochwalić swoją piękną narzeczoną, którą miał poślubić za kilka tygodni. Niebaczny! Nie rozważył, iż „nadludzie“ działają na kobiety, jak węże na drobne ptaszyny.

Zaledwie spojrzeli na siebie, Iza i Falk, kiedy płomień mi-

łości buchnął z ich serc potokiem wrzącym i ogarnął ich falą ognistą. Rozkochali się w sobie namiętnie. Bo przez cały pierwszy tom „Homo Sapiens“ szamoce się Falk ze sobą, „z kawałkiem odziedziczonej przeszłości, z kawałkiem głupiego sumienia, z atawistycznemi resztkami pojęć o własności, o prawach dawniejszych“. Wprawdzie kocha on nieskończenie owe „śmiałe, potężne natury, które rozrywają, burzą, druzgoczą wszystko, by dojść tam, dokąd ich instynkty popychają, bo tylko wtedy są ludźmi, bo istotną, wielką świetnością człowieka są potężne instynkty;“ wprawdzie uwielbia on owych „arystokratów ludzkości, którzy posiadają dosyć odwagi i godności, by służyć swoim instynktom“, a gardzi „słabymi moralnymi niewolnikami, którym nie wolno posiadać instynktów,“ ale mimo tego kochania, tego uwielbienia nie jest on jeszcze dość silnym do zerwania z resztkami „głupiego sumienia“.

Przez cały pierwszy tom walczy ze sobą Falk: zabrać przyjacielowi narzeczoną, czy nie zabrać? Rezonuje, przekonywa się, cofa się, zatrzymuje w połowie drogi. Nareszcie po długim boju „z kawałkiem odziedziczonej przeszłości, z głupią uczciwością,“ zwycięża swoje „zacofane“ pojęcia, bierze sumienie na wędzidło i zdradza towarzysza lat dziecinnych. Mikita odbiera sobie z rozpaczy po stracie ukochanej narzeczonej życie wystrzałem z rewolweru, a Falk ucieka z Izą do Paryża.

Jadąc rozgląda się z okien wagonu po okolicy dumnym wzrokiem tryumfatora: pokonał siebie, zdobył sobie szczęście wolą, zdeptał śmieszne przesądy, zrzucił z siebie kajdany moralności, uczciwości, honoru...

Przed okiem jego przesuwały się drzewa i pola, wsie i miasta — bogactwa tej ziemi.

— To wszystko będzie twoje — marzył myśląc o Napoleonie I — jeśli pójdziesz za głosem tej nowej woli — woli instynktów, uświęconych przez mózg, przez rozum.

Po takiem zakończeniu pierwszego tomu wolno się było spodziewać, że Przybyszewski rozwinie w następnych dalej charakter nowoczesnego „nadczłowieka,“ że każe Falkowi sięgnąć po inne rozkosze ziemi: po majątek, władzę, sławę i t. p.

Tymczasem jest drugi tom *mutatis mutandis* powtórzeniem pierwszego. Falk rozkochuje się znów w czystej niewinnej dziewczynie, gorszy ją kazuistyką filozoficzną, plami jej białą du-

szę, brudzi lubieżnością, podnieca jej zmysły, a przygotowawszy sobie w ten sposób nową ofiarę, uwodzi ją, zniesławia. Nieszczęśliwa Marit, dowiedziawszy się, że Falk jest żonatym, topi się w jeziorze.

I właściwą treścią trzeciego tomu jest znów romans.

Jak brat kochający siostę („De Profundis“) nie rozstaje się i Falk prawie nigdy z butelką. Nie umie on myśleć, czuć, zapalać się, dysputować, kochać, nienawidzieć bez koniaku. Dokądkolwiek przychodzi, ogląda się przedewszystkiem za alkoholem. Pije, kiedy go troska żre — pije, kiedy go ogień namiętności trawi — pije — kiedy go radość rozgrzewa. Bardzo też często mówi, rozumuje, miota się, męczy przykremi wizyami, jak nałogowy pijak, cierpiący na *delirium tremens*.

Odczytawszy powieści Przybyszewskiego, doznaje się... zdziwienia. Więc tak wygląda owa „naga dusza“, dla której życie jest „snem ciężkim, a bolesnem przeczuciem jakiegoś innego życia i zaświata, przeczuciem innych związków i innych głębi, niż te, do których ubogi nasz mózg dotrzeć nie może?“ Więc tak przejawia się owa „naga dusza“, która „widzi tylko rzeczy niepożyte, to, co odwiecznym strumieniem płynie, niezależnie od wszelkich przetwarzań i zmian, od jednego bieguna wieczności do drugiego, bez końca, bez brzegu?“

Po „Confiteor“ i po „Na drogach duszy“ spodziewał się czytelnik zupełnie czego innego. Dusza zrzuci z siebie ciało, jego chucie i pożądania, jego nędzę i cierpienia i wzbije się wysoko — naga, czysta, wolna — ponad nędze ziemi, by się skąpać w przezroczych błękitach swoich tęsknot. Albo: dusza skupi się, spojrzy, wniknie w siebie, rozpatrzy manowce, jakie przebiegła już w życiu w więziach ciała i zacznie szukać drogi właściwej.

Takich mistycznych wzlotów, idealnych zachwytów, tęsknot do światów innych, lepszych, przeczuć, innych przeznaczeń spodziewał się czytelnik.

Zamiast tej „nagiej duszy“ widzi w powieściach Przybyszewskiego takiego samego „człowieka-zwierzę“, takie same podłe, brudne bydlę, szukające na ziemi tylko jaknajobfitszego żeru, jaknajwiększej sumy rozkoszy zmysłowych, jakie odtworzył naturalizm artystyczny.

„Nagie dusze“ Przybyszewskiego podpalają domy, kradną, zniesławiają kobiety, zdradzają przyjaciół, bezczeszczą siostry,

mordują słabszych lub głupszych od siebie, zazdroszczą posiadającym majątku i upijają się przy każdej sposobności, szukając w alkoholu podniety do czynów brutalnych. Tu i owdzie przemyka się wśród legionu pospolitych zbrodniarzy jakaś dusza jaśniejsza (Czerski, Marit w „Homo-Sapiens“), lecz przemyka się tylko. Autora zajmują prawie jedynie, głównie charaktery ujemne.

Prawdopodobnie zdaje się Przybyszewskiemu, że stworzył galeryę niepospolitych czcicieli rozkiełznanych instynktów; samolubów niezwykłej miary. Jego „bohaterowie“ rezonują tak subtelnie, przywołują na pomoc całą kazuistykę filozoficzną, począwszy od Schopenhauera, a skończywszy na Nietzschem, mówią tyle, krzyczą tak głośno, jak gdyby istnienie świata od tego zależało, czy Falk zbałamuci Izę, Maritę, lub Janinę. Takie przestępstwa dzieją się codziennie, ciągle, w każdej wiosce, w każdej mieścinie, a świat stoi i spełnia dalej swoje posłannictwo.

Nie wcieleniem rozpętanego samolubstwa są ujemne typy w powieściach Przybyszewskiego, lecz chorymi histerykami, którzy przykładają do swoich pożądań, rozczarowań i cierpień zbyt wielką miarę, jak wszyscy przeczuleni neurastenicy. Albo „wściekają się, pienią, miotają“, albo mdleją po każdem silniejszem wzruszeniu („bledną, jak trupy“), nie umiejąc nad sobą zapanować. Prawie bez przejścia wpadają z jednej ostateczności w drugą, straszeni trwogą, chwiejni, tchórzliwi, słabi. W ich gniewie, w ich gwałtowności, w ich walkach psychologicznych niema grozy. Jest tylko silna polemiczna kazuistyka i subtelność przewrotnej logiki chorego indywidualizmu.

Pod względem technicznym nie wytrzymują powieści Przybyszewskiego najpobłażliwszej krytyki. Autor „Dzieci szatana“, „De Profundis“ i „Homo sapiens“ odrzucił wszystkie reguły, zasady i wskazówki, jakie sztuka powieściopisarska w ostatnich latach pięćdziesięciu ustaliła. Niema u niego bajki w zwykłem rozumieniu, niema intrygi, przeprowadzonej prawidłowo, architektonicznie zbudowanej całości, niema charakterystyki, opartej na obserwacyi życiowej, niema w końcu tła. Niewiadomo prawie nigdy, gdzie się czynność odbywa, w jakim kraju, w jakich warstwach społecznych. Jego typy nazywają się po prostu: Iza, Agaj, Mikuta i t. d. i wchodzą odrazu, bez żadnego rodowodu, do akcyi. Bardzo ubogą nić wypadków zrywa Przybyszewski bezustannie rozprawami polemicznemi *de omnibus rebus*

et quisbusdam aliis, monologami psychologicznymi, powtarzającymi się bez końca. Nawet poszczególnych tomów nie łączy ze sobą, żądając, aby się czytelnik wszystkiego domyślał.

W przedmowie do „De Profundis“ p. t. „Pro domo mea“ drwi Przybyszewski z czynności sytuacyi, intrygi, słowem z techniki powieściopisarskiej. Wolno mu nie uznawać zdobyczy doświadczeń długiego szeregu autorów, jeżeli mu się tak podoba, ale w zamian za to wolno czytelnikowi odmówić mu tytułu powieściopisarza.

Każdy rodzaj sztuki podlega pewnym prawidłom. Powieść zlepiona z luźnych scen, które się co chwila rozprzęgają, rozlatują, przeładowana monologami psychologicznymi, — powieść bez czynności i bajki, bez tła i charakterystyki, zbudowana chaotycznie, jest nudna, niestrawna. Pierwszy lepszy romans Gaboriau'a zajmuje więcej, aniżeli „Dzieci szatana“, a powieść powinna zajmować.

Od powieści przeszedł Przybyszewski do fantazyj symbolicznych. Pierwszą z nich p. t. „Nad morzem“ (Kraków 1899), nazywają jego wielbiciele arcydziełem.

W „Nad morzem“ występuje jakiś król, którego państwo było bezkresne, a bez granic jego potęga. Panował nad pustynią i rajem; święte rzeki przecinały sinemi bróżdami jego kraje, a trzy morza oblewały ich granice. Miliony niewolników rzucały się przed nim na kolana, korząc się w niemej trwodze. Najpotężniejszych mocarzów tej ziemi rzucał pod swe stopy, bogom się odgrażał, strącał ich ze świętych piedestałów, bo nie było mocy, którąby się dała porównać do jego mocy i nie było potęgi, którąby się z jego potęgą mierzyć mogła.

Bo ów król był synem światła i słońca, a przed jego majestatem bladł wszelki blask i wszelka moc w proch się korzyła.

Za ten blask, za tę moc modlił się codziennie do słońca, do kolebki swojej, do łoża swego.

Aż pewnego dnia, gdy szeregi jego wojsk wróciły z dalekich wypraw, zgasł jego blask i skruszała jego moc. Bo oto przywiózł wódz jego wojsk z ziemi, w której blask słońca nie grzeje, brankę, bladą, jak noce księżycowe. Głos jej był tak cichy, jak pieśń, którą wiatr w wieczornym zmroku przez morze przewieje i tak tajemniczy, jak najskrytsze uczucie, które się jeszcze myślą nie skalało.

Jedno spojrzenie oczu bladej branki, ciemnych jak otchła-

nie niebieskie, smutnych jak poszum światła jesiennego, a słodkich, jak jaśnienie morza w ciemnych nocach — zdruzgotało moc króla. Zapomniał on o swej potędze, którą światło porodziło, całe jego bezgraniczne państwo stopiło się w spowiciu oczu jego i branki w jeden marny pył słoneczny. Padł przed dziewicą na twarz i niewolnica stała się jego panią i królową.

I kochał tę swoją królowę, jako wspomnienie czegoś, co dawno zapomniał, co niegdyś przeżył, gdy razem z nią w prałonie czuł wieczność. I począł przeklinać słońce, swoją matkę, swoją kolebkę.

A miłość branki była biała i czysta i miękka jak skrzydła mewy polarnej. Mimo tej białości, czuł jej serce, jak żarem jego słońca namiętnie na jego piersi oddychało; mimo tej czystości wśpiewała mu w krew dzikie raje, obce czary, słowa obłędu i upojenia.

Był szczęśliwy. Czasami tylko tęsknił za słońcem, ale tęsknota ta konała w ciemnej otchłani żądzy branki. Biała, czysta dziewica rozgorzała namiętnością. Z każdym dniem kochały go jej ręce mocniej, co noc ciało się jej płomienniej przy jego piersi pieniło.

Szczęście to rozkochanego króla sprzykrzyło się nakoniec słońcu. Aby samolubstwo swojego syna ukarać, zesłało na jego państwo mór, głód i zarazę, wypaliło zboże na polach, wysuszyło rzeki i jeziora. Poddani króla, doprowadzeni do rozpaczy, podnieśli bunt.

— Daj nam białą niewolnicę, na krzyż z nią, na krzyż! Słońcu w ofierze! — wołał motłoch.

Wówczas wyszła z pałacu dziewica Północy i rażona słońcem Południa, padła nieżywa u stóp króla.

Czytelnik „pospolity“, szukający w dziełach sztuki jakiejś wyraźnej, dla „przeciętnego mózgu“ dostępnej treści, odczytawszy pierwszą część („pierwszy rapsod“, „Nad morzem“, powie: bardzo ładna, prześlicznymi kwiatami językowymi obsypana bajka.

Język Przybyszewskiego przenerwowany, poszarpany, nierówny w powieściach, w fantazyach symbolicznych pieści w istocie ucho, gra jak muzyka, szumi jak bór w cichą noc letnią. Zwłaszcza głośno czytany, robi wrażenie uroczej pieśni.

Lecz omyliłby się czytelnik „pospolity“, gdyby nazwał

„Nad morzem“ ładną bajką. To nie ładna bajka. To poemat symboliczny.

Symbole jednakże, zwłaszcza nadziane tak gęsto przenośniami, jak fantazye Przybyszewskiego, mają to do siebie, iż ich zwykle nikt nie rozumie, prócz samego autora i szczupłego grona jego wielbicieli, przez niego pouczonych. I gdyby nie jeden z przyjaciół twórcy „Nad morzem“, młody poeta, Jerzy Żuławski, który zdradził w krakowskim „Czasie“ w Nr. 167 z r. 1899 tajemnicę tego poematu, odgadłoby chyba niewielu jego znaczenie istotne.

Bo oto dowiadujemy się od Żuławskiego, że owym królem jest artysta, owem słońcem — sztuka, bezkresnem państwem — niezmierzone dziedziny ducha, wśród których artysta włada ową bladą branką — miłość płciowa w ogóle. Artysta (król), olśniony nowem pięknem, miłością (mrokiem), sprzeniewierza się słońcu (sztuce), za co go jego matka (słońce) karze.

Teraz rozumie się oczywiście symbol zawarty w „Nad morzem“, ale któż odgadłby w bukiecie lśniących, wspaniałych miejscami przenośni treść bardzo starą, bardzo znaną — walkę posłannictwa artysty z pospolitemi namiętnościami ludzkiemi. Zbyt bogatego aparatu potrzebuje Przybyszewski do powiedzenia rzeczy najprostszych.

Uwolniony od „bladej branki“ (miłości), puszcza się król (artysta) w dalszych rapsodach poematu w drogę, w pogoń za kochanką. Szukając przedmiotu swojej tęsknoty, rozwija się, rośnie, ogarnia szerokie horyzonty myśli i wierzeń ludzkich. Po krótkim jednak pobycie w nadobłocznych wyżynach wraca znów na ziemię, do kobiety, do miłości i t. d.

Daleko mniej słowa poetycznego włożył Przybyszewski w swoją drugą fantazyę, w „Z cyklu wigilii“ (Lwów 1899), która jest poematem tęsknoty za opuszczoną kochanką.

Chcąc streścić ten wylew rozżalonego serca, trzeba poprzestawiać poszczególne rozdziały, koniec przenieść na początek, środek na koniec. Przybyszewski bowiem lekceważy nawet zasadnicze prawidło kompozycyi. Rzuca on na papier wszystko, co mu wyobraźnia w danej chwili podszepnie, nie troszcząc się ani o logikę myśli, ani o ciągłość treści.

Ktoś (nie wiadomo kto?) miał żonę, czy kochankę (nie wiadomo co?) i przyjaciela. Ten przyjaciel był poetą.

Otóż pewnego razu, gdy on, ona i przyjaciel, podchmieliwszy sobie dobrze („byliśmy przecież tak pijani, och tak pijani!“) zabawiali się deklamacyą i muzyką, zmiarkował on, że ona kocha przyjaciela. Jego zazdrosne oko spostrzegło w niej, „to ze wszystkich głębi tryskające pragnienie, to bezmyślne zapadanie się w odmętach rozkoszy miłosnej.“

„Dźwięk (muzyka onej) i słowa (deklamacya przyjaciela) splotły się i jeden ton za drugim wpijał swe szpony w burzą rozszarpaną grzywę słowa, a po jego rozwianych promieniach wspinał się dźwięk ku słońcu szczęścia. Nie były to dźwięki, ani słowa, to były dwie dusze, spojone we wściekłym uścisku: porywały się w górę, spadały w dół, a silniej i silniej splotły się ręce, szarpały się, gryzły, a była to jakby orgia rozpasanych zmysłów, pełna krzyku boleści i żądzy, chciwa krwi i ciała.“

Widząc, co się dzieje, uniósł się on „wściekłą“ szlachetnością.

— Pocałuj go, pocałuj! — krzyknął — on poetą, a ja królem. Królewskim darem nagradzam jego pieśń!

Ona i przyjaciel nie namyślali się długo. Objęli się, pocałowali, a „dusze“ ich wykonały zwykłą pieszczotę miłosną z takim ogniem, że ona usiadła aż na ziemi ze zmęczenia. Poczem on wyszedł z pokoju, nie mogąc patrzeć na szczęście zdrajców.

Nie chciał oczywiście żyć dalej z żoną, czy kochanką, wypędził ją, a kiedy odjechała, zaczął za nią tęsknić, lamentować.

Ten lament tęsknoty za ukochaną kobietą, jest treścią „Z cyklu wigilii“.

Dlaczego z wigilii? Jest to tajemnica autora i jego wielbicielów. Każdy inny tytuł byłby równie dobry.

Tęsknota Przybyszewskiego to płacze, zawodzi, to majaczy, podniecając się wizyami halucynacyi, lub wścieka się, wybucha nagle gniewem, zniewagą. „Wsysa się ona, wpija“ w ciało kochanki wyobraźnią, bo „nagie dusze“ kochają jeszcze zmysłowiej od nagich ciał naturalistów.

— „Dniu mój, me słońce, światło me, kędyż cię szukać?— skarży się tęsknota — och jasna moja, święta kochanko, o serce mej duszy. Czoło twe oplatam czarnem kwieciem mej tęsknoty, otulam cię w głuche opony burz mego życia, sypię na twą

jasną główkę gwieździsty deszcz złotych wspomnień dziecinnych.“

A zaraz po tem krzyczy: cudzołożnico!

Tęsknota Przybyszewskiego ma pełne usta: duszy, serca, poezyi, a pożąda właściwie tylko ciała.

— „Ze wszystkich mych obrazów — przyznaje się ona — wyłoniła się samica, wola wszechświata, pra-łono — pani. Ponad wszelkim bytem święci się samica“.

Rozpatrzywszy się w artykułach, przedmowach i dziełach Przybyszewskiego, dochodzi się do przekonania, że naczelnik „Młodej Polski“ przemienił po prostu wartości. Zamiast „nagiej duszy“, na którą się ciągle powołuje, ustawił w samym środku swoich doktryn „nagie ciało,“ czyli, nagie instynkty. Wcieleniem „nagich instynktów, niezadowolonych apetytów, głodnych a nienasyconych namiętności są socyaliści i anarchiści w „Dzieciach Szatana;“ wcieleniem nagich instynktów, oszalałych z lubieżności, jest rodzeństwo w „De Profundis“; wcieleniem zmysłów, rezonujących z przewrotnością sofistów, jest Eryk Falk w „Homo Sapiens.“ I pod kwiecistem wonnem słowem „Nad morzem“ i pod dziwacznemi obrazami „Wigilii“ czuje się tylko zmysły!

Lecz te nagie instynkty Przybyszewskiego nie pożądają, nie skarżą się z brutalną, pierwotną siłą naturalizmu. Twory naczelnika „Młodej Polski“ nie posiadają bezwzględności typów Zoli, druzgocących przeszkody bez namysłu. Blada trwoga chorych nerwów, mózgów, przesiąkłych alkoholem, straszonych wizyami, dręczonych bezsennemi nocami, krępuje ich wolę. Zanim popełnią najpospolitszą podłość, rezonują, miotają się, namyślają, przywołują na pomoc całą mądrość filozofii nowoczesnej, jak gdyby się zabierały do wykonania jakiejś niezwykle potwornej zbrodni. W fosforycznych blaskach ich halucynacyj, w gęstych mgłach ich szałów, wyrasta rzecz najbłahsza do rozmiarów olbrzymich. Umiłowane twory Przybyszewskiego są albo prostymi pijakami, albo histerykami. Drapichrusty, zdechlaki fizyczne, pokraki umysłowe udają Neronów, Domicyanów, Ryszardów III, Dantonów i t. d. Pijacy, nieumiejący wytrzymać ani godziny bez alkoholu, mają ciągle na ustach: wszechbyt prałono, świat, wieczność. Kiedy się mężczyzna i kobieta całują, to „spływa cała wieczność,“ kiedy kochanek tęskni za kochanką,

którą sam wypędził, to „wyciąga coś z dna jego duszy straszne, biedne ręce w łkającym jęku po kielich odkupienia i t. d.

Z instynktów ludzkich upodobał sobie Przybyszewski najwięcej popęd płciowy. Miłość nawskroś i tylko zmysłowa sączy się z jego pism, „krzyczy“ o zadowolenie, „wpija, wgryza, wsysa się w nagie ciało“, nienasycona nigdy.

Mówi Przybyszewski w przedmowie do „De Profundis,“ w „Pro domo mea:“ „Jak nie moją winą, że w wiekach średnich przejawy psychiczne mają miejsce tylko w dziedzinie życia religijnego, tak też nie jestem w stanie zmienić faktu, że w naszych czasach przejawia się dusza we wzajemnym stosunku płci.“

Czy tak? Więc po za stosunkami międzypłciowymi nie byłoby nic, coby człowieka współczesnego zajmowało, coby go pobudzało do walki, do pracy, do czynu? Historya ostatnich lat pięćdziesięciu odpowiada dostatecznie na ten ciasny paradoks.

A szczególną miłość wymyślili sobie najnowsi prorocy. Ich pociąg międzypłciowy nie jest naturalnem dopełnieniem dwu płci, nie jest podstawą rodziny, zawiązkiem narodu. „To bolesna, pełna trwogi świadomość nieznanej, strasznej siły, która dwie dusze rzuca na siebie i pragnie je zlać w jedno intensywne cierpienie, w którem dusza się łamie.“ („Na drogach duszy“).

Dla jednego z ukochanych mistrzów Przybyszewskiego, dla Ropsa, jest kobieta „straszliwą, kosmiczną potęgą, która w mężczyźnie obudziła chuć, przykuła go podstępną, a fałszywą pieszczotą i wszczepiła mu w krew jad szatańskiego bolu. Mężczyzna zaś, to już nie ten głupiec, który „zastawia życie za śmieszną cenę pięciominutowej rozkoszy, nie cierpi już więcej nad kobietą, ale rośnie w dzikiej nienawiści do tej strasznej niszczącej siły, staje się jej fanatycznym oskarżycielem, któryby jaknajchętniej skazał kobietę na stos, byle uwolnić świat od tego największego zła,“ („Na drogach duszy“).

Powyższe paradoksy nasuwają mimowolne pytanie: dla czego pożądać rozkoszy, która nie jest rozkoszą? Nie byłożby rozumniej omijać ową straszliwą, kosmiczną potęgę, co daje zamiast słodyczy jad szatański, i ból, i rozpacz?

Dziwnie wygląda chorobliwie rozpasany seksualizm Przybyszewskiego, obok jego poglądów na miłość.

W życiu dzieje się na szczęście inaczej. W życiu kojarzą

się codziennie małżeństwa, nie wiedzące nic o straszliwej, podstępnej, fałszywej, kosmicznej potędze kobiety, o jadzie szatańskim, wszczepionym przez nią w krew mężczyzny i niewiedzące nic o mężczyźnie, który dyszy nienawiścią do niewiasty, staje się jej fanatycznym oskarżycielem i t. d. Jeśli się pary dobiorą wówczas znoszą łatwiej, przyjemniej trud wędrówki doczesnej, jeśli zaś łączą się z pobudek, niemających nic wspólnego z wzajemnym pociągiem serca, wtedy pokutują słusznie za grzech przeciw prawom uczuć ludzkich.

Tylko natury zwyrodniałe widzą wszędzie jakieś strachy, potwory, widma; tylko w chorych wyobraźniach przybiera każdy przedmiot, każde pojęcie kształty i znaczenie karykaturalne.

To zwyrodnienie upodobań i wyobrażeń w połączeniu z nadmiernym indywidualizmem, z „bezkresnem“ samolubstwem, które nie widzi po za swojemi osobistemi smutkami bolu narodu, ludzkości, było zawsze cechą znamienną chwil przejściowych, czyli dekadenckich.

Dekadenci wszystkich czasów odwracali się z „dumą“ od spraw religijnych, społecznych i narodowych, zasklepiając się wyłącznie w sobie, w swoich wyrafinowanych cierpieniach i chorych pożadliwościach. Jedyna sztuka, jako zabawka wykwintna, arystokratyczna, nie traciła łaski w ich oczach, jedyna miłość płciowa, jako rozkosz estetyczniejsza od innych, cieszyła się ich względami.

W pismach Przybyszewskiego znajdujemy wszystkie znane z przeszłości cechy dekadentyzmu z przesadną apoteozą sztuki i artysty, nadmierny seksualizm, wstręt do logicznego myślenia, do obowiązków obywatelskich i do moralności; upodobanie w chorobliwych przejawach duszy i ciała i w zabawce artystycznej (symbolizm).

Przybyszewski jest niewątpliwie dekadentem, a jednak...

A jednak niema w nim jednolitości Baudelaire'a, lub Maeterlinck'a, niema owego spokojnego objektywizmu przerafinowanych estetów, których dobrze napisany wiersz, lub dziwaczny symbol zajmują więcej od losów całej ludzkości.

Jak w olbrzymim kotle, warzą się, kipią, przewalają w jego pismach strzępy najrozmaitszych doktryn i szkół, kłócą się ze sobą, walczą najrozmaitsze systemy, a z tej wrzawy chaotycznej wybucha kiedy niekiedy krzyk prawdziwie nagiej duszy, lub zaszlocha w niej prawdziwie nagie serce.

Ten krzyk, to szlochanie trzeba wistocie odczuć, wrzawa bowiem sofistyki nagiego ciała pokrywa je, tłumi zupełnie.

To krzyczy dusza artysty, rzucona na ziemię w chwili wrogiej wszelkiemu szerszemu lotowi wyobraźni; to płacze serce artysty, znużone brudem, o jaki się ciągle ocierać musi.

Autor artykułu programowego „Młodej Polski“ p. t. „Młoda Polska“, drukowanego w „Życiu“, mówi pomiędzy innemi:

„Żyjemy w czasach wielkich bankructw idei, które niedawno poruszały umysły, wywoływały wiosnę ludów, były natchnieniem poetów. W miarę rozczarowań do życia społecznego i jego typowego produktu, t. j. do współczesnego filistra, rwały się więzy między jednostką a temże społeczeństwem, wzrastała niechęć i protest przeciw bezduszności i banalności zorganizowanej masy i przeciw tym wszystkim objawom duchowym, jakie w tem gminowładztwie zmaterjalizowanego obywatela znajdowały swe źródło. Umysły wrażliwsze i głębsze, straciwszy szacunek dla filistra i sympatye dla ruchów społecznych, poczęły wycofywać się z życia i szukać innych, trwalszych jego wartości. Zwrócono się do ludzkiej duszy oderwanej, poczęto cenić indywiduum, jako takie, jako osobny, w sobie zamknięty świat i swoim najwyższym prawom podległy. Odbyło się w najnowszej literaturze współczesnej jakby nowe odkrycie duszy; spostrzeżono, że po za zewnętrznem jej życiem istnieją całe głębie, nieobjęte światłem dziennem, całe tłumy uczuć i przeczuć, które nigdy w gwarze życia nie przychodzą do głosu“.

Żyjemy w istocie w epoce wielkich bankructw idei; programy, systemy, teorye i teoryjki filozoficzne, społeczne i artystyczne, w które pokoleniu obecnie dojrzałemu wierzyć kazano, jako w prawdy nieomylne, okazały się złudzeniami, efemerydami; typowy produkt pojęć materyalistycznych: bezmyślny, bezduszny filister zasługuje niewątpliwie na pogardę. Kłamstwo i samolubstwo rozsiadły się szeroko na wszystkich stosunkach ludzkich. Zdobycie najwygodniejszego bytu i jaknajwyższej sumy przyjemności, choćby na gruzach duszy, stało się najwyższym, jedynym celem przeciętnej jednostki.

Umysłom wrażliwszym, sercom szlachetniejszym nie może się nasza epoka podobać. Trzeba koniecznie przeciwdziałać przeciw płaskości celów, pojęć i uczuć drugiej połowy XIX stulecia, przypominając człowiekowi, że jest nietylko ciałem, lecz także duszą.

Któżby o tem wątpił?

Lecz trzeba być bardzo naiwnym, aby mniemać, że grzebanie się w brudach erotyzmu, wsłuchiwanie się w strachy i halucynacye chorych nerwów i rzeźbienie cudacznych symbolów zaspokoi tęsknoty duszy. Dość przypatrzeć się biografiom głośniejszych dekadentów (Beaudelaire'a, Verlaine'a i t. d.), by się przekonać o niemocy ich recepty.

Wszystko, co dotychczas „Młoda Polska“ wygłosiła, wyśpiewała, robi wrażenie chaosu bez wyraźnych form i kształtów, a fermentem w tym chaosie jest Przybyszewski.

Czy ferment przetrawi wrzawę chaotyczną najmłodszego pokolenia, czy ją uporządkuje, rozjaśni, oczyści i czy się sam ostatecznie, zrobiwszy swoje, skrystalizuje, okaże przyszłość.

Życzyćby należało, aby się tak stało dla dobra literatury polskiej. Przybyszewski bowiem, znajdujący się obecnie jeszcze w swojej „Sturm“ i „Drangperiode“, posiada wiele warunków, które składają się na wytworzenie znakomitego pisarza, bo: siłę i poezyę słowa, śmiałość i szczerość myśli, bardzo lotną wyobraźnię i rozległe wykształcenie literackie.

Kto napisał tak doskonałe studyum literackie, jak „Z gleby kujawskiej“ i zdobył sobie scenę teatralną bez żadnego wysiłku, ten nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

KONIEC.

TREŚĆ.

Rozdział	1.	Dekadentyzm	1— 35
„	2.	Dekadentyzm nowożytny	36— 58
„	3.	Dekadentyzm w literaturze francuskiej. — Karol Baudelaire	59— 78
„	4.	Paweł Verlaine.—Maurycy Rolliant.—Jan Richepin .	79—100
„	5	Dekadenci — symboliści francuscy	101—127
„	6.	Maurycy Maeterlinck	128—148
„	7.	Dekadentyzm w powieści francuskiej.	149—163
„	8.	Dekadentyzm w filozofii	164—184
„	9.	Dekadentyzm polski — Stanisław Przybyszewski . . .	185—204

ŚPIEW KOŚCIELNY

Dwutygodnik

poświęcony sprawie muzyki Kościelnej

wychodzi rok X w Płocku

pod kierunkiem księdza Eugeniusza Gruberskiego.

„Śpiew Kościelny" jest jedynym muzycznym organem polskim, przeznaczonym do szerzenia zamiłowania wśród ogółu naszego Muzyki Kościelnej opartej ściśle na przepisach liturgicznych Kościoła; nie wyrzekając się ojczystej prastarej tradycyi w pieśni polskiej, pilnie czuwa nad zachowaniem świętych przepisów Liturgii; bacznie śledzi postęp Muzyki Kościelnej zarówno na niwie rodzimej u nas i za kordonem, jak i zagranicą, a pragnąc zaznajomić ogół czytelników z bieżącym ruchem muzycznym, daje w tym celu wyczerpujące sprawozdania z pism muzycznych francuskich, niemieckich i włoskich; podaje nadto w każdym numerze krytyczne oceny nowości muzycznych, bądź ściśle liturgiczno-kościelnych, bądź poważniejszych religijnych i świeckich; ma bardzo trudne zadanie wobec przesądów i uprzedzeń, jakie często kierują opinią.—Za stosowne przeto uważamy prosić na tem miejscu Duchowieństwo, Organistów i Prasę o życzliwe poparcie na tej ważnej i trudnej placówce naszej. Ważna jest ta placówka w dobie dzisiejszej, w dobie znamiennych reform na polu Muzyki Kościelnej, szczególnie przez Stolicę Apostolską umiłowanej i pod Jej kierownictwo ujętej, ale i trudna wobec niechęci i podejrzliwości wielu jeszcze osobników. Śpiew kościelny nie upada wszakże na duchu, bo w ciągu lat IX utorował już sobie drogę przebojem, więc i w roku X istnienia swego w Imię Boże pójdzie szlakiem, wytkniętym przez *Motu Proprio* Jego Świątobliwości Ojca Świętego Piusa X. Śpiew kościelny poszczycić się może współpracownictwem światłych i fachowo uzdolnionych muzyków, zasilających stale pismo doborem artykułów. W r. b. drukować się będzie „Nauka harmonii", według znakomitego w tym kierunku dzieła Piela, jako dodatki nutowe wychodzić będzie „Śpiewnik pieśni polskich, używanych w kościołach naszych" w harmonizacyi ks. kan. L. Moczyńskiego. Część I-szą tegoż „Śpiewnika" dodawaną w r. 1904, a stanowiącą osobny dział pieśni łacińskich otrzyma każdy nowoprzybyły prenumerator Jako premium bezpłatne dajemy także „Mszę ku czci Zmartwychwstania Pańskiego"—ks. E. Gruberskiego, lub „Preludya Kolendowe"—ks. kan. Walczyńskiego. Posiadamy na składzie wiele utworów wydawnictw własnych i obcych, sprowadzamy nuty z zagranicy. Na żądanie wysyłamy katalogi.

Prenumerata roczna „Śpiewu Kościelnego":

z przesyłką rubli **4**, półrocznie rubli **2**.

W Płocku: rocznie **3** rb. — półrocznie **1** rb. **50** kop.

Adres Redakcyi i Administracyi: PŁOCK.

WYDAWNICTWO BIBLIOTEKI DZIEŁ CHRZEŚCIJAŃSKICH

OJCZE NASZ

SIEDM PRZYKAZAŃ NOWEGO ZAKONU,

WYŁOŻONE W 7-IU KAZANIACH
PASYJNYCH, WYPOWIEDZIANYCH
W WARSZAWSKIEJ KATEDRZE
METROPOLITALNEJ ŚW. JANA.

SYN MARNOTRAWNY,

WYKŁAD EGZETYCZNO-MORALNY PRZYPOWIEŚCI CHRYSTUSOWEJ

przez

Ks. Antoniego Szlagowskiego
profesora Seminaryum Metropolit.

Cena rubli 1.—
na koszta przesyłki — 15 kop.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA

Tegoż autora:

O rzekomej niezgodzie **między nauką i Wiarą**, siedm konferencyi . . . . . Rb. — 70

Wady i przymioty **woli ludzkiej**, rozebrane w sześciu konferencyach pasyjnych . . . . . „ — 60

Konferencye, wypowiedziane na rekolekcyach dla mężczyzn w r. 1900, 1901, 1902 i 1903 roczn. po „ — 75